UNIVERSITY OF TORONTO
3 1761 01080384 9

I
29

PAMIĘTNIKI IGNACEGO DOMEJKI

(1831—1838)

Z AUTOGRAFÓW WYDAŁ

JÓZEF TRETIAK

196c

W KRAKOWIE
NAKŁADEM AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI G. GEBETHNERA I SPÓŁKI
1908.

QE
22
D73A34

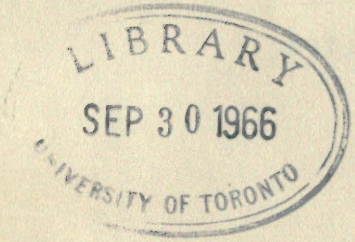

1128780

Drukarnia Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem Józefa Filipowskiego.

OD WYDAWCY.

Ignacy Domejko, oprócz dawniej wydanych utworów pamiętnikowych, jak *Filareci i Filomaci* (Poznań 1872) *O młodości Mickiewicza* (Przegląd Lwowski 1872, II), *Czteromiesięczna podróż z Paryża do Chili w r. 1838* (Czas. Dodatek miesięczny T. V i VI, Kraków 1857), *Odpust w Andacollo w Kordylierach* (Kronika Rodzinna, Warszawa 1876), *Urywki z podróży do kraju Araukanów* (Tamże 1885), zostawił w rękopisie bogatą spuściznę pamiętnikową, którą dzieci zmarłego, córka i dwaj synowie, ofiarowali w r. 1898 Akademii Umiejętności. Składa się ona z całego szeregu książeczek formatu małej oktawy, oprawnych lub ujętych w małe teki, a zapisanych wyłącznie własną ręką Domejki i to przeważnie już w późnym wieku, a w pewnej części na parę lat przed śmiercią; obejmuje zaś niemal dwie trzecie całego życia poety od początków rewolucyi 1831 roku do ostatnich lat przed zgonem.

Obecnie wychodzi tylko część tych pamiętników, ta mianowicie, która opowiada udział Domejki w powstaniu 1831, potem pobyt jego pod strażą na ziemi pruskiej, pobyt w Dreźnie i wrażenia z kilkoletniego pobytu we Francyi na emigracyi aż do początków 1838 r. Ta część przedstawia obfity i cenny materyał, po części do historyi powstania na Litwie, przedewszystkiem zaś do historyi

naszej emigracyi, a i dla Francuzów, jako podająca obrazy ze współczesnego życia paryskiego, religijnego, naukowego, politycznego i ulicznego, nie powinna być obojętną. Dalsze części pamiętników, odnoszące się do pobytu Domejki w Ameryce i jego naukowej tam działalności, godne są uwagi z różnych względów, najbardziej zapewne dlatego, że malują niespożytą energię człowieka, który, pozbawiony możności pracowania dla własnego kraju, poniósł ją na drugą półkulę i użył jej na chwałę polskiego imienia i na pożytek nowej, przybranej ojczyzny. Ale za źródło do dziejów porozbiorowych Polski nie mogą być uważane i dlatego nie zostały tu wciągnięte.

Co się tyczy sposobu, w jaki powstał pamiętnik obecnie wydawany, to wskazówki w tym względzie daje nam sam autor we wstępie, który nosi tytuł: »Ostrzeżenie«. Powiada on tam, że od chwili wstąpienia do szeregów powstańczych w r. 1831 notował w swoim pugilaresie »wszystko, co mu się szczególniejszego zdarzało«, i że z tego, już w roku następnym, utworzył się był wcale spory dzienniczek. Domejko, który w dalszych latach nie zaniechał tego zwyczaju czynienia notat pamiętnikowych, był szczególnie przywiązany do tego pierwszego dzienniczka, jako pamiątki najważniejszej epoki życia, woził go zawsze z sobą po Europie i Ameryce, odczytywał nieraz i zamierzał kiedyś ogładzić i poprawić tak, aby mógł on tworzyć pierwszy tom jego dalszych, lepiej opracowanych, wspomnień i podróży. Otóż nim nadeszła ta chwila, skradziono mu ten pamiętnik w pewnym hotelu paryskim, gdy po powrocie z Ameryki bawił jakiś czas w Paryżu, i Domejko, pozbawiony tej cennej pamiątki, postanowił przynajmniej z pamięci spisać i ułożyć w opowiadanie to wszystko, co się w ukradzionym rękopisie znajdowało. Tak powstała ta część wydanego obecnie pamiętnika,

która opowiada udział Domejki w powstaniu, pobyt w Prusiech, w Dreźnie i podróż z Mickiewiczem z Drezna do granic Francyi.

Dalsza część, która się rozpoczyna od przybycia Domejki do Strassburga, a kończy na wyjeździe do Ameryki, jest już pisana nie z pamięci, ale na podstawie zachowanych notatek, jest ich przerobieniem, albo przynajmniej zebraniem i ułożeniem. Z autografu tej części widać, że autor wiele ustępów poprawiał i przerabiał, wiele wierszy przemazywał, aby natomiast inne wpisać, dodawał czasem uzupełnienia na boku; wogóle autograf ten nosi wyraźny charakter brulionu, a odcyfrowanie jego sprawia niekiedy trudności, właśnie z powodu owych przemazywań i wstawek, nie zawsze dobrze spojonych z tekstem.

Oprócz pamiętników, które rodzina Domejki złożyła w Akademii Umiejętności w Krakowie, zachował się jeszcze fragment jego pamiętnika z czasów powstania, który ma tytuł: *Pierwsze dni kwietnia 1831 r. na Litwie.* Autograf ten jest obecnie własnością Biblioteki Ossolińskich we Lwowie (Nr. katalogu rękopisów 4236). Jest to zeszyt ćwiartkowy o 36 kartach w twardej papierowej okładce, ozdobionej na przedniej stronie winietą z mnóstwem symbolów wojennych, na tylnej ryciną przedstawiającą jakiś obraz z wojny 1831 r. Na przedniej karcie okładki jest napis: »Pamiętniki P.a (Pana) Domeyki w roku 1831«, na odwrotnej zaś stronie tej samej karty znajduje się następująca notatka:

»Pamiętnik ten skreślił Ignacy Domejko podczas swego pobytu w okolicy Elbląga, gdzie rozlokowany był korpus Gła Rybińskiego po przejściu do Prus pod Brodnicą. Gdy się Domejko dowiedział, że Franciszek Mickiewicz jedzie w Poznańskie, gdzie go u mego ojca oczekuje brat Adam, dał mu ten Pamiętnik, który po wyjeździe z Łukowa,

emigranckich: w tym celu za:
wiązała Towarzystwo Dobroczyn:
ności Dam Polskich, któremu prze:
wodniczyła i które wiele dobrego
przyniosło emigracyi. Miałam z te:
go powodu zwrócić pomnie do
brego serca Dej Pani, będąc
wezwa:
ny na pomocnicę do tego Towarzystwa i
ciąty byłam do
rozdawania miesięcznych pomo:
cy po 15 franków na każde emi:
granckie dziecko; z kąd też poszło że
i nauczyciel
nia w Towarzystwie Przyjaciel
lem Dzieci. Starałam się ~~też~~ istota
ułatwiać tym cnotliwym Damom ~~temu Towarzystwu~~ sto:
sunki z najuboższą częścią emigracyi,
~~wykrzyczałam~~ mościdzwiązane je o nie jejmy
prawdziwie bied:
nych, bez sposobu do życia godnie
Widok ~~takich~~ tej, było nieszczęśliwych dzieci w naszej emi:
co chociaż w ostat:
nej obawiających dzieci matek, w ostatniej potrzebie
~~nej potrzebie nieprzyjętych~~ po:
zajdujących się, którzy bez wojska, pośrednictwa
~~wcale ułatwiał bezpośrednio~~ z rąk
wyczytały by wspaniał przyjęte z rąk
~~Dam pod~~ przyjęcia Księżnej.
Mogę zapewnić że nigdy to

Podobizna autografu Pamiętników Domejki.

Początek podróży moich z Zapola — po świecie.

Ostrzeżenie.

Od pierwszych dni mojego wyjścia z Zapola na żołnierkę i przystania do przechodzącego przez Zapole oddziału wojsk naszych Chłapowskiego, w miesiącu czerwcu 1831 r., miałem zwyczaj po krótce zapisywać w pugilaresie, co mi się szczególniejszego zdarzało. Przeszła dla mnie niefortunnie cała pod tym walecznym generałem kampania, przeszły potem leże w piaskach pruskich, tydzień w fortecy Piławskiej i nastąpił początek emigracyi.

Kiedym po przebytej jesiennej porze i początku zimy w Prusiech połączył się z Mickiewiczem, Odyńcem i Garczyńskim w Dreźnie (pierwszych dni stycznia 1832) już był mój dzienniczek dość spory i tworzył tom pierwszy moich podróży. Jako pamiątkę najważniejszej dla mnie epoki życia, woziłem ten dzienniczek z sobą przez 54 lat z górą z zamiarem ogładzić i poprawić to, co po większej części dorywczo w nim byłem napisał. Towarzyszył on mi na morzu w podróży do Ameiyki i na stepach Argentyńskich i po Kordylierach i na pobrzeżu Wielkiego Oceanu; przywiozłem go i za powrotem z Ameryki do kraju; miałem go przy sobie i w Rzymie i w Jerozolimie. Miałem go też przy sobie w powrocie z Ziemi świętej, kiedym na początku listopada przybył do Paryża, aby towarzyszyć memu przyjacielowi Bohdanowi i pocieszać go przy operacyi zdjęcia z jego oczu katarakty przez zacnego a słynnego naszego doktora Gałęzowskiego. Nieszczęśliwy był skutek tej operacyi, choć najumiejętniej i najlepiej dokonanej. Cały miesiąc listopad

przebolałem przy chorym mym ociemniałym rówieśniku, a w tymże czasie i mój drugi stary przyjaciel Laskowicz zachorował na nogę. Smutny to był dla mnie miesiąc. Jednego ranka dla poprawienia humoru, czy też nie mając co robić, dobyłem z tłumoka ów mój dzienniczek z 1831 roku i przerzucałem w przypomnieniu dawne moje dzieje; zostawiłem go na stoliku, wyszedłszy moim zwyczajem do chorych przyjaciół i nie wiem, czy tego dnia czy nazajutrz skradziono mi go, nie pojmuję, w jakim celu i na jaką dla kogokolwiek korzyść.

W tym samym hotelu Cluny skradziono mi pierwej nie wielkiej wartości tłumok, w którym był mój przekład Św. Teresy i kilka innych małej wagi rękopisów.

Nie zafrasowała mnie zbytecznie ta szkoda; tylko z przyczyny, że rzeczony dzienniczek był niejako wstępem do obszerniejszych pamiętników, które w późniejszych latach dociągnąłem aż do powrotu z Ameryki, czuję się zniewolonym do zebrania w pamięci wydatniejszych szczegółów z pierwszych sześciu miesięcy mojego wychodźtwa i do streszczenia ich w całość, mogącą dać pojęcie usposobienia, w jakiem byłem, kiedy przyszło na 50 lat oddalić się z domu, z kraju, od rodziny — nie wiedząc dokąd.

I.

Wyjazd z domu.

Było to roku 1830, a dwudziestego dziewiątego mego życia, że zaświeciła pognębionemu narodowi naszemu nadzieja oswobodzenia się i powrotu do niepodległego życia. W nocy 29 listopada garstka młodzieży dała hasło do boju, a już na nowy rok 31 mieliśmy wojska do 30 tysięcy i rząd narodowy. Roztoczył skrzydła orzeł biały na czerwonych chorągwiach przed kolumną Zygmunta, poruszyły się w grobach popioły Batorego, Jana III, Czarnieckich, Żołkiewskich, Kościuszki.

Błyskawicą przeleciała wieść z nad Wisły do Niemna i Dniestru po Dniepr i Dźwinę i zapaliła do boju Litwę naszą i Żmujdź. Nie przeszło święto Bożego Narodzenia tak spokojnie, na zabawie i wylaniu się rodzinnem, jak bywało od 20 lat od Napoleońskiej wojny. Schadzała się nocami młodzież w Wilnie i po mniejszych miastach, zjeżdżali się na narady starzy i młodzi patryoci; zapaleńsi już zbierali broń, lali kule, gotowali konie na partyzantkę, a tymczasem ciągnęły pod naszem okiem coraz liczniejsze oddziały jazdy i piechoty z Rosyi na Warszawę; pułki z wojskowych osad i gwardya cesarska.

Zima była sroga; biegały złe i dobre wieści. Komunikacye z nad Wisły stawały się coraz trudniejsze. Ogarniały na przemian, to trwoga, to nadzieja; nieczynność z każdym dniem zdawała się coraz bardziej występną, niepokoiła sumienie. Zaledwo topnieć poczęły śniegi, gruchnęła wieść o Grochowskiej bitwie, wraz potem o Stoczku, a z zaraniem wiosny o zwycięstwie pod Dębem Wielkiem [1]).

---

[1]) W autografie Dębe Wielkie nazwane jest »Dębą Wielką«. (Przyp. wydawcy).

Dziejopisom zostawuję opowiedzieć, jakie to było wstrząśnienie umysłów na Litwie pod koniec marca i przez cały kwiecień; jak się utworzyła komisya, czy rząd patryotyczny tajny w Wilnie, jak się natychmiast organizować poczynały okręgowe powstania w powiatach należących do gubernii wileńskiej i na Wołyniu; jak stanęli do wyjścia na partyzantkę akademicy wileńscy. Ja się zamknę w moim dzienniczku z przypomnieniem tego, na co patrzyłem.

Nasza gubernia grodzieńska przez cały kwiecień nie była poruszoną; toczyły się tylko narady i robiono przygotowania. Był gościem u nas W. Książę Konstanty z żoną, Księżną Łowicką i niemałym oddziałem wojska; były garnizony po powiatowych miastach i podwajała się czujność policyjna, a co dzień to nowe roty i szwadrony armii rosyjskich nadciągały z za Dniepru.

Powiat lidzki, w którym mieszkałem, był jeszcze niedo łężniejszym może na ten czas od innych. Niecierpliwość mię brała; z dnia na dzień trudniejsze położenie; wiadomości dochodzące z za Narwy i Bugu coraz to pomyślniejsze i gorętsze; wstyd brał i hańba, a o rachubie i rozwadze, ani myśleć.

Miałem już i broń i konia. Nie pocieszała mię piękna i wczesna ruń tej wiosny, zapowiadająca obfity plon na lato, ani gospodarstwo domowe, ni dom Zapolski zaciszny i książki. Dniem i we śnie nasuwały się przypomnienia młodości z filomackich, z filareckich lat wileńskich na uniwersytecie, kiedy to tyle marzyliśmy o dobru kraju, o jego przeszłości świetnej i przeznaczeniu, o obowiązkach obywatela i owem: »mierz siły na zamiary, nie zamiar podług sił«; nie byłoż na ówczas jakby sprzysiężenie zobopólne dać życie za Ojczyznę, gdy godzina wybije *nunc et olim et*...

A czas upływał; dawni przyjaciele już pod bronią; wielu już może chwalebnie poległo, odpłaciło dług matce-ojczyźnie; gorzała głowa, sumnienie jak wulkan buchało.

Kiedy jednego rana w czas słotny koło godziny 12 zajeżdża przed ganek zapolski wózek chłopski, i z niego wysiada ktoś z obwiązaną prawie do oczu twarzą. Poznaję — to Kozakiewicz, dawny współfilomat, filaret, mój od serca przyjaciel. »To ty? —

skądże jedziesz?«. »Jadę, prędko odpowiedział, jakby zadyszany, jadę z Wilna i wiozę dla ciebie słowny rozkaz od Rządu Tymczasowego (czy komisyi generalnej wileńskiej), abyś co najśpieszniej starał się przedrzeć do naczelnego wodza, który musi mieć teraz główną kwaterę koło Płocka, i doniósł mu, że już powstanie zawiązało się w wielu miastach gubernii wileńskiej, a młodzież akademicka wileńska wychodzi na powstanie do puszczy Rudnickiej i przyległych lasów. Masz tedy donieść o tem i prosić o oficerów i instruktorów dla powstańców, jako też o rozkazy i instrukcye dla dowódzców komisyi wileńskiej i dla naczelników powstania«. »A jakże to mnie uwierzytelnią?« »Oto masz, przerwał, nie dał dokończyć, masz oto na znak te dwa pieniążki miedziane, jeden z roku 1812, które pokażesz Skrzyneckiemu, a one ciebie uwierzytelnią, bo już naczelny wódz jest uprzedzony«.

»Dobrze, ależ ogrzej się, zjedz co«. »Nie mam czasu, jechać muszę najśpieszniej na Wołyń, zajęty już przez wojska nasze po batalii pod Stoczkiem i muszę tam porozumieć się z naczelnikami powstania w imieniu wileńskiej komisyi; nie trać czasu i ty, chodzi tu bowiem o dobro ojczyzny; daj mi co lepiej do jedzenia na drogę«.

Opowiedział mi dorywczo Kozakiewicz o przygotowaniach do powstania w Wilnie, o ruchach powstańczych w Oszmianie, w Kiejdanach, w Krożach: wszystko w najżywszych, wesołych kolorach.

Nie uszło godziny, a już Kozakiewicz był na trakcie do Radziwoniszek, a ja w parę godzin na trzykonnej bryczce z młodym moim furmanem Łukaszem ruszyłem do Grodna, nie zostawiwszy najmniejszej instrukcyi dla mego rządcy w domu, nie uwiadomiwszy stryja, ani kogobądź dokąd jadę.

Jadę tedy do Grodna, w nadziei, że tam znajdę patryotów, którzy mi ułatwią przedarcie się przez granicę i stamtąd lasami piechotą, czy jak będzie można, szukać będę sposobu dostać się do głównej kwatery naszego wojska, a choćby do Warszawy.

Zatrzymałem się na moment w Szczuczynie u XX. Pijarów, gdzie szkoły byłem ukończył. Dawny mój nauczyciel hi-

storyi polskiej uścisnął mię serdecznie, nie pytał, dokąd jadę, jakby odgadł, uronił łzę i pobłogosławił.

W Grodnie znalazłem Makowskiego adwokata, plenipotenta Paca i drugiego jeszcze znajomego filareta w służbie rządowej, którzy mi dali listy do jednego obywatela, mieszkającego nad Bobrem, gdzieś, jeśli się nie mylę, koło Duchowoli; nie tracąc czasu, odsyłam mój powóz do Zapola, a w najętym wózku bez żadnego ma się rozumieć przyboru ni tłumoka jadę do tego zacnego obywatela, w którego domu i licznej rodzinie znalazłem najmilsze przyjęcie. Zaledwo zmierzchło, już miałem małą furmankę, na której też bez trudności ze strony straż granicznych dojeżdżam późno do położonego blizko granicy folwarku (już w Augustowskiem) z zaletną kartką do właściciela znanego z uczynności, poświęcenia się.

Nie znajduję gospodarza w domu. Młoda, piękna, z dwojga (sic) małemi córeczkami, jego żona, z niejaką bojaźnią mię przyjmuje, ale prosi, abym zaczekał. »Mąż mój, rzecze, od rana poszedł przeprowadzać przez Augustowską puszczę dwóch powstańców z Wilna do Naczelnego wodza i lękam się bardzo, niespokojną jestem o niego, bo właśnie odbieram ostrzeżenie, że komenda garnizonu (w Sejnach czy Augustowie) już się dowiedziała o przejściu emisaryuszów i mają nas w podejrzeniu.

W tym momencie zaszczekały psy na dworze; przychodzi owinięty płaszczem, strudzony całodzienną podróżą gospodarz; uścisnął żonę i dla uspokojenia jej powiada, że już bezpiecznie przeszli dwaj emisaryusze: Michał Wołowicz i Przecławski z Wilna; że cała gubernia wileńska powstała, akademicy wyszli na partyzantkę, i nie mamy się czego lękać, bo niewielki oddział dragonów czy kirasyerów z Augustowa poszedł osaczać powstańców na puszczy; a była wiadomość, że w .....[1]) puszczy augustowskiej było do tysiąca powstańców Pusza, czy innego jakiegoś naczelnika.

Tą wiadomością uradowana młoda gospodyni wesoło z dziećmi spać poszła, a nam do północy prawie na przyjemnej gawędce przy dobrej wieczerzy godzina zeszła; nazajutrz o wschodzie słońca przyrzekł mi nieoszacowany gospodarz, tąż

---

[1]) W autografie w tem miejscu wyraz nieczytelny. (Przyp. wyd.).

samą drogą mnie przeprowadzić, którą przeszli rzeczeni emisaryusze.

Gdyśmy się zabierali do spoczynku, a było już łóżko dla mnie przygotowane, jakby ruszona przeczuciem pani domu przychodzi i rzecze: »Mężu, idźcie lepiej tej nocy wyspać się spokojnie do stodoły; bo nuż zamarzy się policyi tu zawitać, jeżeli się dowiedziała, żeś przeprowadził emisaryuszów«. »Dobrze mówisz moja kochana«, odpowiedział mąż i poszliśmy z nim do gumna, a wleźliśmy wysoko na ścianę pod strzechę. Za nami wszedł 15-letni chłopak służący, zawarł wrota i położył się na ziemi.

Zaledwo oczy zmrużyliśmy, słyszymy tętent koni i po chwili przez szczelinę widzimy przeciągających stępo ze dwieście czy więcej dragonów. Wnet płacz i krzyk kobiet i dzieci rozchodzi się po całym dworze z groźbą oficera, że spali dom, jeżeli mu nie wydadzą gospodarza domu i emisaryuszów. Już po całym dziedzińcu plądrują żołnierze; wpadają na folwark, do oficyny, do stodoły — otwierają gumno. Przestraszony chłopak porwał się z ziemi; biją go, kaleczą, ofiarują nagrodę, byleby powiedział, gdzie jest jego pan; każdy ciąg, każde uderzenie w tego nieszczęśliwego chłopca czułem jakby chłostę po moim karku; zaciął się biedak, jęknął po wielekroć, nie wymówił słowa.

Trwało to straszne poburzenie (sic) i odgrażanie się dragonów więcej godziny; już dnieć poczynało — nie przyszło im na myśl wleźć na siano, a i tam może Bógby im nie dozwolił znaleść nas zagrzebanych pod strzechą. Uspokoiło się po tem wszystko przez kwadrans, a może i dłużej. Potem znowu usłyszeliśmy koło gumna szemranie dragonów już wsiadających na konie; niejedno ich brzydkie słowo, szkaradne przekleństwo dochodziło do nas. Po chwili już tętent koni poczynał oddalać się, cichł i ustał.

Nie było czasu dłużej popasywać; zleźliśmy z siana; chłopak był zbolały, ale spokojny; zdjąłem z niego i na siebie włożyłem jego sukmanę, a jemu darowałem mój surdut; takąż zamianę zrobiliśmy na czapki; i tak przebranemu dał mi zacny gospodarz przewodnika do położonego o milę młyna, gdzie miałem znaleść kogoś, którego obowiązkiem było przeprowadzać ochotników do najbliższego oddziału partyzantów w pu-

szczy obozujących; ci zaś mieli wskazać mi sposób i drogę do najbliższych forpoczt naszej narodowej armii. Gospodarz sam nie mógł mi towarzyszyć; musiał zostać przy chorej, przestraszonej żonie.

Cóż było robić — pomyślałem — już emisaryusze z Wilna przeszli do Warszawy; dopełnią tegoż zapewne, jakie mam polecenia; — wracać? Ach nie! broń Boże, jakże nie dopełnić swego postanowienia; a może ich złowią — nie, bądź co bądź idźmy dalej, choćby bez skutku i bez potrzeby.

Przebrany za chłopa, dochodzę dość rano do wskazanego mi młyna. Stary, osiwiały młynarz pozdrowił mię uprzejmie, poznał we mnie ochotnika, posłańca z ważnem jakiemś poleceniem; uraczył gościnnnie chlebem i syrem i dał mi swojego syna, zalecając mu, aby mnie manowcami przeprowadził do położonej o trzy czy cztery mile nad Narwą wsi, tuż przy lesie, gdzie się miał znajdować powstańców oddział do tysiąca ludzi liczący. W owej wsi miał młynarz kuma i przyjaciela swego szołtysa, na którego zaufaniu polegał.

Idziemy więc; niebo się chmurzyło; zdaleka od północy dochodziły huki jakby od strzałów armatnich, czy piorunów. Szliśmy dzień cały; już ciemniało, kiedyśmy weszli do chaty szołtysa. Z nim poszeptał zaraz mój przewodnik i odszedł. Oprócz żony i dzieci szołtysa, było też niemało ludzi, których postawy nie mogłem dobrze przy migającem świetle palącej się łuczyny rozeznać.

Był jakiś ruch w izbie, na który zrazu nie wiele zwracałem uwagi; wchodzili i wychodzili chłopi i nie chłopi. Posadzono mię na ławie przy stole; wypiliśmy z szołtysem czarkę wódki; przyniosła kobieta misę krupniku i chleb razowy. Potrzebowałem posiłku; a kiedym zajadał, usiadł przy mnie człowiek jakiś i zagadał po niemiecku, ale znać było, że nie był to Niemiec. Nie wiem, skąd mi przyszło powiedzieć też parę słów z niemiecka. Odszedł nieznajomy i wypróżniać się poczęła chata; odszedł i szołtys odemnie, kiedym się go radził, jak mógłbym był dostać się do powstańców, z których naczelnikiem mam do pomówienia.

Wtem słychać wielki ruch koło chaty, wbiegają ze strzelbami partyzanci. Było ich może do dziesięciu, witają mnie, witam ich, ale nie wchodząc w rozmowy prowadzą mnie do lasu.

Zaledwo weszliśmy w gęstwinę, słyszymy przeciągający niedaleko drogą szwadron jazdy rosyjskiej. Podbiegamy, zasadzamy się jak do boju; nieprzyjaciel już był daleko. Idziemy dalej w głąb lasu: księżyc wschodzić poczynał; poznaję, że nie jeden z moich towarzyszy był podochocony. Dochodzimy na miejsce, gdzie z pogaszonych świeżo ogniów wnosiłem, że był tam obóz, tylko co zdjęty; znajdujemy jeszcze kilku innych partyzantów pijanych. Napróżno pytam ich o naczelnika, abym z nim pomówił; nic nie odpowiadają.

»Co to znaczy?« pytam jednego, który odemnie na krok nie odstępował. »Obaczysz, odpowiedział, wiemy, kto jesteś, ty Prusak, tyś na nas naprowadził Moskali«. Nic więcej nie mówiąc, zatrzymuje mnie przy grubej sośnie, przy której dwóch jeszcze nawpół jak on pijanych usiadło, a reszta kolegów rozpierzchła się, czy poszła za naczelnym dowódzcą.

Dosyć, że zostałem sam na sam z trzema nietrzeźwymi partyzantami, z których jeden barczysty przywiązał mię powrozem do sosny, a dwaj drudzy z odciągniętymi kurkami na kilka kroków przedemną na ziemi siedzieli, jakby czekając na jaką komendę.

Księżyc już był się podniósł; las gęsty, cicho. Uszło może pięć minut, kiedy z pomiędzy drzew, widzę, podchodzi do mnie jakaś czarna, wysoka figura, ni to człowiek, ni widmo — przybliża się, daje znak trzem moim oprawcom, aby na stronę odeszli, coś z nimi po cichu pomówił i kazał dalej odejść. Kiedy się przybliżył, poznałem, że był to ksiądz posłany może do wyspowiadania. Opowiedziałem mu, kim jestem i dokąd idę. »W złą godzinę przybyłeś, rzekł; większa część naszych podpiła; jakiś szpieg wydał nas komendzie w Augustowie; szołtys doniósł, że złowiono Prusaka i osądzono cię rozstrzelać«. »Uciekaj« — rozwiązał mnie i powtórzył »uciekaj!«. Nawpół oburzony, ale spokojny, pomyślałem, że chcą mię wypróbować, czy w istocie jestem emisaryuszem i że na zasadzce zostawieni dwaj strzelce, marnie mnie zabiją. Odpowiedziałem księdzu, że nie chcę uciekać, że zostanę na miejscu; wtedy widząc to moje postanowienie, dobry kapłan wziął mię za rękę i poprowadził może o parę stai w gęstwinę i przeżegnawszy mnie sam uciekł odemnie.

W tym momencie takie uczułem znużenie i osłabienie

sił po całodziennej piechotą podróży, że padłem na mech i zasnąłem.

Ocykam się, już słońce było weszło. Cóż począć, w którą stronę obrócić się? Tu może partyzanci, tam może dragoni — a tam — w puszczy zabłądzę.

Wyjść jednak nakazywała konieczność z wilgotnej gęstwiny; szedłem nie wiedząc dokąd, aż zoczyłem przerzedzający się las; byłem przy brzegu; aż tu spostrzegam mego szołtysa, bieży obces do mnie i pada mi do nóg. »Daruj mi Panie, oszukali mnie, byłem donosicielem, wiem teraz, kim jesteś«. Sądzę, że ów ksiądz musiał go oświecić i powiedzieć, gdzie mnie zostawił.

Serdecznie i najzupełniej przebaczyłem poczciwemu szołtysowi, a o księdzu nie wiem, jak się nazywał; był zapewne kapelanem partyzantów w tej puszczy.

Przypadek nocny przyniósł rozwagę do głowy. Po cóż iść dalej, kiedy dwaj emisaryusze idący prosto z Wilna mogą lepiej poinformować naczelnego wodza o ruchach powstańczych wileńskich, jakoteż o rządzie, czy komisyi tymczasowej, którą znali, która ich ustnie lepiej musiała objaśnić o wszystkiem, niż to, co mi powiedział na prędce Kozakiewicz. A do tego i szołtys już mi prawił ni to ni owo, kiedym się rozpytywał, w którą stronę poszli partyzanci i którędy lepiej byłoby przedzierać się do głównej armii i czy może mi nastręczyć przewodnika.

Ofiarował mi się serdecznie na usługi; ale pomyślawszy i podziękowawszy Bogu za wyratowanie z dwóch w jednym dniu niebezpieczeństw, rzekłem do szołtysa: »Jakżeby tu można przeprawić się przez granicę napowrót?« »Niełatwa sprawa, odpowiedział poczciwiec; kozacy za rzeką jak muchy latają; jednakże bądź pan spokojny, Najświętsza Panna dopomoże; pójdziemy wieczorem nibyto ryby łowić, a tymczasem wyśpij się pan i posil się u mnie«.

Zaprowadził mię tedy miedzą i poza płotem do siebie, oddalił z chaty dzieci i kobiety, dał mi swoje łóżko i posiłek, zatrzasnął drzwi od podwórza i zasunął kołkiem. Spałem do wieczora. Po zachodzie słonca poszedłem z wędką z synem szołtysa na brzeg rzeki i wsiadłem z nim do czółna. On mi pierwej, niż zmierzchło, wskazał lasek, za którym miała być

dróżka, i nie pamiętam, jak mi opowiedział, którędy trzeba iść nocą, aby trafić do znajomego mu obywatela, tego samego, do którego pierwszego dnia mojej niefortunnej wyprawy byłem zawitał z Grodna.

Płyniemy najprzód koło brzegu zarzucając wędki, a spozierając na kozaków porozstawianych jakoby o parę stai jeden od drugiego na przeciwnym brzegu rzeki i przeciągających zwolna po zabrzeżu. Nieznacznie posuwamy się na środek rzeki, potem dalej nieco i znowu nazad. Nie brały się ryby na wędkę, jak sobie przypominam, a chociażby się brały, nie chodziło o nie. Zachodzi zmrok; kozak tam gdzieś jeden może był zadrzemał, drugi przejechał zwolna koło nas zajętych wędkami — a jak pomiarkowałem, że o dobrą staję był się oddalił, plusnąłem z czółna na brzeg i cichaczem drapnąłem w las tak zręcznie, że jak mi się zdaje, ani kozacy nie posłyszeli.

Było już ciemno, przededniem dochodzę do wspomnianego obywatela; witają mnie radośnie; w parę godzin mam już żydka z wózkiem i chudą szkapą. Tegoż dnia wróciłem, omijając Grodno, prosto do Zapola.

Nie zraziła mnie bynajmniej ta trzydniowa awantura; zdziwili się wprawdzie moi domownicy w Zapolu, spostrzegłszy mnie za chłopa przebranego; ale nie miałem potrzeby zdać sprawy z tego, co się przytrafiło. Był to wtorek czy środa wielkiego tygodnia. Pośpieszyłem nazajutrz z Zapola na Wielkanoc do mojego stryja, z obawy, aby się pierwej nie dowiedział o mojem zniknieniu z domu. W istocie nikt o tem nie wiedział. Ostatnie tego roku jadłem święcone w kraju w Żyburtowszczyźnie u mojego stryja Ignacego — w pięćdziesiąt i pięć lat później po powrocie z Ameryki w tymże domu i tym samym pokoju jem drugie święcone już u mego zięcia i córki i tu piszę ten pamiętnik; wróćmy do niego.

Wraz po Wielkiejnocy przeczuwając, że niezadługo opuszczę dom i rodzinę, pojechałem pożegnać się z matką do Soczywek, potem do siostry Wierzbowskiej do Dołmatowszczyzny, potem do braterstwa Adamów i wróciłem do Zapola, z błogosławieństwem matki: jej ręce drżały, kiedym je całował, a łzy

jej czuję dotąd gorące na mojem czole; na toż mię ona wychowała, abym ją na zawsze opuścił.

Nie trudno przypomnieć, ale nie łatwo opisać, co się to w duszy działo, kiedym powrócił do Zapola, jaka w niej wrzała żądza iść czemprędzej na partyzantkę, przyłączyć się do jakiego powstania, lub zaciągnąć się do pierwszego jakiego pułku czy szwadronu narodowego, których się od dnia do dnia spodziewano. Jeździłem konno do bliższych sąsiadów, do małego zaścianka, do miasteczka, szukając ochotników; nigdzie na nich nie brakło, ale »czekać, to jeszcze nie czas, obaczymy« było pospolicie odpowiedzią. Tymczasem codzień nowe pogłoski dochodziły o zwycięstwach, poświęceniu się, odwadze naszego żołnierza w Królestwie; już i na Litwie ruch się rozszerzał; rzeź w Oszmianie i odwet na Czerkiesach Matuszewicza; akademicy biją się w Rudnickiej puszczy; powstania na Żmujdzi; Francuzi jakoby w pomoc i broń od Anglików zapewniona; maj upływał w próżnem oczekiwaniu; nie pocieszały mię zieleniejące runie, lipy rozkwitłe, drzewo do budowania domu świeżo przygotowane; rdzewiała szabla w kącie; na strzelanie do mety marnowałem proch i kule.

W tym stanie coraz trudniejszym do wytrzymania znalazł mię przybyły do mnie w gościnę mój krewny Putkamer (mąż Maryli); rozmawialiśmy z nim o tem, jak wyjść z owej bezczynności, kiedy, widzę, zajeżdża przed ganek bryczka kryta, z której wysiadają dwaj młodzi podróżni jakby z dalekich stron: rozpytują się u służącego, czy jestem w domu, czy niema kogo z przyjezdnych i czy mogą ze mną sam na sam rozmówić się. Wychodzę i poznaję mego wileńskiego kolegę, Konstantego Zaleskiego, a z nim był znajomy mi tylko z widzenia Niepokojczycki. Jechali z puszczy Białowieskiej, wraz po batalii pod Hajnowszczyzną, wysłani od generała Chłapowskiego z rozkazem, aby o jego wejściu na Litwę ostrzegli powstańców wileńskich i innych, gdzie ich nie bądź napotkają; mieli też polecenie ogólne do naczelników powstań, aby się starali łączyć z korpusem tego generała, ku czemu wiadomą była Zaleskiemu droga, którą Chłapowski miał iść, kierując się ku Wilnu.

»Masz tedy Ignacy — rzecze Zaleski — ułatwić natychmiast nam sposób do spełnienia rozkazów naczelnego na Litwie wodza. Niepokojczycki ranny musi dotrzeć do Wilna, a dla mnie daj powóz i przewodnika, abym dojechał do najbliższych oddziałów powstania; sam zaś masz jechać prosto do Słonima, gdzie jutro znajdziesz cały nasz korpus, piechotę, pułk ułanów, legion instruktorów, artyleryę i jeńców zabranych w ostatniej wygranej batalii. Tam odbierzesz dalsze rozkazy od generała«.

Wszystko to tak prędko, z przyciskiem, głośno i stanowczo powiedział (sławny potem na emigracyi z popędliwej gadatliwości), Zaleski, adjutant Chłapowskiego, że mi się w głowie zakręciło, nie wiedziałem, od czego począć. Na szczęście obecny p. Wawrzyniec Putkamer był dla mnie skuteczną w tym momencie radą i pomocą.

Po niedługiem namyślaniu się, bo dwaj podróżni, ledwo na godzinę odpoczynku i posilenia się przystali, w ten sposób uradziliśmy: Niepokojczycki, przebrany za furmana, powiezie Putkamera do Wilna; Konstantego Zaleskiego zawiezie mój ekonom do puszczy Rudnickiej, gdzie na ten czas miał się znajdować oddział powstańców i akademicy wileńscy; a ja natychmiast mam ruszyć do Słonima.

Zaledwie upłynęła godzina, powóz Putkamera już był na wileńskim gościńcu; Zaleski z ekonomem puścili się kałamaszką na Hołdów ku Ejszyszkom, a ja tego dnia nocowałem w domu stryja mojego w Żyburtowszczyźnie o sześć mil od Słonima.

Zdziwiła sędziwego stryja mego, od dziecinnych lat opiekuna, ta niespodziana wizyta. Dokąd jedziesz? — Do Słonima. — Po co? Bój się Boga, tam W. Książę Konstanty z licznym oddziałem wojska, rzekł starzec. Kiedym mu opowiedział spotkanie się z Zaleskim, mocno był wzruszony, ale mnie nie zatrzymał. Jadę do Słonima w przekonaniu, że tam już nasz korpus znajdę; o ćwierć mili od miasta słyszę bębnienie; wracający z targu chłopi donoszą mi, że tam Moskale. Zatrzymuję się na nocleg w domu jednego obywatela i tam się dowiaduję, że Chłapowski od Świsłoczy ciągnie na Lidę.

Wracam tedy ku Zdzięciołowi; na moment zatrzymuję się u stryja, z którym i ze stryjenką żegnam się na zawsze; spieszę

przez Bielicę do Radziwoniszek i stamtąd gościńcem ku Żołudkowi [1]).

Nie ujechałem był mili, kiedym usłyszał trębaczy naszych ułanów i widzę zdaleka chorągiewki nasze białe z amarantem. Było to koło godziny czwartej popołudniu, słońce czyste, piękny dzień wiosenny, trębacze grali pieśń »Nasz Skrzynecki mężny«.

Opodal za przednią strażą z kilkunastu ułanów jechał nielicznym otoczony sztabem Chłapowski, odznaczający się piękną, marsową postawą; wąs zawiesisty, skromny miał na sobie mundur bez złocistych ozdób, płaszcz na ramiona zarzucony i biały orzełek (jeżeli sobie dobrze przypominam) na czapce. Obok niego jechali: senator gen. Tyszkiewicz, Loga z kanoniczym krzyżem na piersi, doktór Marcinkowski i kilku adjutantów, między którymi poznałem mego kolegę Wrotnowskiego. Ten mię zdaleka poznał i przedstawił generałowi. Opowiedziałem jak najkrócej, co mi polecił powiedzieć Zaleski; oświadczyłem, że jestem gotów na usługi. »Dobrze, rzekł Chłapowski; czekam na ciebie jutro jak najraniej w Lidzie«; przemówili też do mnie po kilka słów Loga, Marcinkowski i pojechali za generałem.

Stanąwszy na uboczu przy drodze, przypatrywałem się radośnie przeciągającemu gościńcem całemu korpusowi, który nie tysiące, jak mniemano, ale, jeżeli się nie mylę, 700 do 800 zaledwie liczył żołnierza i szedł w porządku.

Najprzód za Generałem jechał szwadron 1-go pułku ułanów w granatowych mundurach z amarantowymi rabatami pod dowództwem dzielnego oficera Borkowskiego; ludzie dobrani, na dobrych koniach, tak czysto, elegancko wymuskani jak gdyby dziś wyszli na paradę na Saski Plac w Warszawie, a jednak już od trzech tygodni byli w marszu, a przed pięciu czy sześciu dniami tęgie starcie mieli z nieprzyjacielem. Za tym szwadronem postępował legion pieszych strzelców na chłopskich konikach, 180 do 200 wyćwiczonego ze starej służby żołnierza liczący i tuż za nim, też na koniach, mały oddziałek instruktorów, oficerów ze starej służby rozmaitej broni, przeznaczonych do formowania regularnego wojska z naszych po-

---

[1]) Zołudek miasteczko w pow. lidzkim niedaleko Niemna. (Przyp. wydawcy).

wstańców; między nimi był waleczny Żmujdzin, major Macewicz, i dawny mój znajomy filaret, kapitan Stawiarski.

Za tymi instruktorami i po części z nimi pomięszani szli, jedni pieszo, drudzy na koniach, jak kto mógł, powstańcy świeżo do służby zaciągnięci i gromada partyzantów, którzy od puszczy Białowieskiej i po drodze łączyli się rozmaicie uzbrojeni i w rozmaitszego kroju i koloru ubraniach. Między nimi byli i chłopi i szlachta zaściankowa, mieszczanie i służba dworska: ten ze strzelbą, ów z pałaszem, ów przy starej karabeli, z pistoletami u pasa, a był i niejeden z paniczów na dobrym koniu i niejeden ksiądz z brewiarzem. Cała ta gromadka powstańcza była, o ile sobie przypominam, podzielona na mniejsze oddziałki, każdy ze swym instruktorem; między nimi było też kilkadziesiąt strzelców leśniczych z koguciemi piórami pod dowództwem poczciwego nadleśniczego z Białowieskich lasów, Ronka, może ze stu ochotników ubranych i uzbrojonych w mundury i karabiny, wziętych w niewolę i wypuszczonych na wolność żołnierzy rosyjskich pod Hajnowszczyzną; zostały na zabranych kaszkietach orły moskiewskie, tylko z oderwaną jedną głową z każdego orła. Zamykała ten cały korpus, może na pół wiorsty rozciągnięty, tylna straż konnych strzelców, ze starej służby nie pamiętam jakiego pułku.

Wróciłem późno wieczorem do Zapola, a nazajutrz (była to niedziela) rano przybyłem do Lidy. Już było po zwarciu się naszego korpusu z garnizonem lidzkim, który prawie bez wystrzału poddał się, do 180 żołnierza piechoty liczący. Jeden oficer Litwin Michałowski i kilkunastu żołnierzy tego garnizonu, też Litwinów, przyłączyło się do korpusu Chłapowskiego; broń i amunicya poszły na korzyść i użytek dla naszych nowo zaciężnych powstańców, a więźniów na wolność puszczono, bo nie było sposobu ich zatrzymać, żywić i wozić za sobą.

Generała Chłapowskiego, gen. Tyszkiewicza i liczny orszak oficerów ugościł porządnem śniadaniem w Lidzie marszałek powiatowy Ważyński: było pod dostatkiem wina i patryotycznych uniesień. Tu poznałem lepiej Generała i dłużej z nim rozmawiałem. Generał w całej sile wieku, średniej urody, łączył w sobie powagę i ujęcie polskiego obywatela i nieco surowości charakteru z naturalną, niewymuszoną grze-

cznością, mianowicie w obejściu z przybywającymi do niego patryotami; mało mówiący, wysłuchał każdego przyzwoicie; zalecał obywatelom poświęcenie się, ostrożność i nie marnowanie sił. Nie ogłaszał proklamacyi, ani nie wywoływał byle jakiego ruchu. W przejściu przez zajęty Rosyanami kraj, wiedząc, że za nim goni nieprzyjaciel, nie narażał na jego zemstę spokojnych mieszkańców; z wojskowymi był surowszy, zalecał karność, porzadek; okazywał się raczej smutnym, niż wesołym, ale pospolicie wszystkich ujmował swojem obejściem się.

Tu miałem też sposobność zawiązać przyjaźń z kanonikiem Logą i lekarzem Marcinkowskim. Uczony, odważny, gorliwy patryota i bardzo miłego charakteru, Loga był popularny i wywierał dobry wpływ tak na wojskowych starej służby oficerów, jak i na przybywających do służby ochotników i zalecał im wiarę i miłość, a lubił szczerze nas Litwinów. Toż i Marcinkowski był dla nas wielce uprzejmy i pożyteczny, ułatwiał przystęp do Generała powstańcom, dopomagał surowszą radą, zachętą i nauką.

Śpiewano w kościołach »Te Deum«; było nie małe ze wszystkich stron zbiegowisko ludu; nikogo nie prześladowano; znany nawet z uczciwości strapczy chodził bezpiecznie po mieście.

Pobyt Chłapowskiego w Lidzie był zbyt krótki, aby mógł wywołać powstanie; tegoż dnia popołudniu koło godziny 4-tej czy 5-tej wyszedł cały jego korpus z Lidy gościńcem wileńskim do Żyrmun; — mnie zaś pozwolił generał pobiedz jeszcze na krótko o milę stąd do domu. Wiedziałem, że go dogonię nazajutrz rano między Żyrmunami a Werenowem [1]).

Po raz ostatni, o zmroku wróciłem do Zapola i tegoż wieczora powiedziałem moim trzem służącym, że są wolni, a jeżeli mają chęć i ochotę, niech jadą ze mną jutro o wschodzie słońca do powstania. Łukasz i Grzegorz wnet oświadczyli, że idą ze mną; Wincenty był chory na febrę; musiałem

---

[1]) Werenów, inaczej Woronów, małe miasteczko w pow. lidzkim. (Przyp. wyd.).

go zostawić samego w domu, bo i ekonom jeszcze był nie powrócił z podróży do puszczy Rudnickiej.

Jaka to była ta moja ostatnia noc w Zapolu, to tylko Panu Bogu wiadomo. Uporządkowałem na prędce regestra gospodarskie i papiery; książki na górę pod dach zaniesiono. Zdrzemałem się na chwilę.

II

Żołnierka.

O wschodzie słońca były już konie osiodłane; stała czeladź przy ganku na pożegnanie. Jakoś mi było niedobrze; na wyjściu, nieznana mi dotąd trwoga ogarniała; zatrzymałem się i do pokoju wróciłem, myśląc, żem czego zapomniał; spojrzałem na zegarek — już czas. Idę i znowu na progu jak gdyby mnie kto za poły przytrzymał. Stanęła mi na myśli matka moja, jakby z ostrzeżeniem, że źle poczynam, nie poradziwszy się Boga, nie wezwawszy go na pomoc. Odszedłem do izby sypialnej, zawarłem drzwi za sobą i uklęknąwszy zmówiłem »Ojcze nasz« i modlitwy, które (sic) za dziecinnych lat mnie nauczono; w końcu przyszły mi do duszy te słowa, które wyrzekłem: Panie Boże Wszechmogący, w Trójcy Świętej Jedyny, spraw, aby myśli moje, słowa i uczynki ku Twojej służbie i chwale były obrócone i nigdy się woli Twojej świętej nie przeciwiły.

(Od tego momentu przez lat pięćdziesiąt, gdziem nie był aż do dziś dnia, była i jest dla mnie tarczą ta modlitwa i dodaje mi siły; odmawiam ją dziennie i w każdej przygodzie.)

Ucałowałem ziemię ukochaną i wstałem rzeźwo i ochoczo, przypasałem szablę, wsiadłem lekko na mego kasztana i — z Panem Bogiem! Za mną Łukasz i Grzegorz.

Zaledwośmy wyjechali z domu o pół wiorsty między Zapolem i Sukurczami[1]) w kierunku ku Żyrmunom, spostrzegamy daleko na drodze idący ku nam oddział konnych żołnierzy. Wiedziałem, że Chłapowski musi być w marszu z Żyrmun na

---

[1]) Sukurcze, okręg wiejski w pow. lidzkim o 7 wiorst od Lidy. (Przyp. wydawcy).

północ ku Wilnu, a w całej okolicy, nawet powiecie, nie było powstańców; byłżeby to nieprzyjaciel? ależ i wojsko rosyjskie, które kwaterowało w Żyrmunach, musiałoby raczej popędzić za naszym korpusem, niż iść w przeciwnym kierunku od Żyrmun. Zatrzymaliśmy się na moment, byliśmy przy brzegu lasu, konie mieliśmy dobre. Łukasz pierwszy poznał, że to byli nasi ułani, których już był widział w Lidzie i dniem pierwej na Radziwoniskim trakcie.

Podjeżdżamy przeto z całą ufnością i od pierwszego oficera, którego napotykam, dowiaduję się, że po wyjściu z Lidy wpadł nasz oddział nocą na zasadzkę piechoty rosyjskiej w Żyrmunach, że stracił w potyczce kilkunastu żołnierzy i że Chłapowski, otrzymawszy wieść, że większe siły nieprzyjaciela ciągną na niego od Wilna, zmienić musiał kierunek marszu i tą drogą na Hołdów, Myto[1]) będziemy się przedzierać do połączenia się z powstańcami na północ.

Zameldowałem się generałowi jako już jego zaciężny i przy jego sztabie jechałem obok Logi, który mi opowiedział szczegóły nieszczęsnego spotkania z nieprzyjacielem tej nocy. Jadąc koło domu, kiedym powiedział kanonikowi, że tu moja siedziba, rzekł: »Dobrze, to zajedziemy na moment do ciebie; pobłogosławię Twemu domowi«. Pobiegłem z nim w galop raz już ostatni do domu; tam Loga, wielki miłośnik poezyi Mickiewicza, z przyjemnością czytał listy jego do mnie pisane, i po małej przekąsce puściliśmy się wnet za korpusem naszym, żegnani przy wiosce przez wybiegających naprzeciw nas włościan.

W taki sposób opuściłem na zawsze Zapole, rzucając po ostatni raz okiem na piękne, zielone runie, których plon kto inny zbierze.

Tu się poczyna pełna niepowodzeń żołnierka moja, której szczegółów nie mam dobrze na pamięci. Przypomnę tylko dobitniejsze, nie cytując dat, których nie jestem pewien, a o których z innych pism i historyi powstania dowiedzieć się można.

Droga, którą obrał do marszu Chłapowski, oddziela się, jakem powiedział, od głównego traktu z Lidy do Wilna, od Żyr-

[1]) Nad rzeką Dzitwą w pow. lidzkim. (Przyp. wyd.).

mun na prawo przechodzi najdalej w milę na zachód od tego traktu i nie dochodząc do Radziwoniszek, zawraca się na prawo, idzie na Hołdów, Myto ku Ejszyszkom, Olkienikom. Była to część kraju najmniej zajęta przez siły nieprzyjacielskie. Nigdzie też nie byliśmy napastowani, aniśmy spotkali nieprzyjaciela.

Mieliśmy pierwszy nocleg, jeżeli się nie mylę, między Hołdowem i Mytem; deszcz lał obfity, żołnierz był całodziennym marszem strudzony. Była karność i porządek w obozie; stawiano straże, wysyłano szpice i podjazdy.

Toż i przez trzy czy cztery dni następne marsze były utrudzające, mianowicie dla nowozaciężnych ochotników, pieszo idących, a których liczba powoli zwiększała się, bo korpus nasz na parę godzin tylko zatrzymywał się około południa, a na leżach nocnych nie łatwy był przystęp do niego, przez straże i posterunki, niezbędnie potrzebne; zdarzało się, że do zbliżacych się do obozu pojedynczych lub małych oddziałów partyzantki strzelano, biorąc ich za nieprzyjaciela, czy szpiegów. Gdziekolwiek zatrzymać się dał rozkaz Generał, natychmiast bito woły, znoszono chleb, mleko, gorzałkę ze wsi i dworów — a wszędzie przestrzegano porządku.

Żołnierze ze starej służby swoich trzymali się oddziałów; karność nie pozwoliła mieszać się zbyt z przybywającymi rozmaitego stanu, ubioru i broni ochotnikami. Instruktorowie pilnowali powierzonych im nowozaciężnych, z małymi może wyjątkami dobrze się, po ludzku z nimi obchodzili. W czas gorący, kiedy jaka gromadka biedniejszych, niemających częstokroć dobrego obuwia, zdawała się być znużoną długim bez odpoczynku marszem, byli tacy, co im ustępowali koni swoich, a sami szli piechotą; drudzy intonowali pieśń jaką patryotyczną czy religijną, i to nadzwyczaj podnosiło ducha i ochotę, umacniało siłę i rozweselało. Nie było czasu do ćwiczeń wojskowych; dzielono tylko ochotnika na małe szeregi.

Gdy ich liczba powiększać się znacznie poczynała, a wkrótce mieliśmy się połączyć z liczniejszymi oddziałami powstańców. Chłapowski postanowił, a miał do tego upoważnienie od Rządu narodowego, formować pułk 25 piechoty i dwa szwadrony jazdy z samych zaciężnych Litwinów. To mu zjednało natychmiast wielką popularność i przychylne uczucia u naszych patryotów.

Trzeciego czy czwartego dnia po wyjściu z Żyrmun, każe już tworzyć pierwszy batalion do nowego pułku, mianuje do niego komendantem majora Macewicza, Żmujdzina, ze starej służby, potrzebną liczbę oficerów na instruktorów, a mnie adjutantem pułkowym. Macewicz był od wielu lat w czynnej i jak wiadomo surowej służbie za W. Ks. Konstantego; przeto(!) wyćwiczony służbista, a gorliwy patryota, nie był zbyt wymagający; przyuczył mnie, co mam robić i nie brakło mi pomocy w oficerach. Począłem od utrzymywania kontroli wpisów, pełnienia służby, jakiej wymagała organizacya tworzącego się batalionu; niebawem zawiązała się przyjaźń moja ścisła z Macewiczem.

W tymże czasie zaprzyjaźniłem się z walecznym kapitanem naszej artyleryi Januszem Czetwertyńskim [1]) i jego nieodstępnym kolegą Przeździeckim. Przybyli do naszego korpusu pułkownik Sołtan i dwaj Mikulscy, Józef i Izydor. Przychylni dla nas byli sztabowi Chłapowskiego, mianowicie Loga, Marcinkowski, a nie przestawał nowe dawać, nam Litwinom, dowody szacunku i przychylności Generał. Służba szła regularnie i przestrzegana była karność, jak należy; sam Chłapowski objeżdżał nocami posterunki; — niekiedy fałszywy alarm robiono w noc późną do boju, dla poznania, czy wszystko było na pogotowiu.

Niektórzy starzy oficerowie z regularnego wojska, przybyli z Warszawy, przebąkiwali czasem, patrząc na nowo zaciężnych z ukosa, że nie widzą zapowiedzianych im powstań i legionów. Markotno to było naszym, ale ich szanowali, unikali zajścia.

Jednego dnia widzimy przylatującego ku nam na pięknym koniu w towarzystwie kilku towarzyszów zabarmaszystej postaci, w burce powstańca. Był to Matuszewicz, o którym już mówiono, że był pogromcą Czerkiesów w Trokach, czy gdzieindziej. Przywiózł dokładną wiadomość o powstańcach gubernii wileńskiej. Chłapowski uprzejmie go przyjął i wysłał do nich z poleceniami.

W Niegościu [2]) przednia nasza straż zwarła się z kozakami, eskortującymi posłańca, wiozącego depesze z głównej kwatery

---

[1]) W autografie nazwisko to stale pisane jest: Czetwiertyński. (Przyp. wydawcy).

[2]) Zapewne mowa o Ułogościu. Porówn. Barzykowski »Hist. powst. listop.« VI, 133. (Przyp. wyd.).

rosyjskiej do generał-gubernatora wileńskiego. Było około 30, a może więcej kozaków; nie poddali się, pokłuli naszych żołnierzy i dali się pozabijać; dwóch czy trzech tylko ocalało i ci potem spokojnie za nami jechali, choć ich nie pilnowano; z naszych Litwinów Zabiełło, oficer wielkich nadziei, dostał ciężką ranę w tem spotkaniu.

Z depeszy dowiedział się Generał o batalii pod Ostrołęką, o odcięciu dywizyi Giełguda i o jakimś oddziele moskali, idących na wzmocnienie załogi wileńskiej. Zarzucano potem Chłapowskiemu, że nie poszedł uderzyć na ten oddział, lub nie starał się mu przeszkodzić przejścia do Wilna. Zarzut był niesłuszny, bo nasz Generał miał zaledwo sześćset żołnierza zdolnego do boju i trzy działa Czetwertyńskiego, reszta źle uzbrojona lub bez zbroi, ciężarem raczej niż pomocą była; i cała garstka lepszego żołnierza szła bez odpoczynku, bez jednej dniówki od Białowieskiej puszczy; ludzie i konie w zmęczeniu.

Pierwszy nieco dłuższy odpoczynek, bo prawie przez dzień cały mieliśmy w majątku Ogińskiego (jeżeli się nie mylę w Gabryelowie). Tam sztab Chłapowskiego i wielu oficerów szczodrze podejmował w pięknym pałacu gospodarz, a o południu nadszedł i uszykował się w szereg legion tak nazywany akademików wileńskich.

Ach! jakież to wejrzenie miał ten legion, po długiej partyzantce w puszczy i za puszczą, po wielokrotnem spotkaniu się i utarczkach z nieprzyjacielem; liczył więcej sta młodzieży wychudłej, odartej, ale raźnej, wesołej. Miało z niej wielu strzelby myśliwskie, jakby z obławy na niedźwiedzia, niektórzy karabiny, wzięte na nieprzyjacielu; niejeden z pałaszem, czy z oszczepem, z pistoletami u pasa; ten w czapce z piórem koguciem, ów w kaszkiecie; a obuwie! ledwo się trzymało na nogach.

Wyjechał do nich przed front na pięknym koniu w mundurze generał, w orszaku licznych oficerów; potrójny okrzyk daliśmy na cześć akademii wileńskiej; dobrze wyprostowani w linii stali jej waleczni uczniowie, sprezentowali broń, jaką kto miał, pod komendą (jeżeli się nie mylę) Giedrojcia, kapitana z napoleońskiej służby.

Wnet przed linię wyszedł z przemową do generała gimnazyalny profesor Gronostajski, w szarej kapocie, słomianym ka-

peluszu i jakby po rzymsku w posznurowanych, po prostu mówiąc, naszych chłopskich łapciach. Wymownie się spisał nasz profesor, poddając w krótkich wyrazach cały legion swoich towarzyszy pod rozkazy Chłapowskiego, gotowych umrzeć za ojczyznę.

Na to donośnym głosem wymowniej odpowiedział generał, pochwalił miłość ojczyzny, poświęcenie się i gotowość do boju; »daliście dowód, rzekł mniej więcej w tych wyrazach, że nie licząc nieprzyjaciela, walczyliście z nim, dopełniając obowiązku dobrych obywateli; ale bądźcie przekonani, nie dosyć jest kochać ojczyznę, nieść miłość i zapał na jej wskrzeszenie, trzeba wprawy, karności, posłuszeństwa dowódcom i militarnej umiejętności w szeregach do boju. Te przymioty posiada nasz wróg, choć nie z miłości ni zapału, lecz na oślep, złej sprawie poddany; tych i nam przymiotów trzeba, aby się zasłużyć ojczyźnie.

»Niech żyje generał«, wykrzyknął legion; »niech żyje Litwa i Polska«, odrzekł Chłapowski; zagrali trębacze »Jeszcze Polska nie zginęła«; odjechał generał, a wielu z naszego korpusu, koroniasze i Litwini, ułani i nowozaciężni, poszli bratać się z akademikami i częstować, czem kto mógł i cieszyć się: był to jakby obchód 500-letniej(!) uroczystości Unii Litwy z Koroną.

Tegoż dnia starano się nieco opatrzyć potrzebniejszych w odzież i obuwie. Chłapowski jeszcze się wahał, czy miał ten legion wcielić natychmiast do formującego się pułku, czy zostawić go osobno przy sobie, opatrzywszy w broń i dobrych instruktorów.

Na parę godzin przed zachodem słońca ruszyliśmy dalej i przy pierwszej jakiejś zamożnej wsi stanęliśmy obozem; tu przyłączył się do nas dość liczny, dobrze ubrany, uzbrojony w piki i pałasze oddział jazdy powstańców pod dowództwem Platerówny. Z nią przybyli Cezar i Władysław Platerowie, nie mało obywatelskiej młodzieży i pieszych ochotników.

Nie mogła mieć więcej nad 24 lat Platerówna; nizkiej urody, blada, nie piękna, ale okrągłej, przyjemnej, sympatycznej twarzy, błękitnych oczu, kształtnej, ale niesilnej budowy; była poważną, bardziej surową, niż ujmującą w obejściu się, mało mówiącą i spojrzeniem nakazującą dla siebie należne względy i przyzwoitość; nikt też w obozie nie dopuścił się w jej obe-

cności wymówić jakiego niedorzecznego słowa, żartu, lub uchybić w grzecznem obejściu się. Miała na sobie szaraczkowy po kolana surdut z czerwonym kołnierzem, a koło szyi koronkowy kołnierzyk, co było jej bardzo do twarzy. Przytem miała na głowie kaszkiecik męski, włosy ucięte, szerokie do ziemi szarawary, puginał i małą szablę u pasa, ostrogi srebrne przy bucikach. Skromna, bez żadnej nienaturalnej pretensyi, trzymała się zgrabnie na koniu, a przy niej nieodstępną była takiejże co ona urody jej przyjaciółka, przystojna, wesoła, wszystkim podobająca się panna Raszanowiczówna.

Grzecznie i uprzejmie przywitał Chłapowski hrabiankę, która też miała staranne wyższego świata ujęcie i wychowanie.

Co dzień spieszniej pomnażał się nasz korpus; dochodził już do półtora tysiąca ludzi, kiedy nadeszła w marszu wiadomość o zbliżającej się ku nam dywizyi Giełguda. Podniosła duch i zapał w każdym żołnierzu czy to starej, czy powstańczej służby.

Już mieliśmy z nowozaciężnych i tych, którzy od Białowieży przyszli z Chłapowskim, utworzone dwie kompanie 25 pułku piechoty i dwa czy trzy szwadrony jazdy. Pierwszej kompanii był mianowany szefem rzeczywistym Stawiarski, a honorowym panna Plater, a drugiej jeden z instruktorów, którego nazwiska nie pamiętam; dowódcą pułku, jakem powiedział, był Macewicz, przy nim zaś pełniłem obowiązek adjutanta pułkowego. Nowych szwadronów był mianowany pułkownikiem Sołtan; przy nim pełnił służbę adjutanta Izydor Mikulski.

Opuszczam wiele szczegółów przymglonych w mojej pamięci i przechodzę do ogólnego połączenia się wszystkich prawie powstań i partyzanckich oddziałów z dywizyą Giełguda w jego majątku na Żmujdzi (Giełgudziszkach czy .....[1]); było to pod koniec czerwca.

Przyszedł tam i nasz korpus Chłapowskiego z formującymi się oddziałami jazdy i piechoty. Wielka była radość: na-

---

[1]) W autografie wyraz opuszczony. Co się tyczy Giełgudziszek, to w Słowniku geograficznym figurują one jako Giełgodyszki, wieś nad Niemnem w pow. władysławowskim. (Przyp. wyd.).

deszły uformowane powstania z Kiejdan, Króż, szawelskie; przyprowadzili i wilejskie Brochocki, Chodźkowie; i z Inflant ukazali się partyzanci, a aż dopiero kiedy się przypomni, ile się tam ukazało przybyłych z Giełgudem batalionów piechoty i szwadronów jazdy, z których niejeden walczył pod Grochowem, Wawrem, Dębem Wielkiem [1]), a ledwo nie od wczora był w ogniu pod Ostrołęką.

Do czternastu tysięcy mieliśmy zebranego wojska, a jakaż tam była rozmaitość broni, oręża i ubrania! Ze wszystkich dzielnic starożytnej Polski znajdowali się tam partyzanci: Poznańczycy, Galicyanie, Podolanie i Ukraińcy; stary żołnierz i powstańcy. Trzy dni mieliśmy odpoczynku i radości; a choć deszcz padał, biły grzmoty i pioruny, bawiono się niestety jakby po wygranej; w pałacu grała muzyka, zjechało się wiele pań i obywateli ościennych.

Postanowiono jednak na radzie iść natychmiast i całą siłą uderzyć na Wilno, gdzie nieprzyjaciel gromadził ku obronie liczne oddziały. Oprócz Chłapowskiego było pod rozkazami Giełguda, jako starszego w randze, wielu innych generałów i pułkowników, jako też dowódców powstań, znanych dobrze z imienia i zasług.

Wśród tak niejednolitych elementów, z których się składało wojsko nasze, niepowodzeniem i forsownymi marszami strudzone, trzeba było czasu do uorganizowania sił i przygotowania się do takiej wyprawy, jaką była wyprawa na Wilno. Może niesłusznie szemrano na Giełguda, że czas traci. Dał więc rozkaz do wymarszu i po trzech dniach zaledwo odpoczynku ruszyła spiesznym marszem ku Wilnowi cała dywizya Giełguda, pomnożona oddziałem, który przyszedł był z Chłapowskim z Królestwa, i niektórymi legionami lepiej uzbrojonych powstańców, mianowicie jazdy. Macewiczowi dano rozkaz prowadzić dwie nasze tworzące się kompanie do Kowna, a przyłączono do nas jeden szwadron strzelców i jakiś mały oddziałek świeżo przybyłych ochotników.

Nie moją rzeczą przywodzić tu szczegóły, tyczące się niefortunnej wyprawy na Wilno i odniesionej tam porażki; nie odstą-

---

[1]) W autografie: Dębą Wielką. (Przyp. wyd.).

piłem na jeden dzień od mojej służby i obowiązków pod dowództwem Macewicza.

Po dwudniowym marszu weszliśmy do Kowna. W mieście ani jednego nie było żołnierza; w szpitalu tylko wojskowym leżało niewielu Rosyan rannych i chorych, nad którymi urząd miejski miał opiekę. Nie było też ani za Niemnem od strony Augustowa, ani na całym obszarze kraju od strony Wilna sił nieprzyjacielskich; te bowiem już zostały ściągnięte do Wilna.

Rozpołożyliśmy się na przedmieściu, a liczyły na ten czas dwie nasze kompanie 25 pułku 500 do 600 ludzi i kilkunastu oficerów. Wzięto się zaraz do ćwiczeń wojskowych i do codziennej zrana i wieczorem musztry; mieliśmy czterysta starych karabinów, niezbyt dobrze opatrzonych i tak mało amunicyi, że się zaledwo znalazło po kilka ładunków na każdego. Trzeba było straż utrzymywać w mieście, jako też posterunki na Aleksocie za Niemnem i na wileńskim trakcie.

Miasto nas dobrze przyjęło. Za pomocą rady miejskiej dostaliśmy z kontrybucyi od mieszczan niemało obuwia dla żołnierzy; było podostatkiem żywności, chleba i mięsa. Oficerowie zaś i wielu z podoficerów wieczorami nieźle się bawili u przedniejszych obywateli w mieście. Dano nawet bal na przyjęcie Platerówny; bawiono się w domu pani Kowalskiej, znanej z szacunku i przyjaźni, jakie ta szanowna pani miała dla Mickiewicza.

Nie podzielałem tych zabaw ni ugoszczeń, miałem wiele do roboty; rozprowadzałem straże i zmiany ich według przepisów Macewicza, za jego i starszej służby oficerów pomocą; nocami objeżdżałem forpoczty, przeprawiając się łódką i za Niemen, utrzymywałem spisy i kontrole pułkowe.

Jednego dnia zrobiliśmy rewizyę po sklepach i domach żydowskich, szukając prochu i ołowiu. Znaleźliśmy nie mało ołowiu na kule i nieco prochu, cokolwiek też siarki i saletry, ale nie było czasu i komu zająć się ich zużytkowaniem. Przybyły od głównodowodzącego Giełguda, jeżeli się nie mylę, na komendanta placu, Plotzer otrzymał za wdaniem się Macewicza od rady miejskiej nieco pieniędzy na żołd dla naszych żołnierzy i choć mieliśmy płatnika, czuwałem nad ich rozdaniem.

Brakło odzieży: dowiaduję się, że żydzi w podziemnych

sklepach chowają wielki skład sukna. Z płatnikiem więc i jednym tęgim oficerem przy pomocy kilku żołnierzy, a za wiedzą i rozkazem komendanta placu, splądrowaliśmy wiele podziemnych kryjówek i z nich kilka postawów sukna wyniosłem. Natychmiast zebrałem wszystkich z miasta krawców i ich pomocników do ogromnej szopy i poczęto szyć mundury.

Codzień to czynniej brali się nasi instruktorowie do musztrów. Ale cóż po ewolucyach, marszach, zmianach frontu, tyralierskich ćwiczeniach, bez broni, kiedy jej brakowało połowie naszych ochotników. Nie mieliśmy więcej nad 300 lepiej uzbrojonych, wyćwiczonych żołnierzy. Już drugi tydzień naszego w Kownie pobytu upływał. Niezłe wiadomości z początku dochodziły od czynnej naszej armii koło Wilna, a pochlebiało to naszym oficerom, że zakrywaliśmy jej prawe skrzydło od Augustowa.

Tymczasem rozchodzi się wieść niedobra między żydami o przegranej batalii pod Wilnem; nasze przednie straże i podjazdy ochotników ostrzegają, że na trakcie wileńskim ukazuje się wojsko. Była to przednia część naszej armii pod dowództwem Chłapowskiego; ci sami ułani i strzelce piesi na chłopskich konikach i działa trzy Czertwertyńskiego, które przywiódł był z sobą generał na Litwę; ale też z nim szło kilka oddziałów powstańczych i może jeszcze co niemało żołnierza ze starej regularnej służby.

Wszedł Chłapowski do Kowna z muzyką i dobrym rezonem, jakby się nic złego nie stało; lecz trudno było zataić przegraną, a przybywający z orszakiem generała oficerowie zwalali winę na nieczynność i nieudolność Giełguda. Nasi też z tworzącego się pułku oficerowie i żołnierze i inni z załogi zostawionej od wielu dni w Kownie ochotnicy skarżyli się, że zapomniał był o nas głównodowodzący, nie mianował naczelnika siły w Kownie i zostawił nas, wobec nadchodzącego nieprzyjaciela, bez broni i amunicyi.

Cezary Plater dał tego dnia obiad dla oficerów; było nas może czterdziestu przy stole; rozmawiano przeważnie o przegranej i stratach pod Wilnem i jak się pospolicie przy niepowodzeniu dzieje, narzekano na wodza. »Pocóż było — rzekł jeden z obecnych wyższej rangi oficerów — sprowadzać powstańców i partyzanckie oddziały z obronnych miejsc po całej Litwie

i przerabiać ich na regularne wojsko, kiedy do tego ani broni, ani czasu do omusztrowania i organizacyi sił nie było«. »Prawda — ktoś dodał — oczyszczono tym sposobem kraj z pojedyńczych oddziałów partyzanckich utrudzających ruch na każdem miejscu nieprzyjacielowi, przecinających mu komunikacyę, mogących walczyć przeciw przeważnej sile po lasach, po bagnach, nocami«.

Ogólna skarga była na Giełguda, a ufność ku Chłapowskiemu, na którego cześć piliśmy, dopóki nie zabrakło wina. Przyszło prędko do tego, że poczęto wołać »niech żyje wódz nasz Chłapowski« i na to się jednomyślnie zgodzono, aby nazajutrz przed wymarszem wysłać komisyę do Chłapowskiego w imieniu oficerów z prośbą i naleganiem, aby nad całą zbrojną siłą na Litwie objął dowództwo z usunięciem Giełguda.

Nazajutrz też zrana udaliśmy się w znacznej liczbie oficerów do obszernego salonu, z którego drzwi wiodły do pokoju generała i delegowaliśmy od siebie trzech zapaleńszych do niego z propozycyą. Weszli i w parę minut ujrzeliśmy zagniewanego Chłapowskiego: »Gdyby przyszło do tego, rzekł, iżby żołnierze w kompanii, czy ich oficerowie mieli zrzucać mianowanych przez rząd, starszych dowódców, a obierać sobie tych, co im się podobają, to pierwej palnąłbym sobie w łeb, niż służył wojskowo. Panowie, zalecam karność i posłuszeństwo, nadzieję i wytrwałość!« Odszedł i zatrzasnął drzwi za sobą.

Tegoż dnia przed południem ruszył ze swoim korpusem Chłapowski głównym traktem ku Kiejdanom, zostawiwszy w Kownie oprócz naszego pułku ze trzysta jazdy i piechoty rozmaitej broni. Było naszym obowiązkiem zakrywać uchodzącą przed nieprzyjacielem armię, a zapomniano nawet mianować na cały nasz kowieński garnizon dowódcę.

Sami zaradzając sobie z Macewiczem, rozstawiamy warty w mieście i na drugim brzegu Niemna; jeden szwadron powstańców w porozumieniu się z nami wysyła podjazdy i na trakt ku Wilnowi.

Na trzeci dzień po wyjściu Chłapowskiego z Kowna dochodzą wieści, że i od Augustowa nadciąga nieprzyjaciel; nieliczną straż utrzymywaliśmy w Aleksocie pod dowództwem jednego oficera; a kiedym o północy przeprawił się łódką do Aleksoty, znalazłem śpiących naszych żołnierzy, a tylko oficera

czuwającego z zupełną pewnością, że nie było niebezpieczeństwa. Zrana uszykowaliśmy naszych lepiej wyćwiczonych żołnierzy i lepiej uzbrojone posterunki jak do obrony za miastem i w mieście na placu i na ulicach od strony Wilna; tych zaś, co nie mieli palnej broni, uzbroiwszy w piki, a niektórych w kosy, ustawiliśmy przy obronie mostu na Wilii.

O południu poczęli o parę mil ukazywać się kozacy na trakcie wileńskim; odpędziła ich nasza jazda powstańcza; a był niemały alarm w mieście i gotowość do boju.

Nad wieczór przyjeżdża z nominacyą od Giełguda na dowódcę szczupły, naszej siły militarnej kowieńskiej, ze starej służby wojak, pułkownik Kiekiernicki. Poszedłem zdać mu na piśmie raport o ilości broni i amunicyi (nie mieliśmy więcej, jak po trzy ładunki na każdego żołnierza), liczbie żołnierza i zapasie żywności; zmarszczył się i nic nie powiedział. O dziewiątej w nocy daje Macewiczowi rozkaz do zdjęcia straży z Aleksoty i z najdalszych posterunków na trakcie wileńskim; spełniłem jego rozkaz, i cała prawie nasza piechota przechodzi na drugą stronę mostu.

Noc ciemna, spokojna. O wschodzie słońca nowy odbieramy rozkaz Kiekiernickiego; każe piechocie naszej wracać z za Wilna i szykować ją na ulicach do obrony miasta. Przed południem pierwsze strzały na trakcie wileńskim ostrzegają o zbliżaniu się nieprzyjaciela.

Atak był tak prędki i silny, że po kilkakrotnym wystrzale i po starciu się z naszą, Stawiarskiego, jeżeli się nie mylę, kompanią i z drugą na placu, większa ich część poszła w niewolę, reszta zaledwo zdołała przejść przez most nad Wilią; nie przygotowano sposobów do zniszczenia mostu. Sam Kiekiernicki i komendant placu zostali wzięci w niewolę.

Nie chcę przypominać bolesnych strat i niemiłych wypadków dnia tego. Ledwośmy przeszli z Macewiczem i połową może naszych żołnierzy za most nad Wilią, poczęły nad nami przelatywać kule i pękać granaty, a okrążać sotnie kozaków.

Niezbyt rozległa równina ciągnie się od Wilii do przyległego lasu, do którego zdążyć potrzeba było przed nacierającą za nami jazdą nieprzyjacielską. Tu się zdarzyło, że panna Plater, którą przed chwilą widziałem nieustraszoną, pełną odwagi pod kartaczowym ogniem, spada z konia; i w tym momencie

dopędza jej konia Macewicz, sam zsiada, wsadza ją na koń i uprowadza ją z jej przyjaciółką przed bieżącymi za nią kozakami do lasu.

Tej nocy przez kręte drożki i błotniste manowce zdołaliśmy zdążyć do, nie pamiętam, jak się nazywa, folwarku, gdzie przestraszoną znaleźliśmy rodzinę, wiele pań i dzieci. Przyjęto nas najgościnniej, litowano się nad panną Plater; opowiadała ona spokojnie o bitwie, o przegranej, o przypadku, jaki się jej zdarzył i wyratowaniu przez dzielnego Macewicza. Przypominaliśmy, że ostatniego wieczora, przy obozowem ognisku, kiedy w poufnej rozmowie toczyła się rzecz, czy kobiety mogą brać udział czynny na placu boju w bataliach, a wielu oficerów i ja może przez grzeczność potwierdzaliśmy opinię walecznej hrabianki, że kobiety powinny mieć udział w niebezpieczeństwach, a nawet w boju za ojczyznę, Macewicz tylko był przeciwnego zdania; a jednak, gdy przyszedł moment, on się sprawił po kawalersku, a myśmy na to patrzyli.

Tegoż dnia przybyłem z Macewiczem do Kiejdan. U wejścia do miasta wisiał na szubienicy żyd, a drugi żyd stał opodal z karabinem na straży; u tego zapytał Macewicz: »Żydzie, kogo pilnujesz?« — odpowiedział nieco bąkając i jakby dla przypodobania się z uśmiechem żydek: »Ojczyzny, Jaśnie Panie«.

W Kiejdanach był rząd narodowy centralny, a jego prezesem Zaleski [1]), dawny patryota z czasów czteroletniego sejmu: wysoki, poważny, pełen godności obywatel. Przy nim znajdował się ministrem dawny z uniwersytetu wileńskiego bibliotekarz, mój dawny znajomy, Kontrym, gorliwy Polak, bij zabij na szlachtę i panów. Trafiliśmy na pobór ochotników do wojska, nakazany przez ów rząd, do którego składu wchodził i marszałek powiatowy, jeden z gorliwych naczelników powstania.

Było już z tego poboru około trzysta włościan czekających na broń i uformowanie z nich szeregów do boju. Powzięliśmy z Macewiczem zamiar użyć ich do zreformowania na nowo naszego 25 pułku piechoty, bo i z rozbitego w Kownie

---

[1]) Marcin Zaleski, o którym tu mowa, nie był prezesem rządu centralnego, tylko intendentem armii. Prezesem był gen. Tyszkiewicz, Kontrym miał wydział skarbu. Barzykowski, IV. 243. (Przyp. wyd.).

nadeszło na drugi dzień po przybyciu naszem do Kiejdan ze sto niezłych żołnierzy, zebranych w rozsypce i przywiedzionych przez jednego z naszych oficerów; do tego i niejeden z tych, co przyszli byli z Chłapowskim, przyłączył się do nas i spodziewaliśmy się znaleść nieco broni w miasteczku.

Udałem się więc z Macewiczem do rzeczonego rządu czy jak go też nazywano, komisyi narodowej, domagając się wydania nam owych trzystu ochotników i utworzenia z nich dwóch kompanii piechoty. Pokazał Macewicz mianowanie siebie przez Chłapowskiego za przybyciem do Litwy dowódcą formującego się pułku, a mnie adjutantem pułkowym. Zaleski nie był przeciwny naszym zamiarom; marszałek chciał z rzeczonych ochotników mieć oddział miejscowy z imieniem powiatu, do którego należeli; największego i najupartszego przeciwnika mieliśmy w Kontrymie; skarżył się na generałów, skarżył się na oficerów i żołnierzy koronnych ze starej konstantynowskiej służby, że pogardzali powstańcami i młodymi żołnierzami; powstawał i na panów i na szlachtę, że im braknie zapału.

Wziąłem na siebie udobruchać Kontryma, przypominając mu dawne uniwersyteckie czasy, jego stosunki z młodzieżą, dobro powszechne i potrzebę zapomnienia uraz. Na trzeci dzień zaledwo przełamałem upór starego zapaleńca demokraty. Wzięliśmy się natychmiast konwulsyjnym prawie ruchem i zapałem do formowania na nowo pułku. Do owych trzystu włościan z poboru i więcej sta ludzi uratowanych z Kowna, przyłączyło się do nas niemało młodzieży obywatelskiej i partyzantów, którzy się już byli znaleźli nie w jednej z nieprzyjacielem utarczce i nie brakło instruktorów.

O pół mili od miasta rozpołożyliśmy się obozem; znalazło się ze sto strzelb i karabinów; tym, co ich nie mieli, rozdano piki i kosy. Po żmujdzku przemówił Macewicz z wielkim zapałem do nowych żołnierzy i to się im wielce podobało. Z nadchodzącą nocą zakonnik Bernardyn, który do nas przystał na kapelana, przemówił także po żmujdzku, za nim cała nasza gromada, na dwie kompanie podzielona, zmówiła pacierz wieczorny.

Rozstawiono straże i objechaliśmy je po północy z jednym ze starych oficerów. O świcie brano się do ćwiczeń, kiedy jeden zadyszany w biegu mieszczanin daje znać, że już całe

nasze wojsko przeszło nocą przez Kiejdany, że o pół mili uciera się jeszcze nasza jazda z kozakami, że komisye opuściły miasto.

Formujemy się natychmiast do marszu i podwójnym krokiem idziemy na trakt wiodący z Kiejdan do Szawel.

Przechodziła właśnie przez Kiejdany tylna straż korpusu generała Chłapowskiego, kiedyśmy dochodzili do miasta. Pojechałem naprzód obaczyć się z generałem, zdać mu raport i dowiedzieć się w sztabie o zaszłych wypadkach.

Z równąż, jak zawsze, uprzejmością przyjął mię Chłapowski i choć był wypogodzonej twarzy, widać było na niej strudzenie i bezsenność. Smutniejszy jechał przy nim i mało mówiący Loga; podjechał do mnie, uścisnął za rękę i rzekł: »Winszuję tobie i cieszę się; widziałem wczora prześliczną szarżę jednego szwadronu waszych nowej formacyi powstańców litewskich; nie dobrze się dzieje, ale nie traćmy nadziei, mamy jeszcze dosyć sił do oparcia się i do kroków zaczepnych«.

Szliśmy cały ten dzień bez odpoczynku i połączyliśmy się z Giełgudem.

Przypominam dziś jeszcze jeden szczegół, który na mnie smutne po sobie wrażenie zostawił. Zatrzymało się nasze wojsko z wielu oddziałów regularnego żołnierza i nowo zaciężnych szeregów złożone, w miejscu, gdzie okoliczne wsi podostatkiem żywności dla ludzi i karmu dla koni dostarczyły. Giełgud miał w niewielkim domku na wzgórku kwaterę; koło tego domku był ruch niezwyczajny oficerów szemrzących, narzekających na nieczynność, na brak porządku i planu w obrotach; oskarżano głównodowodzącego, że myśli o układach z nieprzyjacielem i nas do Prus prowadzi.

Schodzili się oficerowie ze wszystkich oddziałów, zebrało się nas może do 60-ciu, jeżeli się nie mylę. Stała warta przed domem, a głośno mówiono o tem, czyby nie zmusić lub uprosić Giełguda, żeby zdał dowództwo na Chłapowskiego. Giełgud zaś prawie od batalii pod Wilnem był chory na różę, nie wsiadał na konia, jechał w małym koczyku. Nie było zgody między oficerami: jedni przestrzegali, że to się zanosi na bunt; drudzy, że Chłapowski nie przyjmie dowództwa; inni zapaleńsi, niesforni, do gwałtowniejszych sposobów rzucać się radzili, na ratunek, jak mówili, ojczyzny.

Giełgud, gdy mu doniesiono o tem, co się tuż przy jego kwaterze działo, wyszedł na ganek, chromiąc i nacierając sobie obwiązaną nogę. Był to męszczyzna wysoki, dobrze zbudowany, nie pięknej, ale militarnej twarzy; defigurowało ją to, że miał tylko jedno oko, którem patrzył, a drugie było szklanne; miał sławę dobrego żołnierza jeszcze z napoleońskiej armii, był nieposzlakowany w charakterze, uczciwości, a przytem majętny obywatel. Widać było w starym generale oburzenie; zrazu jakieś tylko słowo do przybocznego adjutanta przemówił, a potem z trudnością obróciwszy się do nas, rzekł przerywanym, przycichłym, lecz dobitnym głosem, mniej więcej to: »Posądzacie mnie, że myślę o układach z nieprzyjacielem — wiedzcie — gdyby w moich żyłach jedna tylko kropla krwi została z myślą o układach z kim nie bądź, to i tę byłbym sam wycisnął«. Odszedł blady, wzruszony. Krzyknęli niektórzy: »niech żyje generał, niech żyje Giełgud«, drudzy spokojnie odeszli.

Jeszcze o pół dniówki od Szawel, koło Rosalina[1]), gdzie się dwa główne gościńce schodzą, w miejscu, które się zdawało obronnem, usiłowano wstrzymać przednie siły armii rosyjskiej i uderzyć jednocześnie na Szawle, gdzie był nieprzyjacielski garnizon, i spodziewano się tam zdobyć zapasy broni i amunicyi. Tuśmy stracili niemało ludzi i część artyleryi; odcięto nam nowo zaciężnych kosarzy, którzy spokojnie do domów odeszli i tu o mało z Macewiczem nie byłem wzięty do niewoli.

Przechodząc tego dnia z Macewiczem i małą drużyną ostatków naszego oddziału koło Szawel, widzimy o pół mili od miasta żołnierzy naszych, grzebiących ciała poległych tej nieszczęsnej godziny. Nasi byli pewni wygranej, już byli weszli do Szawel; nieliczny garnizon piechoty rosyjskiej, po krwawej walce, schronił się za mur otaczający kościół. Po trzykroć rota naszych żołnierzy usiłowała zdobyć to obwarowane miejsce i była odpartą; w jednym z ataków sam Loga z karabinem w ręku prowadził do szturmu piechotę i padł trupem: nie posłano w asekuracyę nowego posiłku; nie było w zamiarze generała opa-

---

[1]) Może Rozalina? Słownik geograficzny nie zna Rosalina. (Przyp. wydawcy).

nować Szawle i zatrzymać się w tem miejscu przed nadchodzącą za nami armią nieprzyjacielską.

Po klęsce szawelskiej przyszliśmy z oddziałem Chłapowskiego tej nocy do Kurszan, gdzieśmy znaleźli zebrane całe nasze wojsko i to, co pozostało z korpusu Giełguda i co wprowadził na Litwę Chłapowski, i reszty naszych litewskich powstań, złożone po większej części ze szwadronów jazdy, nieźle uzbrojonej i na dobrych koniach.

Przez całą noc trwała narada w głównej kwaterze Giełguda, do której wchodzili generałowie: Dembiński, Chłapowski Roland, Szymanowski, Tyszkiewicz, wiele pułkowników i do której byli też przypuszczeni celniejsi nasi dowódcy powstań Nie ustawały po całym obozie skargi i podszepty na naczelników; przypisywano im marnowanie sił i czasu, nieporządek brak energii i jedności w wojennych działaniach.

Było jednak, wyznać potrzeba, już widoczne tak w oficerach jak w żołnierzu osłabienie ducha i ufności w siebie. Oddalenie od głównej narodowej armii i zupełne z nią przerwanie komunikacyi, ukazywanie się na licznych punktach, od czasu batalii pod Wilnem, przeważnych sił regularnej armii nieprzyjacielskiej, ciągłe niepowodzenie, marsze nużące bez widocznego celu, bezradność głównodowodzącego: jakże to wszystko nie miało wpłynąć na osłabienie karności i zapału w starej służbie żołnierzu, przyzwyczajonym do surowego porządku i posłuszeństwa. Nasz zaś ochotnik, powstaniec z lasów i partyzantki, do taktycznych zaciągnięty szeregów, widział pomarnowane trudy swoje i ofiarność.

Około roznieconego na polu ogniska siedziało wiele na Litwinów w towarzystwie Platerówny i nieodstępnej od nie przyjaciółki. Był tu z nami Macewicz, ponury, smutny, milczący; nieweselsi też byli nasi instruktorowie, z których już ledwo trzech czy czterech zostało i przychodziło do nas wielu z innych pułków i szwadronów towarzyszy. Przez całą noc ciągnęła się naprzemian smutna i niepocieszająca, naprzemian weselsza, ożywiająca rozmowa; pytano się wzajemnie, dokąd idziemy? wszakżeż już niedaleko brzegi Bałtyku; tu się rozprawić musimy z Moskalem. Mamy siedm do ośmiu tysięcy

żołnierza i artyleryę i dobrych generałów — a choćby i nam wszystkim wyginąć przyszło, toć nasi już tam pod Warszawą pobili już tylokrotnie — a interwencya Francyi! Wszak i Anglicy posyłają nam do Połągi broń i amunicyę. Prusacy też nie nam nieprzychylni — wszakże w Memlu, w Królewcu kupcy nam sprzyjają; od nich mamy proch i kule. Takie były rozmowy, do których mało się mieszała Platerówna, blada i spokojna; a kiedy widziała weselszych: »cieszcie się, rzekła, wprowadzą was do Prus na hańbę narodu«. Nie odstępował jednak zupełnie humor właściwy nam Polakom; pozwalano sobie i żartów i gadatliwości, która niekiedy na kłótnie zakrawała.

Czekaliśmy niecierpliwie skutku narady wojennej; przychodziły ni te ni owe wieści z głównej kwatery. Jednym razem ruch w całym obozie. Uradzono: na trzy korpusy ma się rozdzielić nasze wojsko: najliczniejszy w piechotę, koło trzech tysięcy żołnierza, pod dowództwem Rolanda i Szymanowskiego pójdzie na północ, kierując się ku Memlu czy Lipawie, licząc, jak powiadano, na broń i amunicyę z Anglii; Dembiński z półtora tysiącami jazdy i konną artyleryą przedzierać się będzie do głównej naszej armii pod Warszawą; Giełgud zaś z Chłapowskim powiedzie resztę sił naszych traktem do Telsz [1]) ku granicy pruskiej.

We trzy godziny już każdy z tych korpusów był w marszu, tylko niewiadomą była droga, którą Dembiński miał iść do Warszawy.

Ja trzymałem się mego generała i towarzyszy niedoli.

Ten sam szwadron 1-go pułku ułanów, nieco zmieniony, który z taką radością spotkałem w Zapolu, szedł na przedzie, za nim Chłapowski jechał w towarzystwie dwóch czy trzech przyjaciół. Przyłączył się do niego legion konny kaliski i drugi nieliczny, złożony z wielkopolanów; tuż za nimi dążył Janusz Czetwertyński z trzema działami konnej artyleryi, jako też niewielki oddział powstańców jazdy litewskiej, pułkownik Sołtan i niejeden z luźnych oficerów.

Nie liczył może 1200 ludzi korpus tych, co poszli za Chła-

---

[1]) W autografie: Telż. Telże, wieś w powiecie poniewieskim, ale tu jest widocznie mowa o Telszach, mieście powiatowem gubernii kowieńskiej. (Przyp. wydawcy).

powskim, a byli wszyscy w mniemaniu, że idą pod rozkazami tego generała, kiedy tymczasem przy tylnej straży ujrzeliśmy w małym kabryole jadącego generała Giełguda w towarzystwie brata swego i dwóch czy trzech adjutantów. Wnoszono, że pod jego, jako wyższej rangi generała, byliśmy i z tem się nie taił Chłapowski.

Zaraz po wymarszu z Kurszan poniszczyć kazał, niewiadomo Giełgud, czy Chłapowski, wszystkie wozy, na których były oficerskie bagaże; służbę tylko prywatną zostawiono i to na koniach. Z przyczyny, że główny korpus armii nieprzyjacielskiej popędził za Rolandem, jako najliczniejszym, a jedna część tego korpusu za Dembińskim, nikt nas nie gonił.

Podchodząc pod Telsze [1]), słyszymy huk dział daleki za miastem; była to potyczka żmujdzkich powstańców z Rosyanami; wymijamy to miasto; widzimy biegnący ku nam poczet ochotników z miejscowego powstania; witają nas radośnie, a po krótkiej rozmowie z Chłapowskim wracają do miasta.

Ach cóż to za miła ta Żmujdź! Kraj piękny, żyzny; włościanie zamożni i pobożni; ich domy dobrze budowane, wewnątrz obrazy świętych, zegary; stoły i ławy czyste; gościnność. Smutny przejeżdżałem koło kościółka, gdzie był lud zebrany. Wszedłem pomodlić się i ulżyło mi na sercu. Kiedym wsiadał na konia, starzec, który mi go pilnował, przytrzymując cugle, pocałował w strzemię i podniósł rękę do nieba.

Na trzeci dzień po wyjściu z Kurszan pożegnała się ze mną i Macewiczem Platerówna z wejrzeniem pełnem dumy szlachetnej i wyrzucając nam gorzko, dlaczego dajemy się prowadzić do Prus, chociaż jeszcze dobrze nie wiedzieli, co nas czeka. Została we wsi ze swoją nadobną towarzyszką i odtąd nikt z pewnością nie wiedział, co się z nią stało i dotąd niewiadomo [2]).

Po południu chmurzyć się poczynało i obaczyliśmy nie-

---

[1]) W autografie: Telżę.

[2]) Domejko myli się w tym względzie, a raczej zapomniał, że losy jej dalsze, a mianowicie choroba i śmierć, która ją zabrała w czasie przedzierania się jej ku Warszawie, dobrze były znane na emigracyi dzięki rozmaitym publikacyom. Porówn. »Les polonais et les polonaises de la révolution du 29 novembre 1831 par Joseph Straszewicz, Paris 1836«. (Przyp. wydawcy).

nawistny słup na granicy z czarnym namalowanym orłem. Szliśmy jeszcze ze trzy godziny coraz powolniej i zatrzymując się po za granicą pruską.

Około czwartej z wieczora cała nasza kolumna stanęła. Chłapowski posłał adjutanta swego do Giełguda po rozkazy, a gdy posłaniec ów wrócił, poczęło się przejście nasze haniebne do Prus.

III.

Na ziemi pruskiej.

Przejście do Prus.

Pierwszy przez granicę przeszedł ten sam szwadron ułanów z biało-czerwonemi chorągiewkami, który przed dwoma miesiącami zwiastował mi najmilszą w życiu mojem nadzieję i najżywszą na tym świecie napoił radością, jaka już nigdy nie wróci.

Boleść okrutna bierze patrząc, jak ten piękny zastęp naszego żołnierza wchodzi na krzyżacką ziemię a za nim zaciąga od zachodu łańcuch landwerów z napół czarnemi z napół białemi chorągiewkami na pikach. Zsiadają nasi z koni, odpasują pałasze, rzucają je na kupę, a na nich składają, jakby róże białe i czerwone, swoje chorągiewki.

Za nimi ciągnie legion kaliski i Wielkopolanie obywatele wracający do swoich siedzib do pługa, do żon i rodzin swoich. Zbladły, namyślający się, drżący od skrytej w sobie boleści Janusz Czetwertyński i jego (sic!) niemniej oburzony Przeździecki wahają się jeszcze co mają czynić; nagli ich rozkaz, prowadzą swoje działa za fatalną granicę, ale stawią je tuż przy niej i konie przy sobie.

Słońce zaszło krwawo za horyzont, a w tym momencie był już cały nasz korpus rozbrojony na ziemi najgorszego z trzech zaborców Polski. Giełgud został we dworze o ćwierć mili oddalonego od nas folwarku i przespał tę noc jeszcze na Żmujdzi.

Byłaż to noc nie łatwa i nie miła do opisania, noc poddania się z bronią bez bitwy. Pierwszy Dwernicki przed pięciu miesiącami dał ów zgubny przykład przejściem austryackiej granicy; my dziś to samo czynimy; później i Ramorino nie lepiej postąpił; nakoniec i całe nasze wojsko po dwakroć licz-

niejsze od tego, które poczynało wojnę i tyle zwycięstw odniosło.

Przez całą noc były zmowy, narady, kłótnie i niepokoje. Chodzili jak mary czy potępieńce nasze wiarusy, złorzecząc sobie, to jedni drugim, to narzekając na dowódzców: na Giełguda, na Chłapowskiego. W istocie jednak widoczne było osłabienie ducha nie od wczora, nie od klęski szawelskiej, lecz od batalii wileńskiej od wcielenia powstańców do regularnego ustroju wojska, nie mającego dostatecznej organizacyi ni siły, aby się oprzeć w marszu i na otwartem polu mierzyć się z armią nieprzyjacielską o wielekroć liczniejszą.

Chłapowski był waleczny, pełen zapału, uczciwy generał: nikt go ani Giełguda o zdradę ani przedajność posądzać nie mógł, bo jakaż sława, jakież choćby bogactwo całego świata mogło iść w porównanie z tem, co ich czekało w nagrodę, gdybyśmy odzyskali byt niepodległy, wskrzeszenie Polski.

Ale jak kiedy armia odniesie wygraną, tryumf i chwała spadają na dowódców, tak z niepowodzenia, z klęski odniesionej pierwsza wina rzuca się na tego, co dowodził.

Chłapowski, widząc nieudolność Giełguda, nie mógł sobie przywłaszczyć władzy, która do wyższej rangi generała musiała należeć; dałby przykład niekarności i wątpię, żeby mu żołnierz z regularnych pułków, przybyłych od głównej armii z Giełgudem, był posłuszny.

Co go zmusiło do marszu ku granicy pruskiej, czy rozkaz Giełguda, czy to, co wynikło z Rady w Kurszanach, tego nie wiem. Chłapowski liczył, jak zapewniano, na manifest króla pruskiego, zaręczający wolne przejście oddziałom sił wojujących z tem zastrzeżeniem, że Rosyanom wolny będzie powrót z orężem; nam zaś tylko rozbrojonym. Wielki obszar kraju, oddzielający nas od teatru wojny w Królestwie, a zajęty codzień pomnażającą się armią nieprzyjacielską, już to nadchodzącą z Rosyi, już z powiatów oczyszczonych z powstania, czynił przedarcie się do Warszawy tysiąca ludzi trudnem zapewne; chciał ich generał ocalić. Na parę dni przed wejściem, tejże nocy i nazajutrz, użyci przez niego poufali oficerowie, a może i sami z siebie namawiali jedni drugich, mianowicie nas Litwinów, do oddzielenia się małymi oddziałami na partyzantkę; mogliśmy jeszcze tej nocy mieć od Chłapowskiego i broń i konie. Jeden

z ochotników (nie pamiętam jak się nazywa) w istocie z pod samej granicy we 20 koni doszedł do stolicy naszej. Wielu bardzo uwierzyło, że łatwiej będzie przedrzeć się przez Prusy w Mazowsze, czy w Kaliskie, lub z Memla, lub z Królewca przemykać do Francyi pierwej, nim się wojna zakończy. Sam Chłapowski i Poznańczycy, jako obywatele pruscy, pewni byli kary fortecznej.

Przykro i bolesno jest przypomnieć, co się tej pierwszej nocy na terytoryum pruskiem działo. Wiedzieliśmy, że mieszkańcy tej części Prus, mianowicie Memla i Królewca, byli nam przychylni; od nich powstańcy nasi żmujdzcy kupowali broń i amunicyę; oni raczej, pewniej i na każdym punkcie, mogli nam ułatwiać powrót małemi partyami przez granicę. Na nich pewniej niż na króla mogliśmy liczyć i nie jeden z nas liczył.

Nie było snu tej nocy, ani się zważało na głód, na słotę, na wilgotny grunt, na którym byliśmy rozpołożeni. Co kilka minut objazdy i zmiany wart na posterunkach landwerów dochodziły do uszu. Północ minęła, odszedłem od ogniska, by już nie słyszeć sporów i niewczesnych odgróżek i narzekań i, jak to bywa na rozweselenie, rozpustnych obozowych rozmów. Spocząłem na ustroniu, położywszy głowę na kępie. Tu mnie znalazł po długiem szukaniu mój wierny służący Łukasz; nie odstąpił on mnie od mego wyjścia z Zapola; spostrzegłszy on na ten czas na pierwszym noclegu, że nie było jeszcze dla nowo zaciężnych broni, ni amunicyi, ni porządku, jak sobie obiecywał, został przy mnie, opiekował się mną bardziej, niż służył, upatrywał zawsze lepsze miejsce na spoczynek dla mnie, pilnował, dopatrywał konia, i czem się posilić niekiedy wyszukał. On to, kiedym z Kowna, zostawiwszy przy nim mego nieco chorego kasztana, musiał na innym, nowo kupionym uchodzić, znalazł mię w Kiejdanach, był bardzo mi użytecznym i po porażce na trakcie do Szawel dziwnym sposobem po drugi raz odcięty odemnie, znowu mnie dognał, oddał mi mego kasztana i sam na gorszym towarzyszył mi do tej granicy nieszczęsnej. W tym momencie przyniósł mi płaszcz, herbaty, pomówiliśmy z sobą nieco o Niedźwiadce, gdzie byli jego rodzice i gdziem się urodził; potem niedaleko mnie położył się. Zdrzemnąłem się, a równo ze snem poczęły mnie dręczyć sny gorsze od rze-

czywistości obecnej; widziałem w nich matkę, siostry; wymawiały mi, że je opuszczam na zawsze, ukazywały mi się wsie, pola, łąki i gaje rodzinne jakoś zmienione i ludzie nieznanej postaci.

Ocknąłem się ze zroszoną łzami twarzą, a obudził mię harkawy, niemiły głos mowy niemieckiej objeżdżającego nasz obóz jakiegoś oberlandrata i starego, może z frydrykowskich czasów majora, lustrujących nasze gromady żołnierzy rozbrojonych.

Broń naszą i konie oficerom tylko zostawiono; konie zaś żołnierskie miał rząd pruski zabrać i oddać Moskalom. Z tej przyczyny ze wschodem słońca poczęli oficerowie, kto z nich miał niedobrego konia, przemieniać z ułanami na lepsze, nagradzając im, jak kto mógł. Niejeden porucznik, kapitan czy major zaopatrzył się we wcale niezłe rumaki. Trwały te targi na konie cały ranek, przez cały też ranek druga jeszcze sprawa zajmowała gorliwie; było to na nieszczęście ubieganie się o nominacye. Przeczuwano, że urząd miejscowy królewski będzie rozróżniał emigrujących według ich rangi i świadectw, jakie ukażą. Kto ich nie miał, ubiegał się o świadectwa w głównej kwaterze u Giełguda i u Chłapowskiego. Stąd bieganiny nieustanne od tego generała do Giełguda i napowrót do Chłapowskiego. Co gorsze, starano się w tej smutnej chwili o awanse.

Zostawało jeszcze między nami przy Chłapowskim ośmiu czy dziesięciu oficerów z formującego się za przybyciem na Litwę Chłapowskiego 25 pułku piechoty, który jak powiedziałem, zaledwo parę razy był w ogniu i był pobity. Ci moi koledzy nalegali na mnie i na Macewicza, abyśmy dla nich upomnieli się u Chłapowskiego o należne im świadectwa nominacyi, a nawet niektórzy prosili o podwyższenie stopni; nie chciałem się podjąć tego polecenia i Macewicz odmówił. Sami więc poszli o to się starać do generała i Chłapowski dał dla każdego z nich świadectwo zaginionej nominacyi. Nie żądałem jej dla siebie, ale Chłapowski i mój były komendant Macewicz uznali, że mnie jako byłemu adjutantowi pułkowemu odpowiadało powieźć te nominacye do głównej kwatery i domagać się zatwierdzenia ich przez Giełguda, jako do tej chwili głównodowodzącego. Nie mogłem odmówić, wsiadłem tedy na koń

i jadę do owego folwarku, gdzie, jakem powiedział, zatrzymał się był z wieczora ze swoim sztabem Giełgud. Kiedym przyjechał i zameldował się, było już południe; generał jadł spokojnie obiad, u stołu siedziało kilku oficerów i nie brakło potraw i wina. Czekałem może z pół godziny. Wstał Giełgud z jednym z adjutantów i poszli przechadzać się po ogrodzie, a konie ich stały już osiodłane. Korzystając z momentu, przybliżyłem się do generała i opowiedziałem cel mego przybycia. Uprzejmie mnie przyjął i natychmiast poszedł podpisać nominacye.

Miedzy pierwszą a drugą, kiedym wracał do obozu, spostrzegam daleko na trakcie szawelskim wielką kurzawę. W obozie sądzono z początku, że był to nieprzyjaciel goniący za nami; lecz wkrótce nasi żołnierze poznali idący spiesznym marszem korpus Rolanda. W istocie szedł od Memla czy od Połągi ten sam oddział, który przed czterema czy pięciu dniami wyszedł był z Kurszan, kierując się na północ.

W miarę, jak pierwsza straż Rolanda zbliżała się ku nam, rosło zamieszanie w naszym obozie: a kiedy tą samą drogą którą weszliśmy do Prus, przeciągał, nie zatrzymując się, w porządku cały korpus Rolanda i Szymanowskiego po za granicę, kierując się do Polski, powstał rozruch między naszymi; jedni rzucali się do koni, by iść za Rolandem, drudzy ich przytrzymywali; było ogólne szaleństwo.

Dochodziły też z szeregów Rolanda krzyki i nawoływania ku nam i przybiegali z nich żołnierze i oficerowie, poburzając i zachęcając do łączenia się z nimi i opuszczenia Prus. Pierwszy przeszedł granicę i pośpieszył ze swemi działami za tylną strażą Rolanda Janusz Czetwertyński z Przeździeckim; rzuciło się też w tymże momencie nie mało żołnierzy do złożonej na kupę broni, lecz im przeszkodził landwer prusaczy i powstrzymywali ich od tego właśni oficerowie; nie jeden ułan wyrwał się oklep bez piki na koniu, nie jeden pobiegł i pieszo, byli i tacy, co w małe oddziałki łączyć się usiłowali; ale też nie jeden z piechoty i z jazdy korpusu Rolanda przebiegł i został we wzburzonym obozie.

Działo się to więcej pół godziny — aż oto na owym niefortunnym trakcie memelskim, po którym przeszedł cały korpus Rolanda i Szymanowskiego, nowa poczyna ukazywać się ku-

rzawa i słychać strzały dalekie; był to nieprzyjaciel. Ciemne chmury nadchodziły od wschodu.

W tym momencie Giełgud w towarzystwie brata swego i trzech czy czterech adjutantów przyjeżdża konno do obozu naszego, kiedy jeszcze rozruch, zamieszanie brały coraz groźniejszą siłę. Zaledwo przekroczył granicę stary wojak, kupić się do niego poczęło wielu oficerów. Byłem o kilka kroków od niego, kiedy w pędzie na koniu przyskoczył Skulski i wymówiwszy tylko słowo »zdrajca«, ugodził z pistoletu kulą w serce Giełguda i sam poleciał za uchodzącym korpusem Rolanda.

Posłonił się generał, pochwycił go w swoje ramiona brat, błyszczało jeszcze jakby żywe jego szklanne oko na bladej, spokojnej, pogodnej twarzy; nie było to wejrzenie umierającego zdrajcy.

Kiedy to się stało, okrążały nas świeżo przybyłe szwadrony pruskich landwerów: dały ich trąby znak do wymarszu, ich komendant naglił nas do opuszczenia granicy i powiódł za sobą. Podążyli naprzód za nim ułani nasi z swoim pułkownikiem Borkowskim, jeżeli się nie mylę, i z Chłapowskim i kilku oficerami na przedzie, a za nimi poszły inne oddziały, nie trzymając się już pierwszeństwa ni porządku. Za nami wieziono ciało zabitego generała, przy którym szedł brat i kilku wiernych towarzyszy broni.

Cały ten pochód otoczony napół czarnemi napół białemi chorągiewkami landwerów miał wejrzenie pogrzebowego konduktu. Boleśnie było patrzeć na naszych bez broni, bez lanc, ułanów; siedzieli jak zmokłe dziady, a ich konie wlekły się jakby chudziaki od brony. W gromadzie naszych rozmaitej broni oficerów była niezgoda, kłótnie, żwawe zatargi z powodu popełnionego morderstwa. Jedni chwalili czyn Skulskiego — wołali: niech żyje! dobrze zrobił. taka śmierć zdrajcom! i odgrażali się na Chłapowskiego; drudzy przeciwnie potępiali ten czyn jako nie polski, nie szlachetny. Giełgud był patryotą, a jeżeli słabością swoją i nieudolnością zaszkodził, toby go nie ominął sąd narodu i własne zabiłoby go sumnienie, a nikt nie powinien być razem oskarżycielem, sędzią i wykonawcą kary. Niejeden wykrzyknął: toć on nas do Prus zaprowadził, on porozrywał powstania — na to, ktoś tam odrzekł: któż wam za-

bronił był na nowo w Kurszanach formować oddziały, lub iść za Dembińskim, lub w on czas czy dziś jeszcze pójść na partyzantkę? Szanowany od wszystkich, jadący w pośrodku nas Adam Sołtan, syn ostatniego marszałka litewskiego, starał się ochładzać zapaleńszych, zalecał umiarkowanie — napróżno; kto broni zdrajców, ten sam zdrajca — krzyczano jakby na sejmikach; przychodziło do grubych wyrazów, do wyzywań się na pojedynki.

Tymczasem szliśmy za Prusakiem, nikt nie pytał dokąd Czarnemi chmurami było zaciągnięte niebo; zdaleka dochodziły do uszu to grzmoty nasuwającej się burzy, to przerwami huk dział nieprzyjaciela goniącego za korpusem Rolanda. Przerwała w końcu nienaraźne(?) kłótnie silna ulewa i nie opuściła nas do wieczora. Zmoczeni przyszliśmy na jakąś obszerną łąkę, przy której był las i wieś pobliska. Tu zatrzymał nas komendant landwerów wojennego okręgu tej prowincyi, gruby, osiwiały, niemiłej twarzy i postawy i oświadczył Chłapowskiemu, że chce do nas przemówić. Choć każdy z nas myślał tylko o tem, żeby się osuszyć i czem pożywić, zeszliśmy się na miejsce, gdzie był komendant i od niego usłyszeliśmy, że z przyczyny cholery i zaprowadzonej kwarantanny na całej granicy pruskiej od strony Rosyi i Polski, będziemy zmuszeni pozostać obozem w przeciętej komunikacyi z miejscową ludnością przez cały czas przepisany ustawą. W istocie był to czas ciężkiej cholery na całem pograniczu Polski i w głąb kraju, a tylko ruch wojenny, zapał, czujność i niepowodzenia odwracały uwagę od tego drugiego nieprzyjaciela, który zabijał ludność po szpitalach i niejednego nam żołnierza uchwycił.

Była to już ostatnia tego dnia gorycz do zgryzienia. W głodzie i wilgoci przespaliśmy tę noc nieszczęsną. Na drugi dzień te same landwery i komendant przeprowadzili cały nasz oddział do 70 ludzi liczący na inne miejsce, gdzieśmy cały dzień gorący na piasku pod słońcem obozowali. Tam odebrano konie prostym żołnierzom; a naszym oficerom zostawiono do woli utrzymywać na swoim koszcie, lub je przedawać mieszczanom i chłopom w wielkiej liczbie z całej okolicy na to przybywającym. Rozpoczęły się więc targi na konie i ja tu mego kasztana za 60 talarów przedać musiałem. Zapomniałem powiedzieć, że było między nami niemało rannych, z których jedni od samych

Kurszan dojechali na chłopskich wózkach do granicy, wkroczyli z nami do Prus, drudzy na koniach. Trzeba tu było ich opatrzyć i niemi się zajmować, a mieliśmy trzech czy czterech lekarzy, między którymi był Marcinkowski z Poznania i Sobolewski, mój szkolny przyjaciel Litwin.

Nie dano nam jednak długo tu odpoczywać i zaraz nazajutrz zawiedziono dalej o parę mil do miejsca zwanego Ascheken, gdzie pod pozorem kwarantanny przez dwa miesiące pod ścisłą strażą nas trzymano.

Pod strażą pruską.

Ascheken jest miejsce nie wesołe; płaszczyzna napół piaszczysta, sucha, oddalona od wsi i od granicy o dwie czy trzy mile położona od Memla (Kłajpedy). Był to folwarczek, najęty zapewne przez rząd na kwarantannę dla nas, znaleźliśmy tu niewielki domek, dwie stodoły puste i jeszcze jakąś chatkę na ustroniu. Domek obróciliśmy na szpital, w stodołach spaliśmy na słomie pokotem, a kto się w nich nie zmieścił, lub komu było za ciasno, nocował pod gołem niebem. Zaraz też jeden spekulant, kupiec z Memla, wystawił z desek barak i w nim założył karczemkę. W niej można było dostać win i napojów wszelkiego gatunku, chleba, mięsiwa, a nawet łakoci; tu zatem była pospolicie schadzka weselszych gadułów, mających cokolwiek grosza.

Co też to było za życie w tym Ascheken, jeżeli można nazwać życiem owo próżniacze koczownictwo gromady ze wszystkich stron od Dźwiny do Noteci zebranych wychodźców otoczonej dniem i nocą kordonem straż nieprzyjacielskich, kiedy jeszcze armia narodowa wiodła bój zacięty bez przerwy, wytrwale. Choć wspólne klęski i niepowodzenia łączyć nas były powinny i łączyły braterską miłością, wkradły się niebawem i nieporozumienia i fatalny prowincyonalizm; od żartów przychodziło do przymówek, od przymówek do uchybień w grzeczności, tak że nie uszło dwóch tygodni, a już potrzeba było obmyśleć środki dla zapobieżenia złemu.

Rzucono się do pojedynków na pałasze; odbywały się w rannych godzinach w stodole przy drzwiach zamkniętych.

Pierwsze zwarcie się było między młodym Grabowskim z Poznańskiego i Przeździeckim, Litwinem. służyliśmy im za sekundantów obu ich zarówno przyjaciele, ja i Kraszewski, zacny bardzo i uczony prawnik, Wielkopolanin. Ukazał się tego dnia z ręką na temblaku Przeździecki, a już na drugi dzień pałaszowali Mikulski Izydor z jednym koroniaszem. Co trzy czy cztery dni ponawiał się szczęk szabli to w jednej, to w drugiej stodole; łatwo poróżnieni godzili się i szli do Pusza karczmarza; przyszło też niebawem do widocznej poprawy, do ugrzecznienia w obchodzeniu się jednych z drugimi.

Drugie zło prędko się ukazało. Jakoby na zabicie nudy i czasu rzucono się do szulerstwa: całymi dniami grano w karty. Pieniądze, choć niezbyt wiele ich było, przechodziły z jednych rąk do drugich, a grzęzły w winiarni.

Jeden pobożny kapłan, nic nikomu nie mówiąc, przyłączył się do nas od Kurszan, uwożąc z sobą przyrządy kościelne i był dla nas prawdziwą osłodą. Każdej niedzieli urządzaliśmy zrana pod drzewami ołtarz; na drzewie zawieszony dzwonek wszystkich zwoływał; ksiądz nasz miał mszę czytaną: słuchaliśmy jej klęcząc na ziemi a po mszy śpiewaliśmy za księdzem: »Święty Boże« i »Bóg nasz ucieczką i mocą w uciskach, które znalazły (sic) nas bardzo; przeto się bać nie będziemy, gdy się poruszy ziemia«. Trzeba było słyszeć, jak ochotnie i głośno wszyscy śpiewali, i widzieć, jak spokojnie rozchodzili się nieco zamyśleni.

Wieczorami śpiewano pieśni patryotyczne; między innemi: »Hej kto Polak na bagnety«, Delavigne'a, »Już czas«, z La muette de Portici, jako też »Jeszcze Polska nie zginęła«, »Nasz Skrzynecki« i t. d.

Ułani nasi 1-go pułku nie byli przy nas, lecz o ćwierć mili od naszego obozu były ich leże przy generale Chłapowskim, dla którego zbudowano mały naprędce z desek domek.

Na domiar nieszczęścia wkrótce ukazała się cholera i poczęła porywać naszych towarzyszy; niejeden z niej umarł; w obawie zaś, żeby dowiedziawszy się o tem Prusacy, nie przedłużali terminu kwarantanny, grzebaliśmy nocami umarłych w obozie. Spoufaleni już byliśmy z tą zarazą od początku wojny i nie robiła wielkiego wrażenia. Jednej nocy ocykam się i widzę opróżnione przy mnie miejsce, na którem był leżał moj przyjaciel z czasów wileńskich, doktór Sobolewski. Pytam kolegów,

co się z nim stało, i mówią, że tylko co wyniesiono go chorego na cholerę. Takie było zobojętnienie, żeśmy rozmawiali o tem, jak o bagateli, że po chwili znowu sen zmorzył i zasnęliśmy.

Gorsza jeszcze od cholery okazała się w naszym ciasnym szpitalu rannych tak nazwana gorączka szpitalowa, z której zgnilizny nikt się nie uleczył. Jedną z najboleśniejszych była dla nas Litwinów śmierć Pola, gorliwego patryoty, lubionego od szlachty oszmiańskiej promotora między nią powstania, którego naczelnikiem był z Przeździeckim ze Smorgoń, dawnym filaretą na uniwersytecie wileńskim. Pozwolono nam pochować go opodal od obozu na jakimś cmentarzyku, a towarzyszyła mu do grobu cała prawie nasza gromada.

Wlokły się dni nieznośnie. Przyjeżdżali dla widzenia nas niemieccy obywatele memelscy, damy i wystrojone niemczyki, lornetowali nas z daleka i odjeżdżali; ukazał się częściej kupczyk jakiś z bagatelami, by wyfrymarczyć ostatek grosza, lub jaki powóz z niedobrej sławy kobietami.

Mieliśmy i gazety, dzienniczki berlińskie. Z nich czytamy jednego dnia, że Dembiński przeszedł przez całą Litwę, przerżnął się przez nieprzyjacielską armię i był tryumfalnie przyjęty w Warszawie, a prezes rządu Czartoryski w przemowie, jaką miał do niego, rzucił naganę na wojsko, które przeszło do Prus i tam broń złożyło, nie dopełniwszy obowiązków prawych synów ojczyzny; a było już wiadomo, że i cały korpus Rolanda przeszedł we cztery dni po nas tę samą pruską granicę.

Ta wiadomość przyniesiona z Warszawy przygnębiła okrutnie humor nasz w Ascheken. Gazetę, która ją przyniosła, czytał każdy po cichu, podawali ją jedni drugim w milczeniu, unikając sprzeczek i mowy o winie, do której każdy mniej więcej poczuwał się; składali ją gadatliwsi na generała, a zapaleńsi pobiegli burzyć obozujących przy nim ułanów, gdyż w nocy po przyjściu owych wiadomości był napad groźny ułanów na barak Chłapowskiego i nazajutrz pozwolono generałowi przenieść się do Memla.

Wkrótce potem odkryto między oficerami z jakiejś zaciężnej ruchawki wierutnego szpiega, mającego konszachty z policyą memelską, czy Moskalami. Znaleziono przy nim podejrzane papiery. Osądzony przez komisyę, złożoną z kilku naszych oficerów, za zdrajcę, był od fagasów odarty z munduru,

wypchnięty z obozu; przez straż pruską znowu do obozu wrzucony i tak długo tam i sam targany, aż się nad nim komendant straży zlitował i odesłał niewiadomo dokąd.

Przyznać jednak muszę, że w landwerach jako też w żołnierzach i oficerach stałej służby, Prusakach, przeznaczonych do strzeżenia nas znaleźliśmy wiele przychylności i sympatyi dla sprawy naszej i dla nas; przychodzili do nas co dzień prawie oficerowie, bratali się z nami, pili i śpiewali patryotyczne pieśni nasze, po polsku i po niemiecku. Niektóre z tych pieśni niemieckich poetów, jak owa na cześć »ostatnich czterech żołnierzy 4-go pułku piechoty« po trzykroć, jak wiadomo, idącego na bagnety w batalii grochowskiej, śpiewali z wielkiem upodobaniem Prusacy i śpiewać nas nauczyli.

Był szczególnie w pułku, utrzymującym straż obozową pruską, jeden kapitan, który się z nami bardzo zaprzyjaźnił; nieco hulaka, wesoły, ruchliwy, usłużny, nie miał w sobie owej berlińskiej sztywności, którą koledzy jego odznaczali się; mówił nawet nieźle po francusku, a nasi uczyli go w baraku Pusza tańczyć mazura. Jednego dnia zamarzyło mu się nas ubawić jakąś dramatyczną krotochwilą i pod sekretem szepnął poufalszym, że wyprawi nazajutrz po południu pogrzeb tryumfalny Dybicza[1]) z muzyką i całą okazałością. Z dziecinną ciekawością czekaliśmy na umówioną godzinę i w istocie spostrzegamy z daleka na memelskim trakcie posuwający się długi szereg niezwyczajnego kształtu figur. Napróżno warty silą się zatrzymać przestępujących kordon; sami nawet stojący na straży żołnierze śmieją się do rozpuku. Widzimy przeciągający koło nas orszak postrojonych niby to Turków czy Indyan, wiodących przed sobą brzuchatego z oślemi uszami bałwana, na czele grała kocia muzyka z bębenków i krzykliwych trąb złożona. Bawiła ta maskarada, choć bez sensu ni wielkiego dowcipu wymyślona. Poznaliśmy w jej orszaku i kapitana nieco fantastycznie przebranego: witaliśmy serdecznie na całe gardło. Wszystko szło jak najlepiej, kiedy z przeciwnej strony, z zagórza, pokazuje się na koniu stary komendant pruski Tidwitz z adjutantem — jakaż to na ten czas była zmiana sceny! Pierwszy bałwan począł uciekać, za nim towarzysze w nogi,

---

[1]) Dybicz w tym czasie umarł z cholery. (Przyp. autora.).

kapitan znikł, warty srożyły się na nas; my też niezbyt powoli wracaliśmy, rzucając okiem na rozgniewanego Tidwitza i salutując go z daleka. Łatwo domyśleć się, że już odtąd nie wrócił do nas ów przyjaciel nasz kapitan.

Tym i temu podobnym sposobem przeszły nam o niemało dwa miesiące pruskiej kwarantanny, aż do nadejścia z Berlina wiadomości o wzięciu przez Rosyan Warszawy. Wnet zwolnione zostają przepisy straży; pozwalają nam Prusacy po 30-stu czy 40 na dzień jechać do Memla, z obowiązkiem wszakże wracania na noc do obozu; dostarczano nawet na te przejażdżki powozy. W kilka dni potem uwiadamia nas landrat, czy komendant wojskowy memelski, że przywrócona będzie wolność każdemu z nas natychmiast, który podpisze zaręczenie, że nie będzie usiłował wracać do Polski i brać udział w toczącej się wojnie. Nikt nie podpisał tego warunku, ani słyszeć o nim nie chciał.

W ten czas to z trzema przyjaciółmi powziąłem myśl ratować się ucieczką z Memla do Francyi na jakim okręcie i stamtąd przekradać się napowrót, póki jeszcze trwa wojna, do Polski. Pojechałem w tym zamiarze do Memla; odwiedziłem tam generała Chłapowskiego, który natenczas mieszkał w mieście, poznałem jego piękną żonę, siostrę księżnej Łowickiej, i przyjęty od nich byłem uprzejmie; ale w porcie nie znalazłem ani jednego francuskiego statku, policya zaś miejscowa bardzo srogo pilnowała, żeby który z Polaków nie wymykał się z Memla na odchodzących okrętach.

Wróciłem więc z niczem do swoich. Wkrótce potem przychodzi rozkaz królewski, aby tych, co nie podpiszą owego zaręczenia, że aż do końca wojny nie będą do niej należeć, wysyłał rząd okręgowy memelski do najbliższej fortecy. Nie było czasu do namyślania się; pojechałem znowu z dwoma Mikulskimi do Memla z postanowieniem pozostać tam potajemnie póki nie zdarzy się sposobność do ucieczki. Przed wyjazdem pożegnałem mego Łukasza, który chciał koniecznie, abym go nie oddalał od siebie. Radziłem mu, aby pozostał w Prusiech, ale za nic nie chciał mnie porzucać i tylko kiedym mu wytłumaczył, że myślę morzem uciekać do Anglii, że to i niebezpiecznie i drogo kosztuje, powiedział mi ze łzami, że kiedy tak,

to woli powracać do domu; uścisnąłem go po raz ostatni, dałem na drogę, co mogłem i kartkę do mego stryja, aby go nagrodzono datkiem i wolnością za wierną służbę. Wrócił szczęśliwie i pierwszy wieść przyniósł o mnie po mojem wyjściu z Zapola. Wróćmy do swego.

Jadę tedy z mymi dwoma sąsiadami Mikulskimi i jednym jeszcze oficerem Kościelskim[1]) do Memla z postanowieniem zmykać jakim nie bądź sposobem i jaką nie bądź drogą. Dowiadujemy się, że z portu za trzy dni odpływa do Londynu mały statek angielski kupiecki. Nie czekając długo, popłynąłem do tego okrętu, aby go obaczyć i rozmówić się z kapitanem, a tu nowy ambaras; kapitan, jak dobry Anglik, nie umie żadnego języka prócz swego. Ja choć wiele czytałem nawet Ossyana i Gibbona po angielsku, nigdym był nie otworzył gęby w tym języku. Przemówiłem do kapitana, nie zrozumiał; zagadał coś do mnie, ani słowa nie zrozumiałem; pokazałem dukaty i na migi, że chcę uciekać, może i zrozumiał, ale nie był pewien, czego chcę; aż przychodzi mi do głowy przemówić na piśmie do niego. Wyjmuję z zanadrza pugilares i układam frazes z pisownią, choć nie bardzo poprawną: czyta, dziwi się i odpisuje na tymże pugilaresie Anglik. W kwadrans porozumieliśmy się. Nazajutrz rano wypłynie z portu okręt, kapitan obowiązuje się czterech nieznajomych mu bez paszportów zawieść do Londynu za... (zdaje mi się 50 dukatów) z tem jednak zastrzeżeniem, że ponieważ przy samem wyjściu z portu policya portowa przychodzi robić najściślejszą rewizyę okrętu aby wybadać, czy jakiego zbiega na nim nie uprowadza kapitan, o milę czy dwie mile od brzegu po wyjściu z portu będzie na nas czekał na okręcie, aż póki nie dopłyniemy do niego Zgodziłem się na wszystko.

Zaraz za powrotem do miasta znaleźliśmy właściciela dobrej szalupy, który się podjął dostawić nas do okrętu, choćby i daleko od brzegów, jak to był nazwyczajony robić z przemycaniem zbiegów i kontrabandy.

Przed wschodem tedy słońca, o pół mili na wschód od portu byliśmy już na brzegu, gdzie na nas czekał barczysty szalupnik z dwoma synami; silnie nam biło serce, kiedyśmy

---

[1]) W autografie: Kościełowskim.

patrzyli, jak nasz okręt rozwinął żagle w porcie: już rusza się, już płynie — wychodzi z portu; za nim uwija się łódka portowego kapitana, jak szpieg za dobrym człowiekiem i zawraca nazad; a okręt nasz, odpłynąwszy jakoby o milę dalej na morze, kieruje się na wschód i lawiruje przed owym brzegiem Prus, przy którym szalupa nasza już miała rozpięty żagielek i w niej siedzieliśmy bezpiecznie. Mały wietrzyk przy pomocy wioseł odbił nas lekko od rozbijającej się o ląd fali; już jesteśmy wolni; kiedy w tymże momencie, nie dalej jak o sto metrów od ziemi, porywa nas wicher, rzuca do góry i na dół, pracują jak mogą trzej wioślarze, nas choroba morska ogarnia, osłabia; po dwakroć nawracamy bieg nasz ku okrętowi, okręt zdaje się kierować ku nam i znowu się oddalamy; fala pryska, rzuca wodę do szalupy; przemokli do nitki, po godzinnem ubijaniu się z coraz bardziej srożącą się burzą, tracimy z przed oczu okręt, a przezorny wioślarz ratuje nas i synów swoich, kierując szalupę do brzegu.

Wszyscyśmy się zarówno brali do wyrzucania wody z małego statku: wiatr wschodni pędził nas ku zachodowi, minęliśmy zatokę portową i daleko byliśmy od niej na pobrzeżu owego szlaku piaszczystego, który oddziela morze od Kurisch Haffu, kiedy się fale uspokajać poczęły. Nad wieczór wiatr ustał i powoli wiosłując przybyliśmy na miejsce, skąd nocą mogliśmy niespostrzeżeni od policyi wrócić do miasta.

Tu długo popasywać nie było bezpiecznie; mogłaby policya uwięzić nas i wydać straży granicznej rosyjskiej. Nie było innej rady, jak wracać do swoich i podzielać z nimi los, jaki nas czeka.

Jedziemy więc do obozu naszego w Ascheken, ale tam już nie znajdujemy nikogo z naszych oficerów, ni żołnierzy. Trzy czy cztery mogiły z ziemi i piasku usypane z zatkniętymi na nich krzyżami zostawili nasi na miejscach, gdzie były tajemnie pochowane ciała umarłych z cholery; jacyś ludzie plądrowali po stodołach i legowiskach, gdzieśmy od dwóch miesięcy obozowali. Od tych ludzi dowiadujemy się, że tegoż rana na dwie czy trzy godziny przed naszem przybyciem wywieziono na furmankach wszystkich naszych oficerów do małej mieściny leżącej na brzegu Kurisch Haffu, skąd na statku mają popłynąć niewiadomo dokąd.

Cóż począć? jak niepyszne pany, dwaj Mikulscy, Kościel-

ski i ja na tymże samym wózku, na którym byliśmy przyjechali z Memla, jedziemy do owej mieściny, której nazwania nie pamiętam. Przybywamy do niej w sam czas, kiedy wszystkich naszych kolegów, bo nikt nie podpisał wspomnianego wyżej zaręczenia, sadzano na dwa statki i nas do nich przyłączono. Na każdy statek wsiadło do pilnowania nas z pięćdziesiąt dragonów i popłynęliśmy.

Dopóki była pogoda, było jako tako. Nasi bratali się na pokładzie z Prusakami, śpiewali z nimi ich i nasze pieśni narodowe, przepijali do nich i bawili się. Ze zmrokiem nadchodzi deszcz ulewny i wicher; kupimy się wszyscy na dół pod pokład; szczelnie pozamykano wejścia u góry; na pokładzie tylko żołnierze pruscy zostali: gorąco, brak powietrza, swąd od sera i wędzonych łososi poczynają nas dusić; burza rzuca i potrząsa straszliwie naszymi lekkiemi okrętami; gaśnie i światło; omackiem szukamy schodów i drzwi wiodących na pokład, a i te zamknięte. Dragoni jednak do północy śpiewali jeszcze; jeden wpadł do wody i utonął.

Długa to była noc zaiste; około 5-tej rozwidniało i dobijamy do małego miasteczka (Mulsen, jeżeli się nie mylę). Ledwośmy wylądować pośpieszyli, kiedy wybiega ku nam mnóstwo kobiet i dzieci przypatrywać się nam i przedawać nam chleb, ciasta, owoce, delegowany zaś od urzędu zaprasza nas do domu, w którym pan landrat, czy komendant miejscowy czeka na nas i chce z nami rozmówić się. Idziemy więc za owym delegowanym i wchodzimy do obszernej sali, na której końcu widzimy duży stół, za stołem poważną osobę, jakiegoś przy krzyżach wysokiej rangi urzędnika, a na stole dwa worki z pieniędzmi leżały, papier, pióro i atrament. Przemówił do nas grzecznie dostojny Prusak; przypomina, o ile król ma na sercu los i smutne położenie nasze i ofiaruje wsparcie nieodzowne. Podobało się to wszystkim, choć nie wszyscy zrozumieli; posunęła się tylko cała nasza gromada do stołu ochoczo.

Brał się już ów urzędnik jakby do płacenia sukursu, odwiązał pierwszy na podorędziu worek, dodając, że uważa za konieczne, abyśmy dla naszej własnej korzyści dali na tym arkuszu papieru własnoręczne podpisy.

Większa część tych, co nie rozumieli języka, sądziła, że chodziło o danie rewersu na to, co kto odbiera i nie widziała

w tem nic zdrożnego. Ale Kraszewski podjął ze stołu papier i zrozumiał, że była to deklaracya dana do podpisania, iż nie wrócimy i nie podniesiemy oręża na nieprzyjaciela w toczącej się wojnie, począł więc przekładać w przyzwoitych wyrazach, że król nie dotrzymał danego słowa, że rozbroiwszy zatrzymał nas pod pozorem kwarantanny na gołej ziemi przez dwa miesiące i teraz niesłusznie wymaga po nas tego, na co honor i miłość ojczyzny zgodzić się nie dozwalają; wracając do swego, przekładał Prusak, że to zaręczenie nie uwłacza honorowi walecznych żołnierzy, potem rozgniewał się na to wierno-służbowy urzędnik, zawiązał worek, a nasi w śmiech; nie jeden wychodząc za drzwi z polską braweryą nie wiedzieć co na Prusaków wymyślał.

Nie upłynęło może parę godzin, kiedy już czekał na nas dziesiątek długich, drabiniastych wozów, które chłopi do zwożenia siana do gumna używają, przeznaczonych na zawiezienie nas wszystkich do fortecy Piławy.

Konie, choć chłopskie, były wyborne: nuż nasi poić parobków i sami powozić. Po szerokim gościńcu biegło dziesięć drabiniastych wozów na wyścigi; jeden wywrócił się, drugiemu konie ustały. Wreszcie przybyliśmy do Fischhausen, gdzie nas zatrzymano z przyczyny, że nie były przygotowane dla tylu nas siedziby w Piławie.

Fischhausen, jak wiadomo, jest miejscem męczeństwa drogiego nam rzecznika Polski w niebie, św. Wojciecha, o którym Skarga mówi:

»Oddał ofiarę swoją Bogu swemu, a męczeńskiej korony, której długo w rozlaniu krwie swojej dla Chrystusa, Boga swego pragnął, uczestnikiem się stał« (Żyw. św. Wojciecha).

O przyczynienie się tego świętego za narodem naszym w boju, poszedłem modlić się na pobrzeże morza, na którem ten wielki bohater wiary, apostoł nasz, był znaleziony, przeszyty strzałami od dzikich poganów. Niepiękny to skraj ziemi, na wejrzenie pustyni w jesiennej porze, igrzysko wiatrów północnych i szumiącej fali. Kilka ziarnek bursztynu znalazłem świeżo wyrzuconych, ofiarowałem je na kadzidło kościelne.

Niewielkie to i nieozdobne miasteczko Fischhausen, wielce nam po długiej rezydencyi w Ascheken podobało się i znaleźliśmy tu mieszkańców dla nas przychylnych. Przebyliśmy noc pokojnie po gościnnych domach, prawie za darmo; nazajutrz

zaś nad wieczór przewieziono nas na małych furmankach do Piławy i zamknięto w forteczce, której komendantem był stary generał ze służby jeszcze Wielkiego Frytza. Jak wojskowi owego czasu pruscy, mówił nieźle po francusku, ale był to służbista, typ pod każdym względem Prusaka.

Zapakował nas do obszernych spichrzów na zboże, na których tu nie zbywa, jako na wielkiej przystani zbożowego handlu. Tu jak szczury wysiedzieliśmy dwutygodniową pokutę, aż do dnia, w którym komendant odebrał sztafetą wiadomość o wejściu naszego wojska do Prus i o końcu wojny.

Odemknięto drzwi od spichrzów i pozwolono nam przechadzać się bez straży. We dwa dni potem przewieziono wszystkich na dwóch statkach do Królewca, gdzie nie z jednym z kupców handlujących naszem zbożem i drzewem zapoznaliśmy się i byliśmy dobrze przyjęci. Odeszły już nasze wiciny. Mieszkańcy królewieccy okazywali ku nam wielką przychylność; uczniowie uniwersyteccy wykonali dla nas nocną serenadę; na niczem nie zbywało.

Ale urząd wojskowy nie dozwolił tu nam używać długiego popasu. Na trzeci dzień po przybyciu z Piławy porozsyłano nas wszystkich podzielonych na małe oddziałki po siedmiu do dziesięciu do rozmaitych miasteczek. Mnie, Wrotnowskiemu Kublickiemu i dwóm innym dostało się jechać do Gerdauen Mikulskich, Michała Wołowicza i innych [powieziono] do Rostenburga, innych do Eylau, do Friedland.

Przeżyliśmy w tych pruskich miasteczkach do końca grudnia (1831). Przez cały ten czas mieszkańcy Prus Wschodnich okazywali w ogólności gościnność, dobre serce, zapraszali do siebie; możniejsi dawali dla nas wieczory, obiady; młodzież śpiewała z nami patryotyczne pieśni w swoich zebraniach, resursach. Rząd płacił 30 talarów dla każdego oficera na miesiąc.

Zajmował się szczególnie losem naszych Litwinów Chłapowski; pisał listy zalecalne do obywateli poznańskich, mianowicie do księcia Sułkowskiego i do możniejszych panów dla tych, którzyby chcieli pozostać w Poznańskiem lub się przemykać do Francyi. Zmuszony przez rząd do pozostania przez dłuższy czas w Fischhausen, pisał on do mnie w tym przedmiocie; na jego wezwanie pojechałem w grudniu do Fischhausen

i przezemnie przesłał generał do rozdania między potrzebujących niemałą ilość pieniędzy.

W tymże czasie połączyliśmy się, odwiedzając jedni drugich po pruskich miasteczkach, z oficerami korpusu Rolanda; a w okolicach Gdańska tegoż losu, co my, doświadczali liczniejsi od nas wychodźcy z głównej naszej armii, którzy przeszli byli granicę pod naczelnictwem generałów i Rządu narodowego wespół z posłami, senatorami i wielu wyższymi urzędnikami z Królestwa.

W Gerdauen i po innych miasteczkach była cholera straszniejsza, bardziej zabójcza, niż ta, którą w kraju zostawiliśmy. Były dni, w których 50 i więcej umierało chorych na dzień. Lud spokojnie, na modlitwie, znosił to dopuszczenie Boże; słyszałem wieczorami do późnej nocy po domach śpiewy psalmów; a taka była uległość władzy i posłuszeństwo prawu, które nie pozwala chować umarłych aż na trzeci dzień po śmierci, że pomimo obawy, jaką przynosi szerzenie się zarazy, znoszono ciała umarłych do przeznaczonego na to budynku za miasteczkiem i żadnego trupa przed trzema dniami nie pochowano.

Wiele się też dobrych rzeczy mogliśmy byli nauczyć w tych Prusiech co do porządku publicznego, co do administracyi, sądownictwa, szkół i oszczędnego życia. Ale nasi bawili się, smucili, czy kłócili się jedni z drugimi, zalecali się do Niemek i oczekiwali wojny od zachodu; rwali się niecierpliwie do Francyi.

Tymczasem rozkaz po rozkazie odbiera rząd okręgowy królewiecki z Berlina, aby tych emigrantów oficerów, którzy nie chcą prosić o omnestyę i wracać do kraju, jak najprędzej wyprawiał do Francyi, tych zaś, którzy proszą o amnestyę, można na czas zostawić, a król przyrzeka wstawić się za nimi do cesarza; o żołnierzach nie było wzmianki. Lękaliśmy się, aby ich Prusacy nie wydali Moskalom.

Do każdego z nas osobno posyłał landrat zapytanie, czy się decydujemy podpisać prośbę o amnestyę, czy iść na wygnanie. Tu wielu znalazło się w trudnem położeniu; z jednej strony rodzice, krewni powoływali ich do kraju, ufając przyrzeczonej amnestyi; z drugiej zaś wstrzymywało ich koleżeństwo, zaufanie w dobroć sprawy, nadzieja wojny; jakże dać

podpis o amnestyę, kiedy z wiadomości odbieranych z Paryża sądzono, że tysiące naszych idzie formować legiony, kiedy tam nad Renem, nad Sekwaną już skrzydła roztacza orzeł biały? W gorszem jeszcze położeniu znajdowali się oficerowie, należący do pułków, których tysiące żołnierzy rozpołożonych w okolicy Gdańska rząd pruski zatrzymywał i miał gwałtem odesłać do Polski; nie byłożby sromotą oficerowi porzucić żołnierzy, z którymi odbył kampanię, zostawić ich bez opieki?

Nie chodziło o to Prusakom czy to źle, czy dobrze. Poczęły władze miejscowe od 1-go stycznia w czas mroźny wyprawiać na furmankach oddziałami po 20 czy 30 emigrantów na Frankfurt nad Odrą do Strassburga tych wszystkich, którzy nie chcieli podpisać rzeczonych próśb o amnestyę; tym zaś, co swoim kosztem obowiązali się odbyć tę podróż, dawano paszporta do Francyi i małą pieniężną pomoc na drogę.

Nie namyślając się długo, postanowiliśmy z Wrotnowskim jechać natychmiast do Drezna, gdzie spodziewaliśmy się znaleść wielu naszych przyjaciół. Kublicki został na żądanie ojca w Gerdauen.

IV

Drezno. — Droga do Paryża.

W Królewcu wzięliśmy z Wrotnowskim paszporta do Francyi i pierwszych dni (3—5) stycznia ruszyliśmy w noc mroźną pocztowym dyliżansem do Frankfurtu nad Odrą.

(Gdybym był kilka dni zaczekał, nadjechałaby moja stryjenka, która już była w drodze i wiozła żądanie od mego stryja, Ignacego Domejki, mego od śmierci ojca opiekuna, abym się starał powrócić do kraju. Nie miałbym serca ni odwagi odmówić na prośbę stryjenki, czego sobie na starość zapragnął ten dobry opiekun, i odrazu stałby się koniec mojej podróży, która się od tego dnia na 53 lata przeciągnęła).

O północy przejeżdżamy przez Frauenburg, gdzie nasz Kopernik, będąc kanonikiem, zgłębiał mądrość Bożą w utworze planetarnego ruchu i pojął wirowanie ziemi naszej naokoło słońca. Niebo było czyste, gwieździste, wyobrażałem sobie, jak ten nasz rodak, uczeń prastarej wszechnicy krakowskiej, patrząc na to niebo, śledząc na niem bieg pokrewnych naszego planety światów, podziwiał mądrość i moc Bożą.

Na drugi dzień w Malborgu oglądaliśmy wieżę i zamek, przywodząc sobie na pamięć przewrotność, niewiarę Krzyżaków i genialny utwór naszego poety o Wallenrodzie.

Dalej napotykamy na drodze oddziały naszych braci emigrantów, transportowanych do Francyi; większa ich liczba miała na sobie mundury jeszcze, chociaż nadszarpane, i płaszcze wojskowe; przeświecały na niektórych konfederatki czerwone; niektórzy biegli dla ogrzania się przy furmankach. Wszędzie na noclegach i popasach gościnnie ich rodziny Prusaków przyjmowały; po miasteczkach były komisye dla obmyślenia środków do opatrzenia uboższych w odzież ciepłą i w to, czego potrzebowali nie uleczeni jeszcze z ran i chorzy.

Po wielu miejscach były zebrania dam i urządzone wieczory z tańcami. Dziarsko i grzecznie zwijali się nasi, choć zziębli, wychudli, zaledwo który skoczył z furmanki, nie wiedzieć jak się podstroił w rękawiczkach lub bez nich, jak kto mógł, wchodził do salonów ozdobionych na tę uroczystość w wieńce i girlandy.

Sławne było natenczas przyjęcie naszych we Frankfurcie nad Menem, gdzie wychodźcy nasi, trafiwszy na pożar, rzucili się do ugaszenia go z całą odwagą i poświęceniem się. Tam przyjmowano naszych z wielką okazałością, jako żołnierzy wojujących za wolność ludu.

We Frankfurcie nad Odrą ubiegła nam przyjemna godzina na zwiedzeniu przepysznej katedry, w towarzystwie jednej wysokiego tonu damy z rodziny niemieckiej, świadczącej wiele dobrego dla przechodzących emigrantów, wielkiej przyjaciółki naszego narodu. Nie pamiętam jej nazwiska.

Z Frankfurtu nad Odrą jedziemy z Wrotnowskim do Drezna i tam znajdujemy Mickiewicza, Odyńca, Garczyńskiego, Weyssenhofa i mnóstwo z bogatszych polskich rodzin Polaków. Wybornie tu nam przeszły zima i wiosna; i gdyby nie wymaganie konsula rosyjskiego, który tam żądał od rządu saskiego, aby nas zmusił do podpisania prośby o amnestyę lub wyganiał z kraju, tobym pozostał w Dreźnie i tym sposobem drugi raz jużby się moja podróż skończyła.

Mieszkałem z Wrotnowskim i Weyssenhofem niedaleko Starego Placu. Mickiewicz, Odyniec, Garczyński, każdy po osobno mieli swoje mieszkania jedni przy drugich w pobliżu Brülowskiego tarasu.

Był to czas, w którym Adam pisał trzecią[1]) część »Dziadów«, Garczyński »Wacława« i sonety; Odyniec spodziewał się przybycia swojej narzeczonej, miał żenić się i codzień prawie przynosił coś nowego ze swoich utworów. Codzień z nim i z Garczyńskim schodziliśmy się zrana i nad wieczór u Adama, i u niego spędzaliśmy godziny przyjemne.

Adam pospolicie był smutny; widać było mianowicie na nim boleść i wzruszenie na widok przechodzących przez Drezno, ciągnących do Francyi żołnierzy naszych i powstańców;

---

[1]) W autografie: 4-tą.

smuciły go odwiedziny bardzo częste obywateli i ochotników z powstania, którzy pozostawiali żony i dzieci w kraju, jako też wielu bogatszych byłych dostojników z Królestwa, którzy się wahali, nie wiedzieli, co z sobą robić. Rozpogadzało mu się jednak czoło, kiedy sami we czterech zostawaliśmy na pogadance. Odyniec był wesoły i mnie nie opuszczał humor; rozweselaliśmy Adama i posępniejszego częstokroć od niego Stefana. Adam niekiedy czytywał ustępy z tego, co pisał; czasem zanucił Filona lub jaki ułamek z Mozarta, palił bezustannie fajkę, często zamyślał się. Chodziliśmy często na operę włoską i na przechadzki. W tym czasie pierwszy raz wykonywano na scenie opery Belliniego; w loży królewskiej pokazywała się nasza infantka, nie piękna, nie młoda, wysoka, której losem, jak wiadomo, było czekać i nie doczekać się przyrzeczonego jej tronu i męża, mającego stanowić początek dynastyi dla naszego narodu.

Niemało też chwil przyjemnych przepędziliśmy razem w Galeryi obrazów przed boską Madonną Rafaela, przy Nocy Corregia, przy Chrystusie Tycyana. Nadewszystko główną pociechę i ożywienie, rozkosz wewnętrzną, znajdowaliśmy na niedzielnych mszach w katedrze, uposażonej wyborną muzyką religijną.

Zwiedziłem w tym czasie na początku wiosny Freyberg, znajdujące się tam kopalnie srebra i starą akademię, w której niegdyś za Stanisława Augusta sposobił się na inżyniera górnictwa kosztem Rzeczypospolitej mój stryj Józef Domejko. Z wielkiem zajęciem się i ciekawością przypatrywałem się robotom hutniczym, amalgamacyi srebra i zbiorom minerałów, które po sobie Werner zostawił; nie wiedziałem, że za rok pocznę uczyć się i poświęcać tej gałęzi nauk i przemysłu.

Miałem szczęście poznać przebywającą na ten czas w Dreźnie hr. Klaudynę Potocką, znaną i uwielbianą z poświęcenia się dla dobra kraju, z cnót i rozumu. Podczas wojny doglądała cholerycznych w szpitalach warszawskich; po wojnie cała zajęta wspieraniem przeciągających przez Drezno emigrantów, opatrywaniem ich w odzież, we wsparcie pieniężne. Sama już zubożała, poprzedawała brylanty swoje, szale i co miała z kosztowności, zbierała też składki i zachęcała drugich do ofiarności. Dziwnie przyjemna i wzbudzająca cześć dla niej jest jej

osoba; wysoka, cienka, twarzy nieco pociągławej o rysach regularnych, oznaczających wyższy charakter i ukształcenie, blada, warkocz ucięty, w oczach godność i siła moralna. Któż jej nie znał z dobroci i politowania nad losem nieszczęśliwych. Kiedym ją z Odyńcem odwiedził w skromnej izbie Saskiego hotelu, kroiła płótno na koszule dla żołnierzy; niemało ich w tym czasie przechodziło przez Drezno, już to z Prus czy z Galicyi, skąd uchodzili w obawie, aby ich nie wydano Moskalom, już to przekradających się z kraju.

Na początku wiosny już lekarze spostrzegali w osłabionej pracą Klaudyi Potockiej zaród piersiowej choroby; a jednak tegoż roku w jesieni towarzyszyła do Szwajcaryi dogorywającemu z suchot Garczyńskiemu; doglądała chorego aż do jego śmierci.

Od niej w maju z listu pani Jurahowej z Kroszyna doszła do mnie bolesna wiadomość o śmierci matki mojej. Był to najcięższy cios dla mnie od opuszczenia domu. Sądziłem, że go nie zniosę.

Przyjaciele moi dla rozerwania mnie i utulenia w żalu umyślili zniewolić mnie do towarzyszenia im w podróży do Szwajcaryi Saskiej. Zabrała nam ta podróż tydzień czasu; oprócz Adama, Odyńca i Garczyńskiego wzięło w niej udział trzech Litwinów i jeżeli się nie mylę, młody natenczas poeta galicyjski, Pol.

Pod koniec czerwca niepokoiła saska policya tych wszystkich emigrantów, którzy nie chcieli prosić o amnestyę, chociaż nie żądali wsparcia od rządu i mieli sposoby do utrzymania się. Król i ministrowie byli dla nas życzliwi, ale oprzeć się wymaganiom Rosyi nie mogli.

Pierwszych więc dni lipca jedenastu nam kazano wyjechać; do tej liczby należeli: Mickiewicz, Nakwaski, poseł sejmowy, syn kasztelana; Łagowski, dawny legionista, którego W. Ks. Konstanty trzymał długo w więzieniu i chciał głodem zamorzyć; Aleksander Jełowicki poseł, jeden z trzech synów marszałka, zamożnego obywatela na Wołyniu, który, wyszedłszy na powstanie z synami, sam został zabity, a synowie poszli na wygnanie; Sułczewski (może się mylę w nazwisku) kapitan

4 go pułku piechoty, sławnego z bohaterstwa, jakie okazał w batalii grochowskiej; jeden też poseł kaliski z synem 14-letnim; Żarczyński, poseł jednego z powiatów podolskich i dwóch jeszcze zacnych obywateli miasta Warszawy.

Najęliśmy duży powóz, długi, trzęsący, w którym wszyscy mogliśmy się pomieścić; jechaliśmy powoli, zatrzymując się na noclegi i popasy, gdzie się nam podobało, i prócz gościnnych przyjęć, których doznawaliśmy od komitetów miejscowych niemieckich, a które po wszystkich miastach i większych miasteczkach znajdowaliśmy, ustanawianych przez rady miejskie na ugoszczenie emigratów polskich, nie szczędziliśmy sobie wygód własnymi pieniędzmi, na których nam jeszcze nie brakło.

Jechaliśmy na Norymbergę, Bayreuth, Karlsruhe do Strasburga, bo taka nam droga była przepisana na paszportach i na tej drodze znajdowały się komitety. W Norymberdze dwa dni przebyliśmy; byliśmy w niedzielę na mszy; potem zwiedziliśmy muzeum, w którym podziwialiśmy oryginalne obrazy Dürera, Holbeina, Kranacha [1]) i obejrzeliśmy zamek; bawiła nas architektura, zachowana dotąd, domów i dobroduszność mieszkańców. Nie mogę sobie przypomnieć szczegółów podróży. Pamiętam tylko, że przez dzien jeden zatrzymaliśmy się w Bayreuth; dalej po drodze częstowauo nas winem reńskiem dobrego gatunku; w Karlsruhe sam nawet książę panujący okazał łaskawsze względy, przysłał bilety gościnne do swego teatru, przechadzaliśmy się swobodnie po jego parku, ogrodzie, pałacu; jedna szczególnie rodzina, głównego naczelnika poczt, matka i dwie prześliczne jej córki odznaczały się uprzejmością swoją dla nas i nieudanem uczuciem miłości dla naszej ojczyzny.

W naszem zaś podróżnem gronie przez całe dni w drodze i gdzieśmy się zatrzymywali, jakie to nieustanne toczyły się rozmowy, wzajemne zwierzania się.

Mickiewicz miał momenty wesołe, górował nad nami już to opowiadaniem rzeczy domowych, tegoczesnych czy historycznych, już to żartami i pobudzaniem do gawędki, gdy się drudzy ustawać zdawali. Łagowski po wielokroć opowiadał i wracał do przypominania wypadków o legionach naszych

---

[1]) W autografie: Kranasa. (Przyp. wyd.).

pod Dąbrowskim, do których należał, o napoleonowskich wojnach, o więzieniu, które wycierpiał pod W. Ks. Konstantym, kiedy już z głodu, z osłabienia głuchł, ciemniało mu w oczach, a włóczono, ciągnięto go na inkwizycye, na których już prawie nie rozumiał, o co pytano.

Kapitan nasz szczegółowo, po mistrzowsku, bo nie wdając się w to, czego sam nie widział, opisywał batalię pod Grochowem, ile ucierpiał ranny i w niewoli, jakim sposobem potrafił za pomocą jednego poczciwego kozaka pokrzepić się na siłach i przez niego być uprowadzonym ze szpitala, dostać się do swoich. Największy udział w podróżnych rozmowach brali posłowie, oniemal składali sejm istotny; debaty były nieustanne i nigdy nie miały końca; Nakwaski trzymał się pospolicie prawicy skrajnej, był wymowny i przekonywający, a że z jakiejś słabości nerwowej miał nałóg kiwnienia raptownie na moment głową, gdy wręcz chciał komu odpowiedzieć, zdawało się, jak gdyby się zgadzał nawet na to, co mu kto zarzucał; Kaliszanin opierał się na opozycyjnej lewicy, interpelował ministrów, zarywał na trybuna; Jełowicki ujmował się za Litwinami i Wołyniakami; umiarkowany, poważny Zarczyński łagodził dyskusye; chodziło o reformy, poprawy konstytucyi i sposoby strzeżenia jej; dotykano zasad wolności druku, handlu, stowarzyszeń i zgromadzeń publicznych; mianowicie równowagi władz: prawodawczej, sądowniczej i wykonawczej, pogodzenia jej z neminem captivabimus; na nic nie było zgody; trudne porozumienie się. Co do Polski, nie zostawało wiele do mówienia: już była odbudowana, Moskale za Dnieprem, za Dźwiną. Tymczasem przyjechaliśmy nad Ren; przed nami była — wieża Strasburska.

(Pisałem w Zyburtowszczyźnie[1]) 4-go maja 1886).

Strasburg, 12 lipca 1832.

Na granicy straż celna i wojskowa niemiecka po ludzku z nami się obeszła; grzecznie, a nawet z niejakiemś przymile-

[1]) W Słowniku geograficznym figuruje jako Żybortowszczyzna albo Zybortowicze, pow. słonimski. (Przyp. wyd.).

niem się. Celnik Szwab, co od podróżnych zapłatę odbiera, zrazu surowo domagał się od nas kilka grajcarów; ale skoro poznał, żeśmy Polacy, zdjął kapelusz, ukłonił się i odszedł.

Darmo przez most przejechaliśmy. Żołnierz na warcie francuskiej jednem spojrzeniem bratersko nas powitał; drudzy wykrzyknęli: vivent les Polonais! Duaniery nie rewidują nas. Wjechaliśmy do Francyi, jak gdyby po jakiej wielkiej wygranej, jak gdyby do swego kraju.

Zadrżałem z radości na widok francuskich żołnierzy; nie widziałem ich od 1812 roku, kiedy to cały korpus króla westfalskiego, Poniatowski i Dąbrowski ze swoimi legionami przeciągnęli przez Szczuczyn, gdzie byłem małym studentem natenczas w szkołach. Dziwne przypomnienie! momentalne jak błyskawica przeleciało przez duszę.

Po tylu latach napatrzenia się na rosyjskich, dobrze wymusztrowanych, wyprężonych żołnierzy i na pruskich, mało co różniących się od poprzednich, przyjemne wrażenie zrobił na mnie żołnierz francuski. Lekka, żywa, niewymuszona postawa, wygodny, nie ciasny mundur, coś szlachetnego, dowcipnego w obejściu się, twarz wesoła, a przynajmniej nie smutna, nie ponura, nie zimna; — jednem słowem żołnierz-człowiek, nie machina, znać że każdy bez przymusu bić się może i wie za za co. Owóż pierwsze wrażenie, jakiego doznałem za pierwszem stąpieniem na ziemi francuskiej.

Wieczór był pogodny; cała równina, która oddziela rzekę od miasta, porosła drzewami, miała wejrzenie pięknego ogrodu; rozsypane po niej żołnierstwo w żywych kolorach malowało charakter narodowy; przechadzali się jedni z drugimi, machając rękami w żwawej gadaninie; miejscami widać było spokojniejsze grupy, lub i zalecanki żołnierzy do dziewcząt; pod drzewami były tańce i śpiewy; spotkaliśmy też sześciu młodych ludzi jakby wracających z pojedynku; jeden z nich niósł ramię na temblaku, drugi miał pod pachą dwie szpady czy florety, trzech innych towarzyszyło im i weszli prosto do oberży.

Wjechaliśmy do miasta o zmroku. Nazajutrz poszliśmy do prefektury, gdzie cała służba od podźwiernego aż do prefekta zimnie i obojętnie nas przyjęła. Prefekt nie pozwolił nam zostać w Strasburgu ani nam dał paszporta do Metz, dokąd mieliśmy ochotę jechać i stamtąd do Paryża. Kazał nam jechać do

zakładów to jest do miast, gdzie po kilkaset naszych emigrantów utrzymuje rząd francuski na żołdzie; daje nawet odzienie, mundury, ale ich ma pod władzą prefektów. Kto nie chciał poddać się pod owe warunki, mógł jechać sam jeden, żyć jak mu się podoba o własnym koszcie, ale w mieście, które na mieszkanie dla niego przeznaczał prefekt. Już pogłoska (fałszywa) szerzyła się, że rząd francuski na wymaganie Mikołaja miał owe zakłady zbrojne wysyłać do Algieru.

Wyjąwszy to ostatnie, o czem jeszcze nie można było z pewnością sądzić, czy była to w istocie myśl rządowa, czy kłamstwo, w ogólności nie można było mieć za złe rządowi, że przedsiębrał środki potrzebne do utrzymania w porządku emigracyi naszej. Ale się to nam wielce nie podobało i od początku poczynaliśmy się skarżyć na króla i jego ministrów.

W istocie wielu naszych od przejścia za Ren poczęło źle się prowadzić. Wielu żyło w Strasburgu, nie chcąc ani do zakładów należeć, ani mając środków do utrzymania się. Widać było po ulicach nasze polskie mundury wyszargane, krzyże wojskowe, i niejeden, który je nosił, cięty jakby na kiermaszu, szukał, jak to mówią, okazyi. Wielu też pokazało się oszustów, którzy pod tytułem oficerów polskich oszukiwali mieszkańców i nadużywali ich przychylności ku nam.

Zajmowała natenczas naszych i partyę liberalną Francuzów w Strasburgu kłótnia emigracyjna z okazyi ucieczki z Warszawy i przybycia do Francyi generała Chrzanowskiego. Pierwszy Kozakiewicz podał na niego artykuł do kuryera du Bas Rhin, mianując go zdrajcą, szpiegiem, pułkownikiem rosyjskim. Ujął się za Chrzanowskiego generał Dembiński i stanął w jego obronie, czem ściągnął na siebie nieprzyjaźni, co mówię, wiele zajadłości w naszych.

Te były pierwsze przysmaki, które na nas czekały w Strasburgu, a jeszcze nie mieliśmy czasu dowiedzieć się, co się działo po zakładach i w Paryżu. Postanowiliśmy z Adamem ruszyć do Châlons sur Marne, stroniąc od zwad strasburskich i przybliżając się nieznacznie do Paryża. Kilka dni tylko zatrzymaliśmy się dla widzenia miasta, katedry i wieży.

Ta ostatnia słusznie policzona między arcydzieła sztuki, cała z kamienia, jakby z kamiennej korony utkana, panuje nad całem miastem i całą jego okolicą, jak wielki świadek z cza-

sów silnej wiary i rycerstwa, w których zamiast formowania licznych pułków, szwadronów i korpusów stawiano kościoły. Zdziwiła mnie śmiałość, z jaką budowniczy podniósł ją tak wysoko, w niebo, jako też harmonia wszystkich jej ogniw i przedniejszych części powiązanych w całość z taką dokładnością, że cała budowla pomimo swej olbrzymiej masy zachowuje charakter bezpiecznej równowagi i lekkości; dziwiła sumienność, z jaką wykonaną i wykończoną została cała myśl i plan budowniczego w najmniejszych nawet szczegółach; wszystkie ozdoby, choć z twardego piaskowca wyrobione, mają wejrzenie jakby były z wosku czy jakiej miększej materyi. Szczeblując po tej wieży, podziwialiśmy z Adamem wykończenie drobnych nawet szczegółów, jako to gzymsów, kapiteli i rozmaitych ozdób nawet, pochowanych w otworach i kątach, których zewnątrz nie widać. W jednym z nich, wpatrując się, dostrzegliśmy wysmukłą wązką kolumnę, opartą na głowie z tego samego kamienia wyrobionej. W twarzy aniołka dziwna spokojność i cierpliwość, a że ciężar pilastry przyciskać zdawał się zanadto mu głowę, podłożył rączkę swoją pod podnóże swej pilastry. Kapitele też zamiast akantowych liści i korynckich zwojów ustrojone tu są w liście winogradu, to jest krajowej ozdoby, niepożyczane z greckiej architektury. Jakaś głęboka pobożność maluje się w tej gotyckiej ozdobie. Zdaje się, że architekt budował przedewszystkiem dla siebie, dla własnej duszy, na chwałę Bożą, nie dbając na efekt, na wrażenie zewnętrzne i oklaski. Nie śpieszył się z wykończeniem, zostawiał dzieło swoje drugim, młodszym, przestając na tem, co mu Bóg dozwolił wykonać, a owe świetne katedry dłużej budowały się, niż dzisiejsze wielkie w Zjednoczonych Stanach miasta i stolice; to też przetrwają wiele miast i narodów.

Po pięciu dniach pobytu w Strasburgu kazano mnie i Adamowi jechać do Chalonu nad Marną i czekać tam odpowiedzi na nasze prośby z Paryża; albowiem oświadczyliśmy, że nie potrzebujemy zasiłków od rządu, byleby nam wolno było mieszkać w stolicy.

Kiedym był w policyi dla wzięcia paszportu, dwóch młodych wieśniaków Alzacyanów z młodszą od nich dziewczyną przyszło po paszporta do Ameryki. Byli to emigranci, co na zawsze opuszczali kraj, wioskę, rodziców i krewnych swoich

dla szukania lepszej dla siebie ojczyzny i lepszego bytu. Spokojni byli i weseli; wesoło rozmawiali ze starszymi, którzy im towarzyszyli, ani znać było, że czekał na nich statek, który za parę godzin miał ich na zawsze rozłączyć.

Miły Boże! pomyślałem sobie, tym ludziom tak łatwo opuszczać na zawsze kraj swój; ufają w siłę, w zdrowie i w pług, ktorym potrafią przyswoić dla siebie nietkniętą jeszcze od stworzenia świata rolę. Jakaż tajemnicza siła, wola Boża, opatrzność prowadzi ich w strony, gdzie może nowy, lepszy stan i porządek rzeczy przygotowuje się dla ludzkości.

Mnie inne cele i widoki zajmują: które, gdy zawiodą, jak sobie zaradzę? Nie żołnierz, nie uczony, nie rolnik, ni rzemieśl' nik nawykły do spokojnego życia.

»Czego się tak zamyślasz, rzekł Adam, już czas iść do dyliżansu«.

17 lipca. Droga do Chalonu.

Dwie noce i prawie dwa dni jechaliśmy do Chalonu wielkim dyliżansem, na którego wierzchu dwadzieścia nowych rekrutów konskrypcyonistów bębniło nam nad uchem. Śpiewali, wrzeszczeli, śmiali się i kłócili się nieustannie, chociaż to pierwszy raz w życiu swojem opuszczali domy rodziców swoich i rodzinne strzechy; gotowali się na wojnę, bo zanosiło się na wojnę z Holandyą.

Po drodze z Alzacyi wiele żebractwa, tak jak u nas, a miejscami, gdzie nas poznali biedni ludzie, mianowicie dzieci, biegli za dyliżansem i wołali: »vivent les Polonais! vive la liiberté! à bas les Russes!« i nadstawiali ręce. U nas żebracy na Boga zaklinają, tu na wolność. Nie mały to jeszcze ostatek wolności, gdy wolno prosić o dobrowolną jałmużnę, prosić publicznie bez uniżenia się. Tę wolność nie wszędzie mają biedni ludzie, w krajach nawet bardzo wolnych i bogatych; kraj ten jest żyzny, piękny, bogaty; nie masz wielkich majątków, włościanie są wolni i właścicielami ziemi, własność rozdzielona, rozdrobniona; ludność jest niezmiernie liczna, większa niż gdziendziej, tak że ziemia nie ma czem jej wyżywić.

Ale rzecz, która bardziej zwróciła na siebie moją uwagę w Strasburgu i w krótkiej podróży przez Alzacyę, to charakter czysto niemiecki tutejszego ludu, charakter w języku, stroju-

obejściu, a nawet w wierze, całkowicie zachowany, pomimo tak długiego oderwania się od Niemiec i należenia do Francyi. Język (platt-deutsch) pozostał, jak był przed wiekami, choć po drugiej stronie Renu we środku Niemiec odmienił się po wielu prowincyach; frak niemiecki, kamizelki długie, z dużymi guzikami, trzyrożny kapelusz, ubiór kobiety, jak naszych żydówek, wszystko jak na obrazach Dürera, Holbeina i szkoły flamandzkiej. Lud wiejski nie rozumie francuszczyzny, tylko wyższa klasa i urzędnicy jej uczą się, a nawet średnia i rzemieślnicza klasa po domach przekłada język niemiecki i źle mówi lub nie mówi po francusku. Wyznania nawet religijne, katolicyzm i reforma zostały, jeśli się nie mylę, jak były przed oderwaniem się od Niemiec. Katolicy bardzo gorliwi, wierni kościołowi swemu, protestanci uparci przy swojem.

Tylko na drugiej stronie Wogezów, ledwo przestąpisz linię rozdziału wód na tym nizkim łańcuchu gór, obaczysz żywość, lekkość, wesołość, dowcip, strój, układ, obejście się francuskie.

Jakże to wytłumaczyć? Alzacya zawsze była wierną Francyi nawet za czasów koalicyi dworów niemieckich przeciw Rzeczypospolitej. Narodowość francuska jest wszakże nieznośną dla Niemców! Rząd wprawdzie tu lepszy teraz, niż po wielu niemieckich księstwach zareńskich; ale też od pół wieku było tu wiele rozmaitych, dobrych i złych i niegodziwych rządów i rządców. A cierpliwość alzacka przemogła wszystko — i któż wie, czego się kiedyś doczeka.

Zdaje się, że w rozpołożeniu geograficznem narodowości i rozmaitych charakterów narodowych, z których każden ma sobie dane od Boga jakieś posłannictwo, cel i przeznaczenie, rzeki i ich naturalny bieg łączą ludzi, zbliżają jednych do drugich, wiążą; rzeki nie są naturalnemi granicami narodowości. Przeciwnie łańcuchy gór wysokich, czy niskich, linie rozdziału wód były i są granicami między rozmaitymi szczepami ludzkości; a na rozległych płaszczyznach miejsca, gdzie się poczynają źródła wielu rzek płynących w rozmaite strony, są jakoby k o p c e na granicach, gdzie się od wieków ścierają i bojują z sobą narody różnych wyznań, celów i dążeń. Jednym z owych kopców jest wyniosłość, na której biorą swoje źródła Dniepr, Dźwina i rzeki płynące na wschód, do Wołgi. Łatwiej jest mi-

lion miast zburzyć, niż rozrzucić ten kopiec, na którym się już tyle krwi przelało.

W nocy z 17 na 18 czerwca dziwnie przyjemną miałem podróż, nawpół we śnie nawpół na jawie. Noc była pogodna, księżyc jasny, ciepło umiarkowane, konie biegły ochoczo i nasi młodzi ochotnicy usnęli byli po całodziennej swawoli.

Co chwilę zasypiałem i ocykałem się; zaledwo zmrużyłem powieki, stawiło mi się Zapole, gospodarka, dom, rodzina, tak żywo, tak jasno i wyraźnie, że nigdy może w rzeczywistości, na jawie, nie widziałem ich jaśniej i wyraźniej; a gdy się budziłem, przesuwało mi się przed oczyma jakoby w panoramie jakie miasto, wieś czy miasteczko ze swoimi białymi domami, tak właśnie, jak je wyobraziłem sobie we snach młodości mojej, kiedy mi się tak chciało wojażować, widzieć zagraniczne kraje. W istocie, kto zna Litwę naszą, jej drewniane wsi i słomiane strzechy, jej miasteczka nieschludne, karczmy i stodoły i kto wie, co to jest w młodości chęć do wojażowania po obcych krajach, chęć zapalona czytaniem podróży, obrazami, pejzażami i opowiadaniem wojażerów; kto nadto przypomni sobie, że za moich czasów rząd nie dawał paszportów za granicę, albo ich danie utrudzał, zaostrzając tem bardziej żądzę w zapalonej głowie do widzenia obcych krajów, ten pojmie, jak się to za młodu malowały we snach moich domowych miasta francuskie, włoskie, niemieckie i góry szwajcarskie. W takich właśnie kolorach przy świetle księżyca przeciągały teraz na jawie przed oczyma mojemi rozmaite miasteczka: Benameux (?), Luneville, Domballe, St. Nicolas. Tylko, że dusza moja była tak daleko odemnie, od moich zmysłów, że do niej nie dochodziły wrażenia, jakie od nich odbierałem. To, co mi było obecne, tak blade było w słabych, bladych odcieniach, a to, co widziałem we snach, tak było żywe, porywające za serce, gorące, drażliwe, że owe sny nieporównanie rzeczywistsze dla mnie były od samej rzeczywistości: i tak dalece mieszały mi się sny z przedmiotami na jawie, że rozróżnić nie mogłem jednych od drugich; i w danym momencie nie wiedziałem, co było we śnie, co było na jawie, gdzie byłem i czy jeszcze żyję w domu, czy też na zawsze go opuściłem.

Trudno opisać ów stan, w którym się czuje dobrze dwa oddzielne istnienia, choć powiązane z sobą łańcuchem, który

się rozciąga, ale nie pęka: to jest ciało ze zmysłami na jednem miejscu, a dusza daleko zajęta innym światem i inną rzeczywistością. Ciało słabe, zmęczone, zmysły obudzone, a dusza wolna, nieuwięzła, jak błyskawica, wylatująca w swoje ulubione strony i wracająca na zawołanie drażliwych zmysłów, jak owa matka, co zostawiwszy słabowite dziecko, nie może długo zostać na modlitwie, do której ją unosi wyższa miłość i wraca za każdem odezwaniem się dziecka, aby je ułagodzić, pocieszyć, opatrzyć.

18 lipca.

O wschodzie słońca przyjechaliśmy do Nancy, dawnej stolicy i rezydencyi naszego króla, chrześcijańskiego filozofa Leszczyńskiego. Tu już drugiego naszego króla statuę spotykamy w krótkiej naszej wędrówce: Augusta w Dreźnie, tu Stanisława, obu wybranych przez wolny nasz naród w upadającej Polsce; trzeciego Walezyusza, choć za lepszych czasów wybranego, i prochów nie znajdziemy w Paryżu.

Jakże różnego losu doznali dwaj pierwsi: August Sas z muszkularnej siły swojej sławny (der Starke), panował długo, nic dobrego nie sprawił, posunął Polskę do upadku, umarł królem choć nie w swojem państwie, nikt o nim nie wspomina nawet w stolicy, po której plądrują Moskale. Stanisław Piast, z pobożności, wiary, dobrego serca, rozumu i dobrych obyczajów znany, pisarz znamienity, nie miał czasu i kilku dni panować, wygnany od tych, co potem rozszarpali Polskę; uniósł z sobą tylko tytuł króla i miłość kraju; a mając sobie dany rząd nad Lotaryngią i Barem panował po ojcowsku w tym kraju, urządził go, ubogacił i wspominają go tutejsi mieszkańcy, jak dobroczyńcę swego; umarł daleko od Polski, którą kochał. Cóż po tem, że mu zostawiono tytuł króla, kiedy umarł daleko od Polski, na królewskiem wygnaniu.

Posąg mu wystawili przez wdzięczność dobrzy Lotaryńczycy, których stolica od czasu śmierci króla znacznie podupadła i zubożała. Posąg ten kolosalny nie ma wyrazu szlachetnego duszy polskiej. Znać, że jej nie znał sztukmistrz. Tylko karabela sejmikowa przy boku króla daje znać, skąd był i jakiego hartu. Dotąd na ratuszu pozostały polskie orły i pogonie, choć z pałacu, gdzie mieszkał, już je zdarto i zdarto lilię i czapkę

frygijską, które ich miejsce były zastąpiły, i zdarto potem cesarskie orły i zrestaurowane lilie, a na gruzach tylu rządów i tylu przysiąg zerwanych powiewa wielka chorągiew trzykolorowa orleańskiego szczepu — nie na długo może.

Jedźmy dalej.

19 lipca. Châlons sur Marne.

Przyjechaliśmy do stolicy Szampanii: któż jej nie zna ze sławnego wina, którem się upija świat wielki, zepsuty! Zdaleka od niej rzekłbyś, że tu ziemia cała winnicami musi być pokryta, niebo i natura piękne. Przeciwnie, kraj smutny, równiny wapienną ziemią pociągnięte, suche, mało drzew, mało wzgórz, rzeka mętna, nie widać winnic, ni ogrodów.

W mieście znaleźliśmy cholerę, mieszkańcy przestraszeni. Prefekt, jakiś karlista, nie bardzo nam przychylny.

Że dalej nie wolno było jechać, napisałem do ministra Montalivet prośbę w te słowa:

»V. Excellence!

Arrivé en France dans le but de poursuivre mes études et n'ayant pas bésoin de demander des secours au Gouvernement Français j'ose prier V. Exc. de vouloir bien me permettre d' aller à Paris.

Czekamy na odpowiedź!

20 lipca.

Przybyli tu Wojtkiewicz i Malinowski, powstańce nasi, jadący z Belgii do Besançonu dla namawiania naszych do służby belgijskiej. Król bowiem Leopold, gotując się do wojny przeciw Holandyi i jej sprzymierzeńcom, głaszcze Polaków i przyjmuje do swojego wojska oficerów naszych w stopniach, jakie posiadali w kraju. Dobrze się im potem odpłacił po wojnie na żądanie Rosyi.

Tegoż dnia przyjechało trzech innych zapaleńców naszych z Frankfurtu i z liberalnych kongresów w Hambach [1]) w Würtemburgu (?) etc. Ci jechali do zakładów polskich werbować na-

---

[1]) Hambach, wieś w Bawaryi, w Palatynacie reńskim, gdzie 27 maja 1832 odbył się głośny *Hambacher Fest*, na którym po raz pierwszy stronnictwo republikańskie w Niemczech wystąpiło otwarcie ze swoim programem. (Przyp. wyd.).

szych, aby się mieli na pogotowiu do służby niemieckiej, skoro usłyszą o rewolucyi w Frankfurcie.

Sądziłby kto, że emigracya nasza nasza od początku była armią rewolucyjną, u której szukały związku i sojuszu wszystkie konspiracye; a jednak my nie pragnęliśmy czego innego, jak ojczyzny, naszej własnej ziemi: Moskwa była rewolucyą u nas. Te jednak podbudzania liberalistów wielu naszym głowę zawróciły, że prawie zapomnieli o Polsce.

25 lipca.

Umarł tu z cholery jeden z naszych rodaków, oficer z dawnej służby. Odbył całą kampanię zdrów i bez szwanku, znajdując się po tysiąc razy między cholerycznymi, doglądając, opatrując umierających z cholery. Przeżył też czas niejaki w Prusiech, gdzie cholera grasowała, i przejechał przez całe Niemcy, nie dotknięty zarazą, bez obawy. Czekała go tu cholera, gdzie się jej nie spodziewał. Widzieliśmy go na parę godzin przedtem; wesoły, młody i piękny wiarus, z zapałem opowiadał czyny swoje z ostatniej wojny, batalie, na jakich się znajdował. Jednym razem stracił przytomność. Kiedyśmy pobiegli z lekarzem widzieć go w hotelu, tak już był zmieniony, że żadnym sposobem nie mogliśmy uwierzyć, że był ten sam, którego znaliśmy. Twarz jego była sina, żółtawa i tak okropna, że jaki nie bądź trup wydałby się żywym przy niej.

W kilka godzin skonał. Ta śmierć tak przeraziła Adama i tak go zasmuciła, że się lękałem, żeby nie zachorował. Nigdy go dotąd nie widziałem był w podobnym stanie: do późnej nocy nie myślił, nie mówił o czem innem, jak o umarłym i aż do świtu nie zmrużył oka; budził mnie co chwila i dziwił się, gniewał się, że mnie sen morzył. Nazajutrz też był bardzo smutny, nie jadł i mało rozmawiał. Ta przebrzydła cholera jest gorsza, niż wszystkie choroby, powtarzał i nie taił się, że się jej lęka, jak gdyby jakie straszne przeczucie go dręczyło[1]).

Pochowaliśmy naszego oficera na miejskim cmentarzu; Adam napisał dla niego nagrobek po łacinie i złożono składkę na wystawienie pomnika.

---

[1]) We dwadzieścia lat potem umarł Mickiewicz z cholery w Konstantynopolu. (Przyp. autora). Właściwie we 23 lata. (Przyp. wyd.).

Tak był smutny i nudny pobyt nasz w Chalonie, że dla rozerwania Adama umyśliliśmy zwiedzić okolice Szampanii.

Pojechaliśmy naprzód o 5 godzin stąd do sławnych okopów, które uchodzą pod nazwaniem (sic) camp d'Attila. Jest podanie, że w tym właśnie miejscu Attila był pobity przez Aecyusza[1]), a przynajmniej stąd począł cofać się ów straszny wróg, milion razy straszniejszy od cholery. Nic godnego uwagi nie znaleźliśmy w owych okopach: jest to duży szaniec wysypany w kwadrat, porosły murawą; trzy otwory z trzech stron, z czwartej zaś rzeka płynie — w jednym rogu nad rzeką reduta okrągła góruje nad całym okopem.

Od okopu Attili pojechaliśmy do parafialnego kościółka w Epinay, gdzie cudowny ołtarz Najświętszej Panny ściąga na odpust dwa razy do roku tysiące ludu. Kościółek architektury gotyckiej, dobrze zachowany, ma w swoich ozdobach powyrzynane z kamienia jakieś płazy i gadziny. Obraz z dawnych czasów łaską bożą ocalony po tylu rewolucyach jest dziwnie podobny do obrazu N. Panny Żurowickiej; i co dziwniejsze, to że wypytując się o podaniach i o historyi tego obrazu, dowiedzieliśmy się, że tu jak w Żurowicach obraz ukazał się był naprzód w krzaku gorejącym, oświecony jasnością jakąś nieznaną; spostrzegli go pasterze i na tem miejscu zbudowano kościół, do którego lud ze wszystkich stron Francyi schodził się na nabożeństwo, chorzy szukali uzdrowienia, nieszczęśliwi pociechy.

Tego tu zabytku dawnej wiary i pobożności nie zdołały obalić demagogia i jakobinizm, kiedy tymczasem schizma sprofanowała nasz kościół żurowicki, wprowadziwszy do niego popów i niewiernego Siemaszkę.

Proboszcz, Francuz, grzeczny, dowcipny, wesoły, przyjął nas uprzejmie. Wielką jednak różnicę dostrzegliśmy między nim a prostotą naszych księży, którzy z taką wiarą i niewymuszoną pobożnością mówią o cudach, że i najzaciętszego niedowiarka potrafią rozbroić. Tutejszy curé nie chciał się zrazu wdawać z nami w religijną rozmowę; ale poznawszy, że choć nas za rewolucyonistów miano, jesteśmy katolikami, począł opowiadać, jak w czasach zamieszek jakobini francuscy

---

[1]) W autografie przez omyłkę napisał Domejko: Eliusza. (Przyp. wyd.).

usiłowali obalić kościół i zniszczyć obraz, jak się temu potrafił oprzeć proboszcz ze swoim ludem wiernym i jak niedawno jedna ślepa dziewczyna, modląc się do tego ołtarza, wzrok otrzymała.

Na rozstaniu się dał nam dobry proboszcz szampańskiego czerwonego wina noumoussé od kilku lat, jak nas zapewniał, zachowanego w sklepie i mogę zapewnić, że nigdy tak dobrego szampana nie piłem.

To ostatnie dało nam powód zwiedzić nazajutrz przesławny sklep wina szampańskiego Jacksona w Chalonie. Wyobrazić sobie proszę ogromne kurytarze, wykute w wapiennej skale pod ziemią. Kurytarze te, a raczej sale, na sto i więcej łokci długie, podobne do podziemnych katakumb rzymskich. U wejścia do każdego z nich nad drzwiami napisane jest imię jakiej wielkiej stolicy: tu Berlin, Frankfurt, Wiedeń, tam Londyn, Petersburg. Ośmkroć sto tysięcy butelek było w tym czasie na pogotowiu, a był to czas, w którym przyprawiano wino młode z ostatniego winobrania. W tym miesiącu wino zaszpuntowane wchodzi w nową fermentacyę, burzy się. Ludzie, których znaleźliśmy w jednej sali, byli zajęci odszpuntowywaniem butelek. Z każdej butelki w momencie, kiedy wyjmą korek, wychodzi od dna samego osad z szumem i pianą; skoro wyjdzie szum, natychmiast dolewają wina i znowu szpuntują butelki.

Ileż to wielkich kongresów, rad dyplomatycznych, klubów, konspiracyi i aliansów leży zaszpuntowanych w tym sklepie!

Najdłuższa ze wszystkich sal jest petersburska; stąd posyłają wino nie tylko do picia, ale, jak wiadomo, w tem winie, jak u nas w wodzie, gotują rybę w Moskwie i w Petersburgu na wielkie obiady.

Nadchodziła uroczystość rocznicy rewolucyi lipcowej: wielkie święto polityczne dla tych, co narzekają na wielość świąt kościelnych. Od wielu dni nie mówili o czem innem Francuzi jak o swoich *glorieuses*[1]).

Ale dwa lata już upływało od wypędzenia starszej linii Bourbonów; król-obywatel miał czas ochłonąć z rewolucyjnego

---

[1]) Epitet, który nadawali Francuzi swoim rewolucyom po r. 1830. (Przyp. wyd.).

szału, nie pokazywał się już na ulicy z parapluyem i brudnemi rękawicami jak z początku; poczynał doprawdy zakrawać na króla. Partya, co go na tron wyniosła, też nabierała ochoty i odwagi do arystokratycznego tonu; Lafayette usunął się z Tuilleries, Lafitte był na wyjezdnem. Ruch rewolucyjny coraz bardziej się rozwijał w niższej klasie; lękano się po większych miastach zaburzenia z okazyi *glorieuses*.

Chwycono się więc pozoru, jakoby cholera nie pozwalała licznych zebrań ludu po miastach i tylko po miasteczkach gotowano się do obchodu rocznicy.

W istocie po miasteczkach lepiej się maluje charakter narodowy ludu i jego massy niż po miastach, gdzie druk, gazety, napływ cudzoziemców, dwór i duma urzędników mieszają się do wszystkiego, głuszą wszelki dźwięk narodowości.

Pojechaliśmy tedy z Adamem dla widzenia patryotycznych uniesień o 4 mile z Chalonu do małego miasteczka Suippes[1]) dokąd zaproszeni byliśmy przez dowódcę tamecznej gwardyi narodowej, pana Bourgeois.

Przyjęci uprzejmie w jego domu, znaleźliśmy w nim gościnność francuską średniej klasy, gościnność, która jeśli nie jest tak serdeczną, huczną, liberalną, wesołą, nieograniczoną, jak u naszej szlachty, jest dosyć otwartą, niewymuszoną, ujętą w niejakie karby, do których łatwo nawyknąć, nie kosztowną, a jednak dobrze urządzoną i przyjemną.

Pan Bourgeois, istny bourgeois lipcowego rządu, przemyślny, czynny, popularny między swoimi, przeciwnik szlachty, choć radby jej miejsce zastąpić; liberalny, nie dowierzający księżom, ani kościołowi, trochę filozof, trochę ekonomista; całą gębą zabity stronnik konstytucyi, miłośnik elekcyi i rad municypalnych. Zresztą rozsądny człowiek, uprzejmy aż do poufałości, choć w pewnych obrębach, za które nie łatwo go było wyprowadzić.

Jednym słowem był to człowiek nowej szkoły francuskiej. Uwięziony i prześladowany za restauracyi, doczekał się z radością rewolucyi; niemało wyłożył ze swojej kieszeni na umundurowanie gwardyi narodowej w swoim powiecie, zakupił

---

[1]) W autografie: Suib. Suippes obecnie stacya kolei żelaznej na drodze z Châlons do Metz. (Przyp. wyd.).

instrumenta do muzyki, został mianowany dowódcą tejże gwardyi i przy pomocy przyjaciół swoich kierował według własnej woli elekcyami na oficerów.

Miano tedy obchodzić hucznie i wystawnie liberalną rocznicę. P. Bourgeois uformował program, obejmujący musztrę, paradę wojskową, bębny, chorągwie, »Te Deum«, mat de cocagne, tańce, ochotne ognie i illuminacyę wieczorem; o niczem nie zapomniano.

Na nieszczęście tuż czyhała na owe przybory niespodziewana niezgoda. Wszczęła się kwestya z okazyi pierwszeństwa na paradzie; były tu 4 kompanie, które składały gwardyę: jedna pionierów, płatna od rządu, a zatem przymuszona i nawykła do porządku i dyscypliny; druga grenadyerów, wyborowa, odznaczała się postawą, urodą i jakąś wyższością tonu; dwie inne woltyżerów składały się z rzemieślników, rolników i proletaryuszów.

Chodziło o to, kto miał iść na przedzie, zaraz za muzyką: czy pompiery, jako żołnierze, będący na żołdzie, czy grenadyerzy? P. Bourgeois znalazł w reglamencie jakimś starym, że należało dać pierwszeństwo pompierom, ale grenadyery stanowili wybór, kwiat obywatelstwa!

Całe się wojsko na dwie partye rozdzieliło i całe miasteczko było w konsternacyi. Przychodziły deputacye od grenadyerów do p. Bourgeois, i pani Bourgeois odbierała liczne wizyty od dam, które za honor swoich mężów ujmowały się. Dowódzca stanął nieugięty, głuchy na pogróżki, rady i pochlebstwa.

Kiedyśmy wyszli na rynek, kompania grenadyerów wypowiedziała posłuszeństwo. Żołnierze wprawdzie chodzili w mundurach i zalecali się do dziewcząt, ale bez broni, bo oficerowie nie wyszli z domów swoich i nie było komu komenderować.

Nadchodzi fatalna godzina; trzy czwarte gwardyi stanęło pod bronią; uderzono w bębny, zagrzmiała muzyka i cała komitywa, magistrat i dowódzca, wziąwszy nas dwóch między siebie, pociągnęła wolnym, tryumfalnym marszem do kościoła, gdzie się odprawił krótki nieszpor i »Te Deum«.

Mówię krótki, bo nie był to czas do nabożeństwa. Nasi dobosze od początku tak się zabębnili, że ani słychać było śpiewania dwóch księży, którzy zwyczajem liturgii francuskiej w kapach po chórze chodzili.

Zaledwie ucichły bębny, zagrano marseillaise, co tak zapaliło publiczność, że zapomniano o Panu Bogu. Żołnierze prezentowali broń, oficerowie komenderowali, kościół pełen bagnetów jakoby na wojnie.

Dziwnie odbijało to chaos rewolucyjne od twarzy starego, osiwiałego zakrystyana, który z za drzwi zakrystyi wyglądał spokojny i zdawał się dziwić, co się stało z ludem i kościołem francuskim.

Po nabożeństwie defilowała gwardya przed panem Bourgeois i merem, a rozpierzchnieni po rynku grenadyerzy naśmiewali się z nich i zaraz potem przychodziło do kłótni, przygryzek. Nie wiem nawet, na czemby się skończyło, gdyby pierwej, nim zmrok zapadł, nie dały się słyszeć kontradanse po rozmaitych domach na to przygotowanych. Znikły z przed oczu rynsztunki, chorągwie, bagnety; w kwadrans całe miasteczko skakało w zgodzie, wesołości i najlepszej harmonii.

Tu na tańcach występuje Francuz w swojej właściwej figurze, jaką mu dał Pan Bóg, tu mu się dobrze przypatrzyć można. Tu prawdziwa równość, wolność, niepodległość panują, choć nikt o nich nie mówi, nie pisze. Choć skrzypek niemiłosiernie rżnie i piszczy, tak że nasi karczemni muzykanci wydaliby się Mozartami, choć silnie wybija takt nogą niezgodnie, owszem w zwadzie ze swojem graniem, wszyscy radzi, weseli, tańczą, jak kto umie. Pan obok sługi, majster obok czeladnika, pani obok służącej; pan Bourgeois tańczył z ogrodniczką swoją, ogrodnik z panią B., damą wyższego tonu z Châlonu, oficerowie z kucharkami. Tu może czerpie swój żywioł duch niepodległy i liberalny Francuzów widoczniej, niż w dziennikach i piśmiennictwie paryskiem.

Mogę pochwalić się, że przyjemnie przepędziliśmy z Adamem trzy dni wypoczynku na wsi, choć ta wieś szampańska w ogólności bardzo różni się od obrazu, jaki sobie w cudzych krajach amatorowie wina i podróży zazwyczaj tworzą. Szampania jest może najmniej malowniczą ze wszystkich części Francyi; mianowicie Châlons i jego okolice niewesołe, płaskie, wapienne. Tu niemasz folwarków naszych, dworów, ni ogrodów; bo niemasz bogatszych właścicieli. Wszyscy w miasteczkach żyją; nawet chłopi nie mają takich wsi, jak nasze; ani po polach widać trzód, bo wszystkie bydło na uwięzi. Nie widać

też winnic, które na zachodnim tylko krańcu Szampanii około Ais i Espernay mały obszar zajmują. Około Suippes piękne łany pszenicy widziałem na otwartej płaszczyźnie i kraj z wejrzenia podobny jest do grodzieńskiego powiatu; choć nie tak może żyzny, ni wesoły.

Za powrotem do Châlonu znaleźliśmy odpowiedź ministra, w której każe prefektowi »prendre de renseignements sur nos personnes et notre conduite«. Doprawdy nudzić już nas poczynał pobyt w Châlonie. Radziliśmy się jednego urzędnika królewskiego, jakim sposobem, nie obrażając wcale króla, ni konstytucyi, możnaby się dostać do Paryża za paszportem, w którym wyraźnie zastrzeżono: »défense de se rendre à Paris sous quelque pretexte que ce soît«. »Il n'y a qu'un moyen pour cela« odpowiedział. Byliśmy pewni, że nam ułatwi w sekrecie podróż. »Quel est donc ce moyen?« pytał go Adam. »Partir par la malleposte« odpowiedział. Jakto? kuryerem? pocztą? powozem rządowym? — Ni mniej, ni więcej — »A któż nas wpuści do miasta? skoro zobaczą paszporta, zaaresztują!« »Nikt się nie odważy zatrzymać kuryera na drodze, ani na wjeździe do miasta«.

Na to ostatnie zaręczenie tejże samej godziny wsiedliśmy do malleposte i ruszyliśmy do Paryża.

1 sierpnia 1832 r. o trzeciej godzinie rano swąd paryski swąd węglowego gazu, jakby ze wszystkiemi swędami całego świata zmieszany, obudził mię ze snu; i może to pierwsze wrażenie przykre i niespodziewane wpłynęło na jakieś złe przeczucie, które w tym momencie mnie ogarnęło, że w tem mieście, do którego od najrańszej młodości mojej tak tęskniłem, nic dobrego się nie przydarzy i może stąd nigdy żyw nie wyjdę.

V.

Paryż.

(Notatki moje paryskie.)

Jestem w Paryżu: w mieście, do którego z najrańszych, a mianowicie z uniwersyteckich moich czasów tak gorąco rwałem się, rojąc sobie, że tu jest ognisko wolności, środek i stolica wyższej cywilizacyi, przez to samo, że z niego tyle wybuchło rewolucyi i tyle wielkości ludzkich, tyle żywiołów dla dumy i namiętności ludzkiej urosło.

Tak sobie wyobrażałem Paryż, kiedy nasza malle-poste zatrzymała się przy ulicy du Mail, hotelu du Metz. Wysiedliśmy; cicho było jeszcze i czas do spoczynku. Ale zaledwo zdrzemałem się, zbudził mię uliczny hałas i turkot pojazdów i przyszedł mi na myśl jakiś wiersz francuski:

Paris, ville de bruit!...

Rzecz naturalna, że mając Paryż przed oczyma, zapomniałem przez kilka dni, iż byłem emigrantem i że w tem mieście była natenczas stolica emigranckiej Polski, główna kwatera emigracyi naszej.

Pobiegliśmy naprzód widzieć Tuilleries, które wyobrażałem sobie z opowiadania wojażerów i z rysunków, że musi to być pałac nadzwyczajnej wspaniałości i uroku; patrzyłem nań i nie wierzyłem sobie; wydał mi się podobnym do koszar; na dziedzińcu przeciągał pułk piechoty, a za kratami lud czepiał się i przypatrywał się musztrom z ciekawością i upodobaniem. Ów wielki łuk, arc de triomphe, na którym piękne bronzowe konie przypominają owe arcydzieło, które szczęśliwy kapral był zrabował i tu przywiózł, a potem oddać musiał, nie zrobił na mnie wrażenia, jakiego spodziewałem się; za niski, za szeroki wzglę-

dnie do otaczających je gmachów, wydał mi się tak, jak gdyby przed czasem zapadał do ziemi.

Ów wielki ogród Tuileryjski, o którym cuda opowiadają wojażerowie nasi, nie zaspokoił też ciekawości mojej. Drzewa pyłem i kurzawą pokryte; kwiaty żelaznemi kratami ogrodzone; posągi poczerniałe; z tych ostatnich, jeden nowszy, biały, z pięknego marmuru zatrzymał mnie na moment; był to Spartacus zrywający więzy, pasujący się jeszcze i niespokojny, jak gdyby lękał się, żeby mu ich na nowo nie włożono. Był to posąg niedawno postawiony na pamiątkę lipcowej rewolucyi. Opodal od niego widać było ów starożytny posąg niewolnika, czy szermierza, co ostrzy nóż. Na krużganku pałacowym powiewała trzykolorowa rewolucyjna chorągiew.

Z tego ogrodu idąc ku Elizejskim polom, spostrzegłem sławną kolumnę Vendôme, która wielkością swoją, prostotą i pięknością form przeniosła myśl moją do epoki podobnych dzisiejszym złudzeń naszych. Nie było jeszcze na jej wierzchołku posągu Napoleona, który zrzucili za wejściem do Paryża sprzymierzeńcy, choć się nie odważyli obnażyć jej ze spiżu, który do nich był należał, bo z ich harmat był wylany, z harmat wziętych w jednej batalii.

Nieco dalej, tuż za ogrodem, wyszliśmy na obszerny plac, bezwątpienia najpiękniejszą część Paryża — plac otwarty, rozległy, z którego widać przedniejsze monumenta: zamek królewski, wieże katedralne, pałac reprezentacyi narodowej, Arc de l'Etoile i kościół świętej Magdaleny. Na środku tego placu ścięto ostatniego z Kapetów, a może ostatniego z katolickich królów, bo wszyscy późniejsi nie byli już królami z łaski Bożej, byli konspiratorami, szukali łaski ludu, obcych książąt i żołnierza. Trzykroć już zmieniono imię tego placu i trzykroć zmieniono pomnik, który budowano i odbudowywano na nim; był to plac Rewolucyi, plac Ludwika XVI, plac Zgody; i komuż wiadomo, jak go za sto lat nazwą? Tymczasem, aby pogodzić umarłych i żywych z tymi, co za sto lat tu panować będą, umyślił Filip postawić tu wielki obelisk egipski, dany mu od egipskiego wicekróla w upominku (Luxor). W istocie możeż to obudzić zazdrość lub obawę w jakim nowym królu, cesarzu, czy trybunie francuskim, że na tem historycznem miejscu, najświetniejszem w stolicy, zamiast uwieczniać sławę którego

z dawnych czy nowych bohaterów francuskich, postawią pomnik jakiemuś nieznajomemu cyganowi, co przed czterdziestu wiekami panował za morzem?

Z tego placu piękny most kolosalnymi osadzony posągami przywiódł mię do pałacu, który też koleją lat, choć nowy jeszcze, nowej daty, wielekroć musiał zmienić nazwisko. Był to pałac Bourbonów, dziś Izba deputowanych Ludwika Filipa, jutro może konwencya; most też nazywał się mostem rewolucyjnym, teraz go urzędowo zowią mostem posągów, a i te ostatnie może nie na długo popasują na swojem miejscu, bo większa ich część jest obrazem dawnej arystokracyi, dawnej świetności królestwa chrześcijańskiego.

Zamiast tedy przypatrywać się tej niezapisanej jeszcze, szkicowanej karcie Paryża, pociągnęliśmy szybkim krokiem przez Elizejskie pola do silniejszego i jak się zdaje lepiej umocowanego pomnika napoleońskich wojen, słynnego Arc de l'Etoile, świetnej mogiły więcej niż miliona żołnierzy, poległych na komendę jednego, a między któremi i naszych sto tysięcy spoczywa, nie licząc w to z zarazy poległych w San Domingo. Między najcelniejszymi tam wodzami i bohaterami widzieliśmy bluszczem otoczone imiona Poniatowskiego, Dąbrowskiego, Kniaziewicza: smutne wspomnienie z czasu najświetniejszych nadziei naszych, które też przyświeciły ostatnim usiłowaniom narodu, krótszym, choć może świetniejszym dla Polski, bo całkowicie z niej wysnutym bez pomocy obcej!

Nie na długo na ten raz patrzyłem na ten tryumfalny pomnik nowożytnego Cezara, a za powrotem zatrzymaliśmy się przy nieskończonym jeszcze kościele św. Magdaleny, który Paryżanie zowią poprostu Magdaleną. Duży to gmach greckiej, pogańskiej architektury bez wieżyc i bez krzyża, jeszcze o trójkątnym frontonie, opartym na koryncki kolumnach, kształtu bardziej do giełdy czy muzeum, niż do kościoła podobny. Był czas, kiedy chełpliwi z lekkiego charakteru Paryżanie sądzili, że będzie to świątynia sławy czy zwycięstwa dla uwiecznienia wielkości narodowej. Pobożniejsi Burbonowie śpieszyli z fabryką, żeby czemprędzej poświęcić ten budynek chwale Pańskiej. Ludwik Filip majaczy, nie śpieszy się, nie decyduje się jeszcze ogłosić, że będzie to ni mniej, ni więcej kościół, bo się lęka, żeby go o pobożność nie posądzono. Czas nie do budowania

kościołów, jak świadczą temu gruzy pałacu arcybiskupa i opustoszały kościół St. Germain l'Auxerrois[1]). Pracują jednak wewnątrz tego gmachu rzemieślnicy, artyści; całe jego ściany okładają marmurami — Bogu niech będzie chwała, że pomimo oślepienia ludu jest jeszcze w tym narodzie wyższa siła do budowania kościoła; i jakiegoż kościoła? na cześć św. Magdaleny grzesznicy! Oby za jej przyczynieniem się Bóg miłosierny wyrzucił z tej wielkiej stolicy zgorszenia nie dwanaście, ale legiony czartów, które ją szarpią, gryzą i pokoju nie dają.

Na tem skończyła się pierwszego dnia wycieczka po ulicach Paryża, która bynajmniej wrażeniem, jakie na mnie sprawiła, nie dorównała wyobrażeniom, jakie z młodych lat moich utworzyłem był sobie z opowiadania i czytania wojażów.

Drugi dzień poświęciliśmy z Adamem na zwiedzenie przedmieścia St. Germain, Hotelu Inwalidów i Panteonu.

Możeż być co godniejszego widzenia w tym czasie w Paryżu, jak Hotel Inwalidów, gdzie żyją jeszcze żołnierze z najwojenniejszej epoki wojennego narodu!

Na pięknej, rozległej równinie, nieco na ustroniu od zgiełku Paryża, stoi wspaniały gmach, bardziej prostotą i ogromem, niżby wyszukaną jaką wykwintnością architektury odznaczający się; nad nim wznosi się złocona kopuła z krzyżem; przed nim ogród i rozstawione działa w niezliczonych bataliach po całej Europie zebrane. Czas był pogodny, nie gorący, gromady starców, a wielu z nich bez nóg, bez rąk, do połowy skurczonych, szukały cienia pod drzewami. Jedni spokojnie na ławach siedzieli, drudzy ruchawsi przechadzali się, rozmawiając z sobą o całej przeszłości wojen i zaborów. Oh! nigdy się im nie przebierze rzecz do rozmowy. Tu widzisz jeszcze zgrzybiałych rzeczpospolitej żołnierzy, co naprzód ludowi, potem konwencyi, a potem szczęśliwemu kapralowi służyli. Tleją w ich oczach ostatki jeszcze rycerskiego ognia; ich wdziękiem są blizny i zmarszczki na pooranych wiekiem twarzach, a czarująca zaleta, żywość francuska, grzeczność, dowcip, spokój i pewna surowość przy ociężałej latami powadze — trudno, niepodobna

---

[1]) W autografie: Louxerois. (Przyp. wyd.).

opisać owej żyjącej historyi olbrzymiego wysilenia narodu. Tu mi ukazywano zdobywców Bastylii, tu nie jeden żyje z tych, co widzieli początek rewolucyi, upadek królestwa, ścięcie Ludwika; niejeden z tych, co zaprawieni na koalicyjnych i domowych wojnach nieśli postrach na libijskie piaski pod czterdziestowiekowe spiekłe piramidy; niejeden z nich, co tak dziś powoli idzie poza kratą, ocalał tam z zarazy i [od] mameluków ataganu i przechodząc koleją przez szeregi niezliczonych bitew i tryumfów, zaszedł aż pod biegunowe lody i zamiecie, wszędzie z wesołem sercem, z wiarą w przeznaczenie Francyi i z miłością ojczyzny.

U bramy spotkaliśmy dwóch inwalidów, których widok zatrzymał nas pomimowolnie i godny był pędzla największych malarzy. Choć było dwóch, jedna tylko była noga; za to każdy miał po krzyżu i bliznę na twarzy; ten, co powyżej kostek miał poucinane nogi, żywszy był, zręcznie uwijał się o kiju i jednym kosturze, żwawo coś opowiadał drugiemu, który spokojnie, nieporuszony, ze spuszczoną głową, zwieszonymi na dół wąsami, ze skrzywioną na bok fajką w gębie, słuchał pilnie i zamyślił się, jakby co sobie przywodził w pamięci z przeszłości.

Byli tam i młodsi pokaleczeni, zdawało się jakby od wczoraj przybyli, a o których jeden wąsal, co się przybliżył był do nas, powiadał z niejakimś uśmiechem, że byli to »combattants de juillet, de juin et des émeutes de Grenoble, de Lyon etc.«.

Oprowadził nas potem jeden z inwalidów po całym domie: wielki porządek, ochędostwo i ład we wszystkiem. Zatrzymaliśmy się w jadalnej sali, na której ścianach malowanych fresco widać czyny Kondeusza, Tureniusza, wyprawy z wieku Ludwika XIV; kredens był bogato opatrzony w stołowe srebra sporządzone i darowane dla oficerów przez Maryę Ludwikę. Zwiedziliśmy też bibliotekę, czytelnię, mieszkania wygodne: a nakoniec zstąpiliśmy do kaplicy, a raczej wielkiego kościoła, co panuje nad całą budową.

Z hotelu inwalidów pociągnęliśmy przez całe tak nazwane przedmieście St. Germain, stolicę dawnej arystokracyi i świetności Francyi, ku Sorbonie i kościołowi św. Genowefy, patronki Paryża.

Smutne to dziś to przedmieście. Jej dostojni mieszkańcy,

potomkowie Beaumontów [1]), Montmorencych, Rohanów, chroniąc się od gilotyny, tułali się po obcych krajach; wróciwszy z królem, dopomnieli się o wynagrodzenie i nie potrafili obronić praw tronu. Teraz ich domy, starożytne hotele, zamknięte, dziedzińce mchem porosłe, a oni daleko po ocalałych, nawpół porujnowanych zamkach żyją, stroniąc od dworu, lub knują spiski szuańskie pod naczelnictwem słabej księżnej Berry i jej małego syna.

Krętemi, ciemnemi i ciasnemi ulicami łacińskiego kwartału, gdzie zamiast ozdobnych pałaców, sklepów i zbytkownych magazynów, książki tylko, lancety, kościotrupy, kodeksa i mapy szkolne z za brudnych okien wyglądają, przyszliśmy do Panteonu.

Wielki gmach! z przodu jakoby świątynia grecka z czasów pogańskich wspaniałej architektury; z tyłu wielka kopuła jak w kościołach. Na froncie dumny napis:

»Aux grands hommes
la France reconnaissante«

jakby dowodził, że nie Bogu, ale ludziom Francya ocalenie swoje wdzięczna. Jednakże cała budowa, w kształcie krzyża wystawiona, świadczy, że jej przeznaczenie było kiedyś świetne. Miliony wydano na jej odnowienie, na przyozdobienie jej w posągi i malowidła, a dotąd niewiadomo na jaki cel, na jaką cześć, co robić z tymi wielkimi ludźmi, dla których dumna Francya dedykowała ów pomnik.

Wielka to jednak pokusa dla człowieka, chociażby najpokorniejszego ducha, widzieć wielkich ludzi i przybytek ich po śmierci. Ta pokusa obudziła w nas ciekawość obaczyć, jacy są to wielcy ludzie, których Francya osądziła być pierwszymi czy godniejszymi do przemienienia tego gmachu, poświęconego Bogu, na świątynię dla ludzi.

Wchodzimy; cały gmach pusty, głuchy; pobielane ściany, świeże jakieś malowidło w górze; echo rozlega się jak w pustej stodole. Na czterech tylko rogach pod kopułą widać było tablice z napisami i imionami wielkich ludzi. Czytamy je i nie rozumiemy: o żadnym z nich nigdy nie słyszałem; pytam się u przewodnika, choć nieuczonego, o tych bohaterów, a on mi

---

[1]) W autografie: Bomontów. (Przyp. wyd.).

dał do poznania, że były to imiona »des combattants de juillet! de la glorieuse!«

Obszedłem wszystkie kąty i cały obszar budynku, nie spotkawszy w nim nic wielkości w słowie, ni wizerunku.

»Gdzież są wasi wielcy ludzie?«, zapytał Adam. »Tu pod ziemią«, rzekł Francuz, »dans les caves« i stuknął kijem a echo odpowiedziało. »Pokażę ich wam, ale nie mam czasu« i ruszył dłonią, dając do poznania, że czas jest jego majątkiem. »Z ochotą, z ochotą«, odpowiedzieliśmy.

Zeszliśmy tedy do podziemnego sklepu. Z małą latarką poprzedzał nas szwajcar, a dreszcz przechodził po nas od zimna. Zatrzymaliśmy się przy pierwszych grobowcach, które przewodnik nam pokazał; czytaliśmy napisy; napróżno poprawiał on i przybliżał do złotych liter latarkę, ani jednego ze znajomych nam historycznych imion nie wyczytaliśmy. Były tam zwłoki senatorów i innych panów z ostatnich czasów restauracyi. Nudziły nas tytuły i honory, które z przesadą nasz Francuz powtarzał. »Patience Messieurs, patience!«, rzecze i prowadzi nas do sąsiedniego miejsca, gdzie była trumna marszałka Lannes'a [1]), nieco dalej do osobnej a ciemnej izby, gdzie leży Wolter, przedniejszy dziś mieszkaniec tego Panteonu. Duża drewniana trumna, nieco nadpleśniała, z formy raczej do skrzyni jakiej, niż do zwyczajnych trumn podobna; owóż cała wielkość Rozumu! Tuż blisko, ale za grubą przegrodą jakby przez ostrożność, żeby spokojniej spoczywali, leży Rousseau w nielepszej, ani ozdobniejszej skrzyni. Napisy na nich poczerniałe, zatarte i nie bez przyczyny znaku krzyża na nich nie widać, na czemby nie zbywało najuboższemu i najprostszemu z kmieci naszej (sic).

Niedługo nam pozwolił dumać i namyślać się gadatliwy, a pełen pretensyi do dowcipu Francuz. »Allons, allons, je veux vous montrer une chose, qui va vous surprendre!«. Poszedł w kąt, gdzie zapada sklepienie, a nas w drugim kącie postawił i począł hukać, a natychmiast całe to podziemne mieszkanie poczęło rozlegać się tak wyraźnem i dobitnem echem, że takiego echa tylko na pustyni i w tej pustej świątyni wielkich ludzi posłyszysz.

---

[1]) Marszałek Lannes (w autografie: Lan) poległ w bitwie pod Aspern 1809 r. (Przyp. wyd.).

»I już po wszystkiem? niemasz czego widzieć?« »C'est tout, c'est fini, plus des grands hommes«, odpowiedział przewodnik i chciał przekładać, dowodzić, jak trudno jest być przyjętym do tego Panteonu, że nawet najwięksi ludzie z tych czasów nie ośmielają się rościć pretensyi do tego zaszczytu. Nie daliśmy mu dokończyć, bo nas zimno wielce dojmowało, a ciemno nudziło, i czemprędzej wyszedłszy na światło, poczęliśmy szczeblować po schodach na galeryę, która się nad kopułą wznosi. Z niej po pierwszy raz obejrzeliśmy cały Paryż dokoła i rzuciliśmy okiem na jego okolice. Na odejściu raz jeszcze obeszliśmy próżną i pustą tę świątynię wielkości, a raczej szaleństwa i próżności ludzkiej. Wolter i Rousseau, zająwszy w niej pierwsze miejsce, odstraszyli od niej czujących się być ludźmi, a może już i wszystkich; czas we Francyi przeszedł na wielkich ludzi, skoro im kościół zbudowano. Dosyć, że dotąd niewiadomo, na jaki cel przeznaczony jest ten budynek jaka jego przyszłość; czy będzie poświęcony Bogu czy szatanom, wierze czy próżności ludzkiej.

W miesiąc potem przeniosłem się na ulicę Monsieur le Prince; Adam sobie najął osobne mieszkanie i wkrótce straciłem zupełnie ochotę opisywać Paryż; poszedłem chodzić na kursa Sorbony, do Collêge de France, a notowałem tylko szczególniejsze zdarzenia.

Przypadła uroczystość w akademii francuskiej z okazyi przyjęcia do niej p. Dupin starszego, zawołanego adwokata, sofisty, doktrynera, który na grobie matki swojej kazał napisać: »Ci gît la mère des trois Dupins«. Rzecz tedy naturalna, że chęć mnie wzięła widzieć zebranie wszystkich sław literackich i naukowych francuskich, które swoją wielkością napełniają cały świat wyższej oświaty.

Wszedłem na wysoką galeryę, z której mogłem obejrzeć całą świetność akademii, a wszedłem z całym urokiem moich lat uniwersyteckich, z uszanowaniem dla uczonych, z których ni jednego jeszcze w życiu nie widziałem był od dzieciństwa.

Ze wzruszeniem tedy patrzyłem, jak wchodzili Gay Lussac, Arago, Biot, Poisson, Geoffroy St. Hilaire, Ampère; ilekroć razy pokazano mi którego z tych kolosów, jakoby iskra elektry-

czna przebiegała przez żyły moje. Wlepiałem wzrok w ich twarze, w ich oczy, w ich poruszenia i figury.

Przyznam się jednak, że pomimo całego uroku sławy, jaka ich poprzedzała, dalecy byli od sprawienia na mnie tak silnego wrażenia, jakiego w młodości mojej doznałem na widok senatu akademickiego w Wilnie, na którym zasiadali uczeni nasi, choć żaden z nowych odkryć i wynalazków nie był znany, nas Śniadeccy, Niemczewski, Bojanus, przybrani w pąsowe togi aksamitne, złotem haftowane mucety i w birety. Z jakąż cichością i uszanowaniem patrzyła na nich publiczność, młodzież, nawet dzieci!

Możeż co być niestosowniejszego do charakteru akademików francuskich, jak ich ubiór kusy, oficerski; mundury zielonym jedwabiem haftowane, kapelusze policyanckie, krzyżyki i szpadki etc. Dziwna to mania naszego wieku wszystko na żołnierski kopyt(!) szyć: wszystko pod militarną barwą ukrywać. Trzeba było w istocie wielkiej, o dużych i wydatnych rysach twarzy p. Arago, rozumnej i dziwnie poważnej pana Biot, żeby ta niestosowność nie była śmieszną i uderzającą; Gay Lussac w swoim mundurze już wyglądał na człowieka bardzo pospolitego; Thenard na jakiegoś kamerhera, a skrzywiony, złego humoru Ampère śmieszność obudzał.

Rozczarowany jednak bardziej byłem, kiedy pp. Jouy[1]) i Viennet zasiedli prezydenckie krzesła i zwrócili oczy ku panu Dupin, głównemu przedmiotowi uroczystości. Jouy, od dawnego czasu zapomniany prawie, dziś nieznany na literackim świecie; Viennet, mizerny poeta, wystawiany pospolicie w karykaturach z oślemi uszami (z okazyi jakiejś jego miernej bajki o mułach) a najmierniejszy z wejrzenia suchej, zimnej, niepociesznej twarzy był Dupin. Ci trzej zwracali na siebie główną uwagę publiczności akademii, a skoro p. Jouy wyrzekł Monsieur! powstały śmiechy i przygryzki na galeryach: młodzież powtarzała po cichu »monsieur, monsieur« etc.

Sprawiały mianowicie śmieszność niektóre ustępy z perory pana Jouy, które oklaskami były przyjęte na dole, a drwinkami po galeryach, zwłaszcza kiedy pan Jouy w napuszonych słowach

---

[1]) Jouy (w autografie Joui) literat francuski w swoim czasie bardzo głośny, od r. 1815 członek akademii francuskiej. (Przyp. wyd.).

wysilał się na pochlebstwa dla Dupina i króla, i zacytował, że nowy akademik napisał był dla młodych książąt prawidła improwizacyi, z których, powiadał, »książę Orleanu szczęśliwie korzystał w ostatniej swojej podróży po Francyi«.

Poważniejszą daleko i mniej próżną była replika p. Dupin, mająca na celu żywot i zawód uczony Cuviera, na którego miejsce był wybranym. P. Dupin, jak wiadomo, nie był naturalistą, badaczem natury, tylko dworakiem i rzecznikiem, i nędznie wyglądały w tej pochwale Cuviera pochlebstwa dla króla i rodziny królewskiej, jakich nie szczędził ten badacz, procureur du roi, a które oburzały liberalną publiczność na górze, i do sykania, ledwo nie do gwizdania, przyszło.

Jednego dnia poszedłem na przedmieście św. Antoniego aż do baryery. Wielce się zawiedzie, kto z nabitą głową rewolucyjnym szałem pójdzie dziś do tego steku gminnych instynktów i namiętności szukać dziś żywiołu do przyszłej rewolucyi; z powierzchowności przynajmniej na pierwsze wejrzenie rzekłbyś, że tu lud, jak mleko. Tam, gdzie była Bastylia, cicho, spokojnie, jeszcze nierówno ziemia zasypana; po środku stoi ogromny słoń, jak straszydło jakie; niewiadomo na jaki cel i co ono ma wspólnego z Bastylią. Powiadał mi jakiś próżniak, co zagapiony patrzył na owego źwierza, że miał on z trąby wyrzucać wodę na miasto i tworzyć olbrzymią fontannę; »c'est énorme, c'est magnifique«, powtarzał. Trąba jednak była sucha; dokoła brudy, płoty jakieś i rusztowania. Filip Orleański zamyśla już na tem miejscu zbudować wielki pomnik dla swoje) rewolucyi, która go królem zrobiła. Któż wie, czy na długo?

Miło spojrzeć, jak ten lud, co za lada cacką liberalną (!j poburza się i szaleje i gotów tańczyć karmaniolę po trupach, pracuje tu spokojnie w dzień powszedni, kiedy ma co zarobić i pracuje z inteligencyą, nie jak prosty parobek. Ogromne magazyny towarów i wielkie warsztaty napełniają dziś całą tę ulicę, sławną z rewolucyjnych wstrząśnień, jako też ulicę św. Antoniego, przedmieścia i bulwary św. Marcina i ciasne kręte uliczki, które się do nich schodzą. Lud w ogólności zgrabnej postawy, zwinny, nieźle ubrany; nie widać żebraków; gdzieniegdzie czerwona frygijska czapka: błękitna bluza przebija

w ruchawem pospólstwie, a nad wieczór wśród krzykaczy usłyszysz strofy Marseillaisy: »ça ira! ça ira!«.

Nie radzę jednak nikomu wejść do domów na piąte, czy szóste piętro, na poddasza, mansardy. Tam swąd, duma i nędza, brud i zepsucie panują; kobiety mianowicie i dzieci godne są politowania. Wszędzie znajdziesz szynki, kawiarnie, czytelnie gazet odymione; poczerniałe izby, w głębi których wyzierają oczy głodnych, bez zarobku, rzemieślników.

Utworzone już były w tym czasie publiczne lekcye historyi rewolucyi francuskiej, na których starano się odżywić pamiątkę tryumfów gminu i jego okrutnego panowania. Nowe towarzystwo des Droits de l'homme ogłosiło sławne listy do proletaryuszów, w których wmawiano w pospólstwo, że czas przyszedł wybić się z despotyzmu bogatych: »ich bogactwo i co mają, do was należy; wy jesteście lud silny, wszechwładny, dosyć jest chcieć, żeby wziąść: i....[1]) vive la Republique!«.

Ale któż zdoła zajrzeć do dna tego społeczeństwa, tego na pozór spokojnego i wesołego ludu; jest to strumień, który dopóki w swoim korycie sączy się powoli, czysty jest, łagodny, lecz gdy go co zamąci, lub wstrzyma zaporą, wre, pieni się, bieży po rozpadlinach, obrywa brzegi i niszczy spokojne siedziby.

Jest jednak czem się zabawić, kiedy nie wchodząc w przeszłość, ni przyszłość, zatrzymamy się na ulicy, jak przed obrazem jakim malowanym. Co za ruch, co za rozmaitość scen; jakaż gra dowcipów i słabości ludzkich, charakterów i ich namiętności, egoizmu, ciekawości, roztargnienia i pustych żartów; a razem przemysłu i pracowitości.

Wśród owego mrowiska i nieustannego przesuwania się figur w dwóch przeciwnych kierunkach zatrzymuje się jeden, dwóch, trzech; patrzą ciekawie w jedną stronę na dach, czy na wieżę jaką, z ciekawością, nie wiedzieć dla czego; kupi się do nich gawiedź, przybliża się żandarm, policyant; powoli pytają jeden drugiego, co za przyczyna, co za przedmiot ciekawości? Bywa, że lada bagatela lub nic nowego nie zatrzymało było pierwszych, za pozwoleniem czytelnika, gawronów; poczynają się żarty, przycinki, filuterye i rozchodzą się.

Lada kupiec, fabrykant, przekupnik wystawia w oknie

---

[1]) W autografie w tem miejscu nieczytelny wyraz. (Przyp. wyd.).

rysunki, karykatury, żeby choć na moment zwabić, zatrzymać choć trzech na sto przechodzących, a nuż z nich jeden nie pokusi się na kupienie jakiej choć niepotrzebnej rzeczy. Zdarzyło się, że przechodząc obaczyłem na Pont Royal jakiegoś czarnoksiężnika, który miał przy sobie na słońcu napuszoną sowę, a przy niej żywego węża, którego wykręcał w ręku i gadał do nich, jak gdyby w nich badał coś ważnego: zatrzymują się przy nim ciekawsi, przypatrują się nietylko z gminu ludzie, ale też eleganci, literaci, ustrojone panie; bo jakże nie wiedzieć, co to znaczy. Gdy się zebrało dosyć gawiedzi, obraca się do niej ów kuglarz i peroruje o tajemnicach natury, o obowiązkach dzieci ku rodzicom etc.; kiedy coraz bardziej zaostrza ciekawość, czuję, że ktoś z tyłu czy z boku czyści i szczotką szoruje surdut mój, naciera go mydłem i wodą, widzę, że w tym momencie były już wyjęte plamy, a ktoś z tyłu ofiaruje mi do kupienia mydło, balsam, maście do wyjmowania plam; spostrzegam, że cała ta komedya ma na celu zatrzymać choć na chwilę falę pospólstwa i przedawać mydło; któż w istocie odchodząc nie zaśmieje się i nie kupi z ochotą za dziesięć sous rzeczy użytecznej.

Tam opodal spostrzegasz stojącego na eleganckim kabryolu wysokim i błyszczącym, jakiegoś niby generała z rozczochranymi, ogromnymi włosami, machającego rękami, jakby zachęcał do buntu. Dwóch czerwonych huzarów stoi przy nim, jeden bębni, drugi trąbi, a dwaj na dole przygrywają na skrzypcach; ciśnie się lud, obstępują pojazd i ledwo się zgromadziła ciżba tak, że trudno było przystąpić do wozu, ucichła muzyka, a górujący nad wszystkimi herszt poczyna dość wymownie opowiadać batalie, wyprawy Napoleona i jednym razem ucichłszy, pozwala sobie targać za czuprynę, dla pokazania, że odkrył, wynalazł sekret nieoszacowany dla ludzkości, dla postępu — pogromcę starości, zbawiciela głowy; a w końcu wyjmuje na przedaż maść do zachowania włosów jako najskuteczniejszą dla młodych i dla starych, zaręczając, że odtąd nie będzie łysych na świecie. Poznają, że to kupiec, co przedaje maście na włosy: jedni się śmieją, nie wierzą, a drudzy kupują.

Nie wolno tu żebrać [1]): za to mnóstwo artystów po tych

---

[1]) W autografie: »żebrować«.

ulicach i bulwarach stara się bawić przechodzących pod rozmaitymi pretekstami, aby wyłudzić jałmużnę nie w imię miłości chrześcijańskiej, ale zręcznością lub natrętnością. Tu starzec jakiś, zapewne ślepy, piszczy na klarynecie, a prowadzi go uwiązany na sznurku pudel; dalej nieco dzwonią, skaczą i gwiżdżą na turlecikach małe chłopcy, zapewne sieroty; wywracają kulki, przedrzeźniają uboższych, a biedna kobieta stara, ich towarzyszka, zbiera dla nich jałmużnę i choć kto nie da, to dziękuje.

Po szerokiem przedmieściu św. Antoniego, po obu stronach ulicy, cisnęła się gawiedź i przeciągała jak dwa prądy za dwiema podstarzałemi krzykaczkami. Jednym trotuarem szła baba z gazetami, wołając: »le bon sens, le bon sens, à un sous!«; krzykliwa, jakiej ani na jarmarkach i targach naszych nie usłyszysz, przedawała dziennik umiarkowany filipowski, konstytucyjny niby; z przeciwnego chodnika podbiegała do niej i starała się ją przekrzyczeć kulawa, ale barczysta przekupka, czerwona, jaskrawych oczu, w ogromnym czepku, a przedawała Pilori, dziennik republikański. Na pierwszym numerze tego dziennika był p. Pasquier, prezes parów pod rusztowaniem. Trudno było zdecydować, która z dwóch głośniej i przeraźliwiej wrzeszczała; kupowano u jednej i u drugiej; ale po chwili przyszło do przegryzków między niemi. Chłopcy ich podżegali, szczuli, jedna harangowała w imię porządku i postępu, druga w imię wolności i praw ludu, Zatrzymuje się zgraja, kupi się lud: już przychodziło do czubów, kiedy się pokazali żandarmi.

Ale któż opisze to wszystko, co przybywającemu do Paryza w pierwszych dniach jego przechadzek po ulicach wpadnie w oko. Nie byłożby to stratą czasu pisać o tem i nizać w jeden sznurek szczegóły, które chociażby najliczniejsze i najtrafniej schwycone nie dadzą nic nowego do odkrycia, do pokazania, prócz obrazu człowieka, który choć we wszystkich częściach świata jest ten sam, tu zdaje się być wolniejszym do wynurzenia, kim jest we wszystkich swoich słabościach i głupotach.

Są niektóre charakterystyczne rysy, które na ulicach paryskich malują Francuza, a temi są: żywość i lekkość, chociaż w pracowitości, inteligencyi i przemyśle nie ustępują Niemcom, ni Anglikom. Wielka też napozór ukazuje się w nich niepod-

ległość charakteru; każdy zdaje się jakby o nikogo nie dbał, a tylko o sobie myślał; pomimo to porządek i uległość panują, jeżeli i dopóki kto nad ludem panować umie i ma siłę. Płochość też wrodzoną być się zdaje; ledwo błyskotka, koncept, brzękanie, huk, to się unoszą, zachwycają; »c'est beau, c'est charmant, c'est magnifique!« choć na krotko, na chwilę, póki coś wyższego ich nie zajmie. Porównywając ich z Niemcami, ci zdają się być stworzeni do namyślania się, lud zaś francuski, paryski, do ruchu, do praktycznej próby. Wrażliwsi są od Niemców na wszystko, co piękne, szlachetne; zapalają się, choć przemijająco i wracają do swego; długo na nich gniewać się nie można, choć obrażą, a łatwiej przyjść do porozumienia się niż z Niemcem; zarówno skorzy do tańca jak do bagnetu, nie lękają się wojny, a lubią zabawy, fajerwerki, sztuki konne, ewolucye żołnierskie, teatra. Sam król stara się dziś bawić lud swój, żeby go odwieść od poburzeń. Dodać też winienem, że bojaźń śmieszności powstrzymuje ich częstokroć w karbach roztropności surowiej, niż innego szczepu ludzi. Śmieszność dla nich w sprzeczności jest ze zdrowym rozsądkiem i dobrym gustem, a gust i »le bon sens« wielką władzę mają nad Paryżanami, niezależnie od uczciwości; sława, honor, dobre imię wywierają despotyczną siłę na pospólstwo i gmin tutejszy; nie widać tu pijanych, częstych zwad, bitew, ani też uścisków na ulicy. Jednym konceptem, co mówię, spojrzeniem nieco szyderczem od przechodzących wytrzeźwia się podchmielony sankiulota i tłoczy(sic) po cichu do domu lub spokojnie daje się wieść do kozy. Daleki jednak jestem od sądzenia o Francuzach z pierwszych powierzchownych objawów, jakie wpadały mi w oko.

Od pierwszych dni mojego przybycia do Paryża czułem potrzebę uczenia się ich charakteru pod względem religijnych i socyalnych dążeń. Stąd przedewszystkiem zwróciły moją uwagę kościoły paryskie.

Tu zaraz od pierwszej niedzieli pobytu mego w stolicy począłem spostrzegać się, że nader mylne były wyobrażenia moje, powzięte z uniwersyteckich moich czasów, o Paryżu i że brałem świat pisany za świat rzeczywisty, pstre malowidła, w jakich prędzej od innych po świecie rozbiegające się książki

i gazety francuskie przedstawiają zdaleka naród tak gadatliwy, jak Francya, — za istotę jego duszy i charakteru.

Pierwsze wrażenie, jakie sprawia na Polakach kościół paryski, nie jest przyjemne. Nazwyczajonych do naszych ławek, do uszykowania się tam ludzi według stanu i klas, a odosobnienia uboższego ludu; do śpiewania pieśni naszych w narodowym języku po parafialnych kościołach, do spokojniejszego, a mniej wystawnego obrządku i do naszych suplikacyi niedzielnych i księży naszych pospolicie mających więcej prostoty w obejściu się, niedbałych o powierzchowność, uderza nas ów zwyczaj francuski kupowania krzeseł, szwędania się po kościele kobiet wybierających sous, już to za jedno, już za dwa krzesła od każdego i to według uroczystości; uderza nas nadęty, wyprostowany szwajcar przechadzający się po kościele z laską, ubrany światowo; uderza często powtarzana kwesta, którą wśród mszy, w obawie, żeby się nie rozeszła publiczność, wybiera wystrojona pani w towarzystwie jakiego kawalera; wydaje się też nam z początku za nadto ceremonialnym, jakby teatralnym obrządek na większych uroczystościach, sztuczne wyrzucanie w górę kadzielnicą, śpiew gregoryański, do którego nie jesteśmy nazwyczajeni, dęte instrumenta, do których trzeba nawyknąć, jakoteż giesta i rzucania się na kazalnicy zbyteczne niektórych kaznodziejów.

Ale to wszystko z pozoru, na pierwsze wejrzenie jakoby niestosowne, daje się prędko wytłumaczyć, okazuje się poważnem i tak się prędko nawyka, że trzeciej czy czwartej niedzieli już ciągnie do tego kościoła serce polskiego katolika, jak do ojczystego i w nim się rozkoszuje, jak gdyby żyło w Polsce.

Co tu jest dobrego, lepiej niż u nas, to, że kto tu chodzi do kościoła, to nie z ciekawości, z nałogu, przymusu czy hipokryzyi, tylko z wewnętrznego pociągu. Nie widać tu paniczów, ani pań elegancko ubranych, idących do kościoła, by świecić strojami i w pierwszej ławce zasiąść; ni lokajów niosących za niemi książki do nabożeństwa. Nie widać ubogiego chłopstwa, grubej siermięgi.

Odarty z dawnych bogactw i stałych dochodów, kościół utrzymuje się dziś z dobrowolnych, osobistych ofiar, nie zaś ze stałej renty i z podatku; nie wystarcza na to szczupły budżet wotowany przez izby. Stąd też może większej usilności

i nieustannej pracy dokładają proboszcze, żeby ich nie opuścili parafianie. Nie uniewinniam zarządów, które zagrabiły własność kościelną i ukróciły niepodległość księdza, bo ten uczynek nowego cezaryzmu jest niegodziwy i raczej za karę na poprawienie złego, niż na usprawiedliwienie tegoczesnych rządów Bóg dopuścił.

Sądząc bez uprzedzenia o duchowieństwie i kościele we Francyi, przyznać muszę, że tu powaga, porządek i świetność obrządków kościelnych służyć powinny do przykładu dla naszego duchowieństwa; kościół we Francyi wyrzekł się już dziś wolności gallikańskich i przyjął rytuał rzymski, a w pognębieniu, w jakiem zostaje od liberalnych, bezwyznaniowych rządów, ksiądz paryski musi dziś mieć na pieczy bardziej, niż kiedykolwiek dobro ludu i oświeceńszej klasy; oprócz duchownej gorliwości i kościelnych nauk, musi posiadać światową naukę, być uczonym, wymownym, literatem nawet i używać światowej nawet broni do rozbrojenia przeciwników. Na to wielkie są tu szkoły duchowne; seminaryum św. Sulpicyusza wydało znamienitych kaznodziei, którzy się stali chlubą i ozdobą katolicyzmu. Obrządek święty w kościele św. Sulpicyusza jest w istocie porywający dla tych nawet, co tylko ze zwyczaju i nałogu przyjdą na nabożeństwo.

Zwróćmy tylko uwagę na nacisk ludu, który napełnia kościoły paryskie w dni świąteczne od 5-tej zrana, wieczorami, nocą, do późnej godziny; na uroczystości familijne, ponawiające się przy pierwszej komunii dzieci; na pobożność przy grobie św. Genowefy, na spowiedzi i posty, których nie zaniedbuje w Paryżu żaden dobry katolik, a przekonamy się, ile to mieliby do nauczenia się nasi liberaliści, którym się zdaje, że wszyscy Francuzi są, jak nasze modne guwernery czy guwernantki, co przyjeżdżają z Paryża, autorowie romansów, gazeciarze i studenci!

Pierwej jednak nim czas i przedłużony mój pobyt we Francyi pozwolą mi zgłębić pod tym względem stan Francyi i jej stolicy, postanowiłem rzucić okiem na nowatorów paryskich, na reformatorów, którzy tu, jak wszędzie, nie wszyscy są bezsumienni, nie wszyscy zupełnie nieświadomi prawa i nauki kościoła; niejeden z nich szuka prawdy, choć na zmylonej drodze i nie w pokorze, nie usilnie, i skoro mu się uda

uchwycić dorywczo za jaką cząsteczkę, za ułamek prawdy, sądzi, że już ją w zupełności posiada, powstaje na to, czego nie zna i nie rozumie, staje się przeciwnikiem surowym, nieprzyjacielem tych, co nie odstąpili od wiary lub jej z duszy szukają.

Był na ten czas sławny z nowości swojej na przedmieściu św. Marcina tak nazwany kościół francuski, który to kościół ludzie postępu mieli zamiar urządzić według nowego planu reformatorów rewolucyi lipcowej. Czas zdawał się być wybornym do tego; król i nowe izby pozwalali nie bez przyczyny na próbowanie reform.

Poszedłem tedy w niedzielę po mszy do tego francuskiego kościoła na przedmieście św. Marcina o 10-tej rano i nie łatwo bym go znalazł, gdyby nie afisze na ulicy, zapowiadające wielki fest tego dnia w owym kościele. W istocie niemało ludzi szło do jednego domu, na którym zamiast krzyża i wieżyc był poprostu napis: »tu kościół francuski«. Na dziedzińcu tego domu była duża na prędce zbudowana jakoby szopa, a u wejścia do niej mnóstwo afiszów, doniesienia księgarskie, programy muzyk kościelnych obrzędów, mszy, kazań nowych i katechizmów; były i plakaty oznajmujące »professions de foi, sermons contre les anathèmes« etc. Na dużym arkuszu na drzwiach były wypisane następujące powody, skłaniające założyciela tego kościoła, p. Chatel, do reformy[1]), jako to: bezinteresowność, miłość bliźniego i wszystkie łaski kościelne tanie, za darmo; »église à bon marché«; msza po francusku etc. Krzykacze uliczni podchodzili aż do drzwi, przedając pamfleta liberalne, pomady, allumettes.

Wewnątrz, ściany pobielane, cała szopa krzesłami zastawiona, ołtarz jak w formie zwyczajnych ołtarzów, nowo pomalowany, ze świecami; po prawej stronie fortepian, po lewej

---

[1]) Chatel (l'abbé, Ferdinand-Toussaint-François) 1795—1857. Po rewolucyi lipcowej założył »Eglise catholique française« albo »Eglise unitaire française«, znosił celibat księży, spowiedź, mszę łacińską, a naukę swoją streszczał w słowach: »La loi naturelle, toute la loi naturelle, rien que la loi naturelle«. Porozumiawszy się z wolnomularzami, kazał się wyświęcić na prymasa Gallii. Chatel należał do tych, co widzieli w Napoleonie Messyasza dziewietnastego wieku. Kościół jego zamknęła policya w r. 1842. (Przyp. wyd.).

ambona i jakieś wyniesienie dla kogoś starszego. Była jednak sala na trzy przedziały przegrodzona; u wejścia dla biedniejszych krzesła tańsze; w połowie budynku dla klasy średniej, a dalej przy ołtarzu i ambonie places reservées, gdzie siedziało wiele wystrojonych dam, które jak w salonie rozmawiały między sobą. Grzeczna jakaś kobieta zaprosiła mnie, abym tuż obok niej na pierwszem miejscu usiadł. Po chwili ukazali się śpiewacy i zapalono świece; potem weszło dwóch posługaczy w komżach i sam l'abbé Chatel, głowa tego republikańskiego kościoła. Był ubrany, jak biskup, w fioletowej sukni z peleryną zgrabnie wykrojoną, karmazynową materyą podszytą, w eleganckich trzewikach, z głową pięknie utrefioną i podniesionemi do góry oczami. Wyszedł nakoniec ksiądz w ornacie ze mszą, śpiewacy poczęli śpiewać ułamki z oper włoskich i francuskich; chłopcy posługujący nie klęczeli, ale siedzieli przy ołtarzu; nikt nie miał książki w ręku, a kiedy ksiądz zaintonował »gloria!« po francusku, poczęły damy i mężczyźni szeptać między sobą: »ah! que c'est beau! c'est charmant — à la bonheur on comprend, ce que dit le prêtre, c'est en français«. Pomimo tego, że ksiądz czytał bardzo dobitnie mszę i czytał po francusku, żeby wszyscy rozumieli, imość, co siedziała przy mnie, nie była kontenta i rzekła do siedzącego obok Francuza: »que le... m' emporte si j'y comprends un mot«. »Ayez patience, ayez patience«, odpowiedział Francuz, który nadstawiał ucha i zdawał się być »au courant de la messe«.

Ledwo przyszło do »Sanctus«, grzeczna kobieta, która mię była zaprosiła na wyższe miejsca, przyszła wybierać zapłatę za krzesła; od nas wymagała trzy sous od osoby, od tych co siedzieli za nami 2 sous, a od siedzących przy drzwiach po jednym sous. Po mszy wyszedł młody kaznodzieja i przeżegnał go ze swojego miejsca l'abbé Chatel. Kazanie było niedługie przeciw klątwom, a jednak skończyło się na miotaniu przekleństw na katolickich księży i całą hierarchię kościelną. Gdy skończył i zstąpił z ambony, wszedł na nią sam biskup, który się mianował metropolitą, p. Chatel, z dziwnie teatralną figurą; w prawej ręce miał »Constitutionnela«, w lewej »Messagera«. Pięknie się ukłonił, podniósł oczy do góry, znowu spuścił i patetycznym, wymownym głosem mniej więcej w te słowa przemówił: »Bracia moi — rzekł — potrzeba, abyśmy się le-

piej z sobą poznali; potrzeba, ażebyście z gruntu poznali waszego pasterza i dlatego przynoszę wam numer wczorajszego »Messagera«, w którym jest biografia moja«; i począł czytać artykuł: Mr. l'abbê Chatel urodził się za czasów restauracyi, był tym a tym, cierpiał prześladowania, wziął czynny udział w lipcowej rewolucyi, a teraz nowy kościół założył, wolny od wszelkich nadużyć i błędów, kościół »primitif«. Po przeczytaniu artykułu dodał, że przedniejsi dziennikarze paryscy oświadczyli mu, iż czwartą część kolumn mają na jego rozkazy i niemi do woli rozrządzać może. Potem przeszedł do poważniejszej materyi, rozwodząc się nad potrzebą religii i miłości bliźniego, a postrzegłszy między publicznością kilku Polaków, zwrócił mowę ku nam, dając nas za przykład, »cette héroique Pologne!« co dokazali cudów waleczności i nie upadają na sercu dlatego, że mają religię w poszanowaniu i nikt u nich nie jest bez religii. Ten ostatni ustęp i zręczne do niego przejście podobały się publiczności i przyszłoby zapewne do oklasków, gdyby natychmiast, bez oddechu, nie począł czytać ślubów i zapowiedzi. Długa była lista małżeństw z wymienieniem profesyi państwa młodych; byli to szyfonierzy, ouvriery, szewcy, femmes de chambres, garçons de boutiques, kilku literatów i prostych citoyens.

Pytałem u mojej sąsiadki, która z rozmowy, jaką miała z siedzącym za nią studentem, zakrawała na literatkę i autorkę romansów, co za przyczyna, że tu więcej ślubów, niż w jakim nie bądź parafialnym kościele. »Que voulez vous, tu śluby bardzo tanie i l'abbé Chatel nie wymaga żadnych formalności ni dyspens, rzeczy tak nudnych, że biedny lud nie może im się poddać«. »Du reste, dodała, jest to interes dobrze zrozumiany, albowiem o ile ks. Chatel stracił na zniżeniu ceny za śluby, to we dwoje zyskał na liczbie małżeństw, i wiele małżeństw, które dotąd bez ślubów żyły a cierpiały skrupuły niepotrzebne, to teraz nie mają czego lękać się. Ksiądz Chatel żeni wszystkich«. »Jeżeli to nie pomoże«, przerwał młody Francuz za krzesłem, »to nie zaszkodzi« dodała literatka: »car avant tout le bon sens et la religion«.

Powiodło się tak dobrze w interesach panu Chatel, że we trzy miesiące już miał o czem założyć kościół na ulicy St. Honoré. Ale na ten raz antrepryza wzięła charakter bardziej

przemysłowy: utworzyła się kompania »par action«: urządzono mszy i święta stosownie do gustu i upodobania osób, które na nie uczęszczały; naprzykład uroczystość na cześć Moliera; i podwyższano i zniżano cenę krzeseł stosownie do okoliczności i ceny akcyi. Jednego dnia, będąc(!) u pewnej damy francuskiej, wszedł też do niej z wizytą jakiś Francuz podstarzały, grzeczny, ale nieco ponury. Dama zapytała go: »Comment vont les affaires«. »Mal — très mal, les actions baissent« i bardzo się zasmuciła imość. Dowiedziałem się potem, że straciła znaczną część funduszu swego na tej antrepryzie, która według niej miała cel filantropiczny: »Mettre en rapport la religion avec l'industrie, réconciliation des intêrets matériels et religieux etc.«.

Krótszy był byt kościoła konstytucyjnego tuż przy Sorbonie, na placu Sorbońskim, pod opieką księdza Roch [1]), który, jak powiadano chciał »réconcilier la religion avec la politique«. Pierwszej i drugiej niedzieli była msza po francusku, kazanie liberalne, chóry z wodewilu. Trzeciej niedzieli dano brawo na »Dominus vobiscum« i hura! na »Agnus dei«; przy kazaniu weszli niektórzy parafianie w rozprawę z kaznodzieją i na mocy »de la liberté de discussion« przekrzyczeli księdza; czwartej czy piątej niedzieli poczęto rzucać jabłkami, kartoflami, weszła policya i rozpędziła kościół.

Tegoż samego dnia, com widział obrządek kościelny dra Chatel, poszedłem wieczorem na wodewil dla widzenia sławnej natenczas sztuki: »Auberge des Adrets«, danej na korzyść biednego »Korsarza«, dziennika świeżo skazanego na kilka tysięcy franków za potwarze i grubijańskie koncepta.

Kto nigdy nie widział wodewilu w Paryżu, nie zrozumie dobrze Paryżanów, ni Francuzów.

Nacisk był wielki. Co też za męka Polakowi czekać »à la queue« z godzinę przynajmniej, żeby wejść na parter za ogonem jakichś ouvrierów, szwaczek, studentów etc. Gdyby to było

---

[1]) Wielka Encyklopedya francuska nie zna księdza Roch, a zna tylko Achillesa Roche, liberalno-rewolucyjnego pisarza i redaktora francuskiego 1801—1834. O tem, żeby był księdzem, nic nie mówi. (Przyp. wyd.).

w kraju, a za młodu, to możebym odepchnął niejednego sankiulota, kucharkę, brukarza. Ale tu czekamy cierpliwie ujęci między dwie ciasne kratki, które oddzielają jednych od drugich tak że gdyby nawet przyszło do czubów, to tylko z najbliższym sąsiadem możnaby bić się, bez udziału w tem drugich. Ale też co za przyczyna niecierpliwić się i nudzić się; jedni tymczasem czytają »Trybunę«, drudzy romanse, inni w politycznych i socyalnych dyskusyach powstają na króla, na izby, sieją propagandę.

A cóż gdy się otworzy biuro! tu już więcej wolności; wchodzą, wbiegają, depcą po nogach, przez głowy, pardon monsieur, pardon citoyen. Siedzieli w lożach Lafitte, Marrast[1]), Cavaignac etc. Zaledwo podjęto kurtynę, hałas; wołaią: »Marseillaise, Marseillaise!«. Muzyka ociąga się, publiczność nalega; wyszturchano policyantów, a nie doczekawszy się orkiestry, cała publiczność poczęła hurmem śpiewać marseillaisę, że uszy bolały.

Było to echo wielkiej rewolucyi, przytłumionej, przyduszonej tryumfami Napoleona, błyskotkami sławy. zaborami; ale ta pieśń grała mi w duszy od dzieciństwa. Z najrańszych lat guwerner mój, Francuz, republikanin, przyśpiewywał mi »allons enfants de la patrie« z takim ogniem, że teraz, gdy pierwszy raz to słyszę w Paryżu, mimowolnie śpiewać zacząłem i zdało mi się, że widziałem legiony w marszu spiesznym, porywające za sobą ludzkość całą. A gdy przyszło do »liberté, liberté chérie!« to już szaleństwu miary nie było.

Na nieszczęście była ta »liberté« na wodewilu. Po chwili wszyscy się uciszyli i poczęła się komedya, farsa, która nie mniej, jak marseillaise, całe one obywatelstwo zabawiła, zaspokoiła, jak gdyby już od dawna nie było w Tuilleriach ni króla ni królewiczów.

Ależ bo to wodewil, prawdziwie narodowa cacka (!), lekki śpiew, lekki dowcip, skoczność jakaś językowa, śmieszność i ruchawość; a jednak na dnie, na tle bawiącego obrazu jest nieraz coś surowszego, coś bardzo prawdziwego, w czem się przebija duch narodowy; zło i dobro, wady czasowe, a i zalety.

---

[1]) Marrast, publicysta francuski, redaktor »Trybuny« 1801—1852. (Przyp. wyd.).

Smutno tylko, że w ogólności charakter francuskiego wodewilu, w tej epoce przynajmniej, jest materyalny, sceptyczny, naśmiewający się ze wszystkiego i uniewinniający wszystko. Nie masz tu dosyć ani cnoty czystej, żeby jej wyśmiać nie udało się, ani zbrodni dosyć krwawej, żeby jej nie uniewinniono; a przynajmniej, żeby zrzucając odpowiedzialność za nią na całą społeczność, nie zyskał na przychylności, na sympatyi zbrodzień: biada sędziom i strażnikom prawa.

Rzecz sztuki owego wieczora była, ile sobie przypomnieć mogę, zręczność dwóch zbrodniarzy zbiegłych z lugduńskiego więzienia: jeden przebiegły, uczony, fanfaron, wymowny i dowcipny, zna wszystkie sprężyny nowożytnego postępu i cywilizacyi francuskiej, liberalny, socyalista, gadacz skory do wszelkiej antrepryzy finansowej, handlowej, przemysłowej, gazeciarskiej, nawet filantrop — nie pogardza zabawami i rozkoszami światowemi. Zalotnik i spekulant, progresista, o ile to do wygody i do zbogacenia się mu sprzyja, szuka awantur; wysoki, silny, dobrze sformowany, łatwo i biegle szermuje językiem, tak że mógłby być agentem dyplomatycznym, agentem handlowym, redaktorem gazety, w razie potrzeby sekciarzem. Czynny i zuchwały.

Drugi bohater tejże samej sztuki, towarzysz nieodstępny poprzedniego, jest bojaźliwy, zły, przez niewiadomość i ciemnotę raczej niż przez zepsucie serca; sługa i poddany pierwszego, patrzy mu w oczy i wykonywa wszystko, w oczekiwaniu, czy mu się uda obłowić jaką korzyść ze wspólnych oszukaństw. Przystaje na wszystko, upatruje wszakże pory, aby okraść swojego mistrza: chudy, blady, tchórz, złodziej pospolity.

W tych dwóch rolach Vernet i Lepantre do szaleństwa bawili publiczność, a frenetyczne jej oklaski zdawały się dowodzić, że pod postacią tych dwóch oszustów ukrywała się jakaś głębsza prawda i zło narodowe tej epoki. Rzekłbyś, że Robert Mackert, cywilizowany filut, był typem oszustwa, które we wszystkich strefach paryskiego towarzystwa rozwijało się pod pozorem postępu, demokracyi, filantropii i filozoficznych dążeń.

Potężną była w tym czasie karykatura francuska i praw-

dziwie niebezpiecznym dla rządu i rządowej partyi wielki w tym rodzaju artysta Philippon[1]); na godzinę przed wystawieniem za oknami kramu i księgarń nowych karykatur czekało już pospólstwo i próżniaki uliczne z wielką ciekawością. Ledwo się pokazał rysunek, oklaski, złośliwe komentarze i dowcipne przygryzki rozlegały się i każdy tłumaczył jak mógł znaczenie karykatury.

Między utworami najpopularniejszymi niewiedzieć jakim sposobem wymyśloną została i powtarzała się figura alegoryczna p. Mayeux. Garbaty, ale wyprostowany, nizki, karłowaty, ale elegant, jaskrawych oczu i dużej gęby, w kapeluszu z dużą trójkolorową kokardą: owoż p. Mayeux, pod którego figurą zdawało się, że chciano szkicować rewolucyę lipcową. On to ubrany jak gwardyak narodowy wymawia panu Lafayette, że oszukał Francyę, rekomendując jej na króla Ludwika Filipa; on też w figurze krawca bierze miarę na surdut Filipowi i ubolewa nad tem, »qu' il n'est pas grand« etc.

Siedział już w więzieniu za swoje karykatury p. Philippon. Pozwany przed sąd przysięgłych, że rysując króla, wystawiał go na śmieszność i ohydę narodu, dowodził, że nigdy nie rysował króla, a jeżeli kiedy na karyturze ukazała się jaka twarz podobna do królewskiej, to był przypadek i od niechcenia, jednym rzutem ołówka, może rysownik sprawić to podobieństwo. Na dowód tego wyjął ołówek z kieszeni i szmat papieru a jednym pociągiem odrysował gruszkę i pokazał rysunek sędziom. »Widzicie tę gruszkę — rzekł — nikt nie może zaprzeczyć, że to gruszka« dodał do niej prędko dwa liście po bokach i jeden u góry i wykrzyknął: »Widzicie panowie! taż sama gruszka; któż może upatrywać w niej jaką alluzyę czy podobieństwo?« A jednak był to portret króla, istna figura jego głowy, liście u spodu były faworyty, liść u góry tupetem, cała gruszka istny portret Ludwika Filipa; cała publiczność śmiać się poczęła i okrzyczała, że to król.

Od tego dnia wszystkie mury paryskie po rogach, po kątach, po wieżach pokryte były gruszkami malowanemi.

---

[1]) Philippon Charles, rysownik i dziennikarz francuski (1806—1882), twórca karykatury politycznej, założyciel »Charivari«. Nazywano go Juwenalem karykatury. (Przyp. wyd.).

Już wtenczas król zmienił swoje postępowanie; nie wychodził z parasolem i nie dawał »poignées de main« Paryżanom, jak to zwykł był czynić na początku panowania. Sebastiani wyrzekł owe słowa pamiętne w izbie poselskiej, kiedy nadeszła wiadomość o wzięciu Warszawy: »l' ordre règne à Varsovie«. Dupin (starszy) wygłosił z trybuny »chacun chez soi, chacun son droit«; przypisują mu, że powiedział »chacun pour soi«, a sofista Thiers, on, który w nic nie wierzył, przybrał z podobnegoż powodu, kiedy chodziło o Polskę, rolę natchnionego i powiedział w jednej ze swoich sztucznych improwizacyi w izbie: »La Pologne est destinée à périr«.

Pod taką tedy wróżbą i wśród nieprzyjemnych wrażeń spędziłem pierwsze dni i tygodnie mojego pobytu w Paryżu. Codziennie trzy, cztery, a nieraz sześć i siedem gazet rozmaitego koloru czytałem, szukając weselszych, przyjaźniejszych dla nas nowin.

Żyłem w Paryżu bez pozwolenia policyi. Trzeba było w końcu zmienić moje to położenie i zajęcie się. Poszedłem szukać emigrantów; poznałem się ze wszystkimi i za wdaniem się naszej starszyzny otrzymałem od rządu nietylko »permis de séjour«, ale nawet żołd emigrancki, który zrazu wynosił na(!) 60 do 70 franków miesięcznie, a potem zeszedł do połowy.

VI

Emigracya i emigranci w Paryżu.

Jednem z zajmujących i najbardziej godnych przypomnienia wrażeń z owego czasu było to, jakiegom doznał, kiedym pierwszy raz zameldował się w prefekturze paryskiej jako emigrant. Wprowadzono mię do ogromnej sali, przeznaczonej wyłącznie dla emigrantów, czyli emigracyi rozmaitych narodów.

Były dokoła przy ścianach wysokie szafy z napisami: »emigration polonaise, emigration espagnole, emigration portugaise, emigration italienne, emigrés allemands«. Rzuciwszy okiem na te napisy zdawało się, że tu do Francyi cała Europa emigrowała.

Jakoż w tej chwili znajdowała się w Paryżu i pobliskich miastach liczna emigracya hiszpańska, członkowie ostatnich liberalnych kortezów i mnóstwo liberalistów, co potem ufundowali tron Krystyny, jej córki i nową konstytucyę.

Byli też zebrani w tymże czasie we Francyi emigranci portugalscy ze swoim królem Don Pedro, z młodą królową Donna Maria da Gloria, Saldanha etc.

Liczniejsi może od tych ostatnich byli emigranci włoscy, między którymi znajdowało się wielu uczonych, Libri, Matteuci[1]), przemawiano już o Mazzinim i nowej Italii.

Najliczniejszą jednak ze wszystkich była nasza polska emigracya z prezesem i członkami narodowego rządu; cały prawie sejm; izba poselska i senatorowie; generałowie nasi, główny sztab, pułkownicy, oficerowie wszelkich rang, wielu podoficerów i bez rangi powstańców; 5000 wychodźców.

Wszystkie te emigracye znalazły we Francyi zasiłek, bezpie-

---

[1]) Libri-Carucci, matematyk włoski, Mateuci (Carlo) 1811—1868, fizyk włoski. (Przyp. wyd.).

czeństwo, spokój, a co największa, nadzieję, że każdej z nich narodowi kiedyś, kiedyś, z orężem przyjdzie w pomoc naród francuski.

W tym czasie umocowała na tronie belgijskim nowego króla Francya i gotowała się w pomoc mu do wyprawy antwerpskiej. Ustalona też była za przyczynieniem się Francyi niepodległość grecka. A jednak taż sama Francya zaledwo sama przychodziła do siebie po silnem wstrząśnieniu: zadłużona, zagrożona wojną domową od karlistów i republikanów, zbyt mało liniowego wojska i lepiej wyćwiczonego żołnierza liczyła.

Do owych trzech czy czterech milionów, które taż Francya wydawała na wsparcie tylu emigrantów, dodajmy nieporozumienia, na jakie z tej przyczyny ze wszystkiemi państwami europejskiemi narażoną była; i nieporządek, którego się mogła lękać z dania przytułku tylu rozbitkom fortuny, tylu zawichrzonym zapaleńcom, malkontentom rozmaitej barwy: rewolucyonistom.

Wielka to istotnie chwała i łaska Boża spływa na Francyę z tej hojności i nieustraszonej siły, z jaką bierze pod swoją opiekę wszystkie sprawy niefortunne ludów, jakoteż z gościnności i bezpieczeństwa, jakie im zapewnia. Nie było może w historyi państwa, któreby tak szlachetne powołanie miało wobec narodów; i to nie ma schodzić z uwagi, że to państwo, samo będąc katolickiem, tym szczególnie narodom dobre serce i przytułek daje, które u siebie wiarę katolicką zachowały.

O jakże niższą i mniej szlachetną ukazuje sie dziś samolubna Anglia!

Dla dobra samychże emigrantów i własnego bezpieczeństwa wymagał od nas rząd francuski zachowania się spokojnie i poddania się pod pewne reguły policyjne, nieprzesadzone żadną niepotrzebną surowością. Co miesiąc obowiązany był każdy z nas stawić się u szefa kwartału, gdzie mieszkał, z dwoma osiadłymi Francuzami jako świadkami i odnawiać permis de séjour: ale też co miesiąc płacono nam regularnie żołd, jak gdybyśmy byli w służbie francuskiej. Że zaś nas było wiele i nie wszyscy w jednym momencie mogli odebrać pieniądze, porządkowano przy kasie nas tak, że kto pierwszy przyszedł, pierwszy odebrał. To naszych nieraz niecierpliwiło, gniewało i kiedy płatnik Francuz nie prędko sprawował się, to mu choć w polskim języku wymyślano.

Pamiętam, że stałem dnia jednego przy kasie niedaleko oficera, który się dąsał, że od godziny musiał czekać na żołd (tak nasi nazywali pomoc francuską). Widząc to nasz zacny Górecki Antoni, dawny oficer i poeta, rzekł po cichu do niego: »Uspokój się bracie, tam na Sybirze niejeden z naszych kolegów dłużej może czeka i niecierpliwiej na kolej, która nań przypada do odebrania pałek, czy przejścia przez strój«.

Skoro ubezpieczyłem się, że pozostać mogę w Paryżu, pierwszą moją rzeczą było poznać znamienitszych Polaków, którzy składali emigracyę, a dla których od dzieciństwa miałem wielką cześć i szacunek. Wkrótce do tego dało mi sposobność zawiązanie się Towarzystwa Naukowej Pomocy i Towarzystwa literackiego, do których grona byłem powołany: i to mnie zbliżyło do księcia Adama, do Niemcewicza, Kniaziewicza, Platera Ludwika, Niemojowskiego [1]), generała Dembińskiego etc. W jednymże czasie wszedłem w stosunki z Lelewelem, Dwernickim, Małachowskim, z generałem Bemem i z twórcami rewolucyi listopadowej i naszych powstań.

Mała ta garstka patryotów, świetnych imion i zasług, zdawała się być przeznaczoną przez opatrzność do spojenia historycznym węzłem starej Polski z młodą, aby się przypatrzyły raz jeszcze sobie na żywo w powszechnem tułactwie przed niedaleką śmiercią. Książę Adam był dla nas przedstawicielem panów i senatorów polskich, co rej wodzili na sejmach, z rodzin swoich wybierali królów i byli protektorami szlachty. Niemcewicz był żywym świadkiem i działaczem sejmu czteroletniego, Kościuszkowskiego powstania i Maciejowickiej klęski; dziewięćdziesiątletni Małachowski sięgał wiekiem i duchem konfederacyi barskiej; dowódzca legionów stawiał nam przed oczy ich czyny poświęcenia się: był i żywym świadkiem ich pomoru w San Domingo i niewdzięczności Napoleona Bonapartego. Szczęśliwszy od niego legionista Kniaziewicz przypominał świetność oręża naszego w pierwszych Napoleońskich tryumfach, kiedy z Kapitolu niósł zdobyte chorągwie do stolicy dumnej Rzeczypospolitej. Cóż powiem o Dębińskim, Dwernickim, Bemie

---

[1]) W autografie wszędzie: Niemojewski.

i tylu innych, których zawód, poczęty w napoleońskich wojnach, odżył tak świetnie na polach Stoczka, Ostrołęki, Grochowa. Niemojowski, Ostrowski, Nakwaski i wielu innych posłów z czasów Księstwa, Kongresówki i ostatniego sejmu przypominali imionami swemi zasługi poniesione na polu parlamentarnego życia. A ostatni potomkowie z rodu Paców i Pociejów, jakoteż liczni przedstawiciele starożytnych naszych rodzin, podzielający z nami tułactwo, potomkowie Sapiehów, Zamojskich, Ogińskich, Potockich, Sołtyków, Małachowskich, Sołtanów, Platerów, Sobańskich i tylu innych niemniej świetnych rodzin, imionami i zasługami swojemi uobecniali nam żyjącą historyę narodu; większość emigracyi czciła ich i szanowała, lecz obok tych imion, poczynając od Lelewela, był szereg ludzi nowotnym zarażonych duchem, którzy w zawrocie głowy, jeżeli nie serca, mając na względzie błędy tylko nasze, które zgubiły Polskę, potępiać zdawali się całą przeszłość narodową naszą, zapuszczając się w niepewną reformacyjną przyszłość. Tu się szamotały w zapaleńczym ruchu dziwne figury: Mochnackich, Gurowskich, Worcelów, Mierosławskich, Czyńskich i mnóstwa nieznajomych imion, między któremi nazbyt nieprzyjemnie uderzał w oczy ksiądz Puławski, grożący wszystkim ludem i szubienicą. Wielu młodych ludzi, najczystszych uczuć i energicznych chęci, mając przed sobą ostatnie wysilenie kraju, jego wielkie zasoby po większej części zmarnowane, kupiło się około tego burzliwego ogniska, a szukało nauki i stosunków u zapaleńców francuskich, nowych demagogów, a nawet u masonów i konspiratorów włoskich i paryskich. Wielu z młodych emigrantów szukało całą duszą zbawienia dla kraju w liberalnym ruchu kosmopolitycznym; byli i tacy, co okazywali gotowość do wyrzeczenia się całej tradycyi polskiej i dobrego imienia naszych najpopularniejszych patryotów, jeżeliby tego potrzeba było do poruszenia mas nowemi, jak nazywali, ideami wolności, równości i mniemanego braterstwa.

Na straż, że tak powiem, narodowości naszej, na pogodzenie sprzecznych żywiołów, zdawali się być przeznaczeni najlepsi poeci nasi, znajdujący się prawie wszyscy w emigracyi i nieliczni księża nasi. Z poetów niektórzy, jak Słowacki, a nieco później Gorecki, przerzucili się na demagogię i niedowiarstwo. Ale prawdziwą potęgą polskiego ducha był Mickiewicz; a nie

mniej użyteczni i silnego wpływu byli Zaleski Bohdan i Witwicki. Z za emigracyi też przywiewał zbawiennie duch wieszczy Krasińskiego.

Owóż co w krótkich wyrazach powiedzieć mogę na oddanie pierwszego zarysu formującej się emigracyi, a źródła dyskusyi i poróżnień, stronnictw emigracyjnych i rozprzężenia.

Pierwej, nim wrócę do tego, nakreślę kilka szkiców z tego społeczeństwa.

Książę Adam Czartoryski miał już natenczas 60 z górą lat; przyjemny, bardzo szlachetnej twarzy, choć brakowało mu owego typu polskiego naszych polskich magnatów, owej dobroduszności przy pierwszem spotkaniu, wesołości niewymuszonej i ognia, jak nam malują jego ojca, byłego generała wojsk podolskich. Książę Adam miał raczej fizyognomię nieco cudzoziemczą, oczy czarne, wejrzenie nieco posępne, a przynajmniej przymglone jakąś smutną powłoką; choć w rozmowie prywatnej nie brakło serdeczności i ułagodzenia w tonie i wyrazach, tak właściwego Polakom. Ton jego mowy był wdzięczny i umiarkowany; język bardzo poprawny, czysty, naturalny; mówił powoli, z namysłem, z powagą, ale nigdy zimno lub obojętnie. Przy wielkiej znajomości ludzi i świata przebijał się zawsze w nim duch narodowy, moralna siła i spokojność umysłu; tak że nigdy nie unosił się, ani przesadzał, ani dostrzedz było najmniejszej w nim afektacyi w rozmowie. Nigdy nie mówił o nieprzyjaciołach swoich emigracyjnych; był wolnym od osobistych uraz i zemsty. Kiedy razu jednego, przy rozporządzaniu pomocy dla emigrantów poświęcających się naukom i rzemiosłom, chodziło o danie zasiłku jednemu z zapaleńców, który publicznie najsrożej ubliżał księciu, a był znany z zasad najradykalniejszych, obecny na posiedzeniu Towarzystwa Pomocy Naukowej jeden z dyrektorów zrobił uwagę, że nie wartoby marnować pieniędzy na ludzi znanych z zawziętości i przesadzonych zasad. Na to książę spokojnie odpowiedział, że owszem starać się należy zachęceniem i pomocą materyalną wspomagać tych, co się uczą, bez względu na opinię, aby obronić ich od cudzoziemczego wpływu i sposobić na ludzi pożytecznych dla kraju. Mogę zaświadczyć, że będąc użytym w rzeczonem Towarzystwie Pomocy Naukowej do rozdawania i rozsyłania posiłków uczącym się po rozmaitych zakładach, nigdy nie dostrzegłem

w księciu najmniejszej niechęci w dopomaganiu swym największym nieprzyjaciołom i przeciwnikom. Nikt też go nie przewyższył w nadziejach i w wierze w odbudowanie Polski; była to dla niego rzecz tak jasna i dowiedziona, że nigdy o niej nie wątpił. Kiedym na pożegnanie poszedł do niego przy wyjeździe do Ameryki, przyjął mnie uprzejmie, ale z niejakąś jakoby urazą. »Dziwię się, rzekł, że p. Domejko ma odwagę puszczać się na tak daleką i na tak długą podróż do Chili, kiedy my tu jesteśmy zajęci sprawą naszą żywotną dla Polski«; — na to odpowiedziałem: »upewniam księcia, że najpierwsza wiadomość czy pogłoska, która mię doleci o pożądanym wypadku, znajdzie mnie gotowego do niezwłocznego powrotu«. »Oh! mylisz się pan, odrzekł książę, pierwej niż dobra wiadomość dojdzie do pana Domejki, znajdziemy się już na pół drogi do Polski«. (Było to w r. 1838 w styczniu i nie było statków parowych między Europą i Ameryką).

Inny wcale z zewnętrznego charakteru i powierzchowności, z wad i z zalet, z zakroju i humoru, był Niemcewicz. Starszy wiekiem od ks. Adama, był daleko młodszy, żywszy w rozmowie i obejściu się towarzyskiem; żartobliwy, zmiennego humoru, często smutny, rozgniewany, częściej wesoły, dowcipny, otwarty był jak większa część naszej uprzejmej i gościnnej szlachty. W poufalszem towarzystwie używać zwykł nawet swawolnych wyrażeń i ostrych, uszczypliwych przycinków. W naszych politycznych dyskusyach i rozprawach między swoimi zakrawał bardziej na gazeciarza, na kronikarza, na posła sejmowego, niż na poetę. Nie znałem w życiu doskonalszego Polaka i lepszego patryoty; żył w historycznych czasach i o nich rad był mówić ciągle, schodząc do ostatniego upadku i ujarzmienia. Gniewał się bardzo na demokratów, na nieszanujących imienia polskiego, a nienawidził do najwyższego stopnia złych Polaków. Był szanowany od króla Ludwika, który go znał w Ameryce. Dawny znajomy ks. Pradta za czasów Księstwa Warszawskiego, poszedł go odwiedzić. Zaraz po przywitaniu weszła rozmowa o Polsce, a gdy stary dyplomata począł mówić o łaskach cesarza Aleksandra i niewdzięczności Polaków, tak się oburzył Niemcewicz, że wstał i rzekł: »Księdzu i kobiecie wszystko wolno, nie warto i gniewać się za brednie«. Tupnął nogą i wyszedł. Z Lubeckim spotkał się u wyjścia

z Opery. Kiedy książę podał mu rękę i powiedział: »voilà le barde! je ne m' attendais pas à vous rencontrer«, Niemcewicz odrzekł: »et moi je ne m' étonne pas de vous voir envoyé par la Russie«; był w istocie Lubecki wysłany od cesarza do rozrachunków z rządem francuskim. Lubił odwiedzać familie francuskie i angielskie przychylne Polsce; rozmowa jego była dziwnie zajmująca, wesoła. Ostatni raz, już na wyjezdnem do Chili, grałem z nim u ks. Adama w wista; do partyi należała też ks. Wirtemberska i p. Błotnicki. Przez cały wieczór bawił Niemcewicz i rozweselał wszystkich.

Jak Niemcewicz przedstawiał obraz literata i wysoko ukształconego Polaka z czasów sejmu konstytucyjnego, tak Kniaziewicz był typem generała polskiego z dawnych czasów. Bardzo wysoki, pleczysty, dobrze sformowany, był piękny jeszcze w starości swojej, a jakże piękny musiał być za młodu! Twarz prawdziwie polska, wysokie czoło, duży, nieco zakrzywiony nos, wesołe oczy, lekki uśmiech na koralowych ustach. Był Kniaziewicz podobny z twarzy do Washingtona, wnosząc z tego, jak zwykle tego wielkiego Amerykanina na portretach malują. Mówił głośno i częstokroć tonem, jak u nas witają gościa pożądanego w domu, a dziwnym sposobem łączył powagę polską i niejakąś surowość marsową z grzecznością i ujęciem prawdziwie szlachetnem. Dostrzegać było jednak łatwo w całej jego wesołości smutniejszą nutę z zawiedzionych nadziei; podobnie jak pospolicie w motywach narodowej naszej muzyki, w naszych pieśniach ulubionych, przebijają w weselszej strunie smutniejsze nuty melancholijne, drgnienia, porywające nas za serce i nie pozwalające unosić się zbyt radością.

Kiedy ostatni raz widziałem go na pożegnaniu, nie mówił mi, jak ks. Adam, o niedalekim marszu do Polski; zdawał się oczekiwać bliskiego odpocznienia i jedyną uwagą, jaką mi zrobił, była, że »wielu z naszych dobrzeby zrobiło, gdyby korzystając z czasu, nim co pomyślnego zabłyśnie dla Polski, szukało być użytecznymi w dalekich krajach dla zjednania wszędzie miłości i przychylności dla naszej sprawy; lepiejby to było, jak prowadzić niepotrzebne spory i waśnić się wobec cudzoziemców«.

Odmiennego wcale charakteru i hartu od Kniaziewicza, który wkrótce potem umarł, był Niemojowski, dawny poseł,

minister, a nawet jeden z prezesów rządu przy końcu wojny naszej. Równie wysoki i silnej budowy, ale młodszy od niego i w kwiecie wieku jeszcze, był to obywatel surowej i posępnej twarzy i mało mówiący; przynajmniej był on takim w smutnej epoce, kiedy go poznałem. Jeżeli kiedy wszedł w jaką rozmowę, to tylko o ostatnich wypadkach w Polsce, o smutnym końcu naszej wojny. Bezustannie zdawał się naradzać nad obroną kraju; obrachowywał jego siły i zasoby, namyślał się nad środkami do dźwignienia sprawy. Coraz bardziej zasępiał się; unikał rozmowy i przyjaciół. Niedługo to trwało. Począł wpadać w momentalne obłąkanie; zdawało mu się, że posiadał miliony i tylko chodziło o zaciągi wojska, o rozpoczęcie wojny; dąsał się, gdy chciano reflektować i uspokajać. W rok potem dostał pomieszania. Przeniesiono go do osobnego zakładu w Paryżu, gdzie według nowej metody leczenia pozwalają waryatom używać wygód i rozrywek w pięknym ogrodzie i w towarzystwie ludzi łagodzić obłąkany umysł. Nic nie pomogło; zajęty zawsze owymi milionami, organizacyą wojska, pospolitem ruszeniem i wojną, wpadł w malignę i umarł, aż do ostatniego momentu nieprzytomny.

Swobodnej zawsze myśli, silnej nadziei, dziarski, gaduła, istny Polak był gen. Dembiński. Choć już mu szósty krzyżyk był na plecach, nie widać było tego z twarzy, która porządnie ospą, a nieco wiekiem poorana, nigdy nie była smutną ani zasępioną. Ogniste oczy, nos orli i duże spadające wąsy, a do tego głos gruby żołnierski i cała budowa silna, ruch żywy, energiczny; posiadał, że tak powiem, wszystkie dary i przymioty na wodza, czy naczelnika, nie tylko porządnego żołnierza, ale i byle jakiej ruchawki między szlachtą. Posiadał też niemało nauki i ochoty do przemysłu i materyalnych ulepszeń; był dobrym gospodarzem i zamożnym obywatelem. Nie myślał, chyba tylko z bronią, wracać do swej majętności, a nieznośnem było dla niego bezczynne na emigracyi życie. Stąd gdy zanosiło się na wojnę między Moskalami a baszą egipskim, podążył do Aleksandryi na usługi baszy; był generałem Ibrahima: wdział turban i z adjutantem swoim Szemiotem (marszałkiem żmujdzkim) przewodził Arabom, dopóki była nadzieja wojny. W lat potem niewiele, kiedy powstały Węgry, poleciał bić się przeciw Austryakom i wiadomo, jak się dzielnie odznaczył w owej

nieszczęsnej kampanii, gdzie bardziej chodziło mu o Polskę, niż o Węgry. Krótko to trwało; wdała się do tej wojny Rosya, poddali się Węgrzy, a stary Dembiński wrócił ze swoją wiarą nienaruszoną i silną nadzieją do emigracyi, przygotowany zawsze czekać na coś lepszego. Nie mieszał się do zwad i sporów; był surowym dla siebie, pobłażającym dla drugich i tylko lubił karcić niesfornych potwarców i przechwałków. Jego wszakże najpiękniejszym czynem w życiu, w naszej 31 roku wojnie, był odwrót i uprowadzenie z pod Kurszan części litewskiego powstania przez całą Żmujdź i Litwę przez niezliczone siły armii moskiewskiej do Warszawy.

Jakże odmiennego charakteru z postaci, z układu (a może i z zasad) był gen. Bem. Uczeńszy może od Dembińskiego w sztuce wojennej, równie bitny, młodszy wiekiem, miał powierzchowność bardziej cudzoziemską, angielską, czy niemiecką, niż polską. Nie miał owej szczerości ni otwartości i rad był sobie tworzyć kołko w emigracyi nieprzystępne dla drugich. Z początku zaraz za przybyciem do Francyi, widząc, że się na długo zanosi i że nieczynność może być szkodliwą dla naszych wiarusów, podjął się zaciągać ich do armii portugalskiej na rzecz króla Don Pedro. Nie podobało się to emigracyi, która, łudząc się nadzieją interwencyi Francuzów w sprawie naszej, lękała się, żeby nie rozprzężono marnie korpusu naszego, przeznaczonego, jak sądziliśmy, na zawiązanie legionów polskich. Znalazł się zapaleniec, który uznawszy Bema za zdrajcę, strzelił do niego o dwa kroki; kula uwięzła w zegarek; generał przebaczył zbrodniarzowi, ale wrócił do Paryża zniechęcony. Nie należał do żadnych towarzystw ni komitetów; dawał prywatne lekcye, zawiązał był nawet osobne towarzystwo politechniczne, które zaledwo kilku członków i kilka posiedzeń miało; słowem mało on lgnął do fali i fala do niego. Przeczekał do wojny węgierskiej, w której wziął czynny udział i zasłużył na wziętość u Madziarów, chociaż nie bez zarzutu, jaki mu czynią, że był zawsze w nieporozumieniu z Dembińskim. Po tej wojnie przerzucił się, jak wiadomo, na bisurmanina, zawsze w nadziei, że przyjdzie do nowej wojny między Turcyą a Moskalami. Niedługo się tą nadzieją pocieszał; umarł baszą, a jeśli prawda, że jak Czajkowski dla ujęcia Turków przeszedł na muzułmanina, to niech Bóg nad nim zlituje się za to jego obałamu-

cenie przez wzgląd, że był dobrym Polakiem i bił się dzielnie pod Ostrołęką.

Znałem też Chrzanowskiego w emigracyi. Był nadzwyczaj małego wzrostu i niepoczesnej figury; blady, dosyć pospolitego wejrzenia, na pierwszy rzut oka bardziej na profesora czy jakiego szkolarza, niż na generała wyglądał. Przymarła zdawała się być na jego twarzy jakaś gorycz wewnętrzna; tylko ci, co go bliżej znali, mówią, że gdy traktował jaką sprawę wojenną, czy polityczną, widać było, że był to niepospolity człowiek i że w tem małem ciele było wiele duszy. Wpłynął on może więcej, niż kto inny na dyrekcyę ogólną obrotów wojennych w Polsce; co też mu wielkie imię u taktyków zjednało. Gdy w r. 1849 przyszło do walnej rozprawy we Włoszech, król piemoncki po odwrocie ze swojej kampanii mianował go naczelnym wodzem. Pobity w Nowarze, powrócił znów do emigracyi, ale mu w tej włoskiej wojnie powiodła się(!) z Romarinem niedobra sprawa, którą warto w pamięci zachować. Wiadomo, że klęska nasza po wzięciu Warszawy była po części skutkiem nieposłuszeństwa Ramorina, który zamiast usłuchać rozkazów szefa sztabu, rzucił się z dywizyą swoją ku galicyjskiej granicy, a przekroczywszy ją, złożył broń i uszedł bezkarnie. Zdarzyło się tedy, że w 18 lat potem znalazł się ten sam Romarino w bitwie pod Nowarrą w armii piemonckiej pod rozkazami Chrzanowskiego. W tej batalii znowu przekracza Romarino rozkaz swojego wodza naczelnego, idzie za swoją wolą, a nieposłuszeństwem przyczynia się do przegranej. Pobite zostało wojsko włoskie; ale tą razą nie uszedł bezkarnie Romarino; wzięty był przez swoich rodaków, osądzony, rozstrzelany w Turynie.

Chrzanowski był może najniepopularniejszym z naszych generałów i najmniej lubionym w emigracyi; przeciwnie Dwernicki, zwycięzca pod Stoczkiem, był mianowicie od całej młodszej, demokratyczniejszej emigracyi szukany i nadskakiwany(!). Zapraszano go do komitetów, na zgromadzeniach posługiwano się częstokroć jego imieniem. Był to jednak Polak, który się nie ubiegał za względami nawet tych, co się do niego kupili. Mało co wyższy od Chrzanowskiego, ale gruby i bardzo otyły, miał twarz okrągłą, rumianą, błękitne duże oczy, wąs zawiesisty, osiwiały, krótkiej szyi, barczysty i ociężały, był, jak wia-

domo, tęgim kawalerzystą. Zawsze wesoły, spokojny, uprzejmy dla swoich, miał opinię najwaleczniejszego z generałów, choć mu nie zapomniano, że był pierwszym, co przeszedł granicę w powrocie ze swojej na Wołyń wyprawy, a któż wie, o ile to przejście granicy złym przykładem i zmarnowaniem sił wołyńskiego powstania przyczyniło się do upadku sprawy? Ale tryumf pod Stoczkiem pokrywał późniejszą słabość generała; przyznam się też, że tak mu mile wyglądała z twarzy, z żołnierskiego obejścia się jakaś prostota, szczerość, polskość, serdeczność, że w jego towarzystwie zapominało się o klęskach i niepowodzeniach, tylko o Polsce myślano i o straconych tryumfach. Dwernicki był wolny od wszelkich pretensyi, dumy i zarozumiałości i zachował rubaszność ułana naszego. Zakochał się w młodej Francuzce, która posiadała, jeżeli się nie mylę, niepospolity talent malarski. Ożenił się z nią i był szczęśliwy. Ostatni raz widziałem go już z żoną i dzieckiem w Londynie a był zawsze jednostajnie gotowy do szabli i konia: pełen wiary w odbudowanie Polski.

Całkiem odmienny, choć równie miły i przyjemny obraz zostawił mi w pamięci Pac. Piękny, urodziwy, pięknej, pociągławej twarzy miał wejrzenie i powagę i ujęcie magnatów naszych panów i senatorów zasłużonych krajowi. Pięćdziesiąt lat zapewne nie miał, kiedy go poznałem; pełen życia i zapału łączył w obejściu się towarzyskiem tak ze swoimi, jak z cudzoziemcami dworskość polską, nabytą na wysokim świecie, z polorem francuskim; a nie widać było w nim przesady, ani lekkości charakteru. Był on przy sztabie Napoleona aż do jego upadku i oddychał, że tak powiem, jeszcze duchem owego cesarstwa, do którego czasów jakże mu było ciężko sięgać pamięcią z owej lodowni doktrynerskiej, jak nazywał dzisiejsze panowanie Ludwika Filipa i jego ministrów, od których wyszło pamiętne »l'ordre règne à Varsovie«. Przedstawiano w tym czasie w cyrku Olimpijskim w Paryżu sztuki z wojen napoleońskich, a w nich odegrywał rolę Napoleona jeden Francuz, bardzo do niego podobny z twarzy, postawy i wzrostu; gdy wychodził na scenę ubrany w szarą kapotę i kapelusz Napoleona, rzekłbyś, że sam cesarz wstał z grobu i przechadza się. Owóż byłem po kilkakrotnie z Pacem na owej reprezentacyi, a ilekroć ukazał się ów Francuz, to w moim generale widać

było wzruszenie, jakoby konwulsyjne, rozczulał się do łez i drżał z radości. Nie mogąc znieść nieczynności w emigracyi, pojechał dla zwiedzenia Syryi i Grecyi. Listy jego pisane do ks. Adama były nader zajmujące. Umarł z gorączki w Smyrnie, zostawiwszy jedynaczkę córkę na opiece siostry swojej.

Powiem jednak szczerze, że górowała dla mnie nad wszystkimi ojcami ojczyzny w emigracyi osoba generała Małachowskiego, jako legionisty, najstarszego wiekiem i zasługą w wojsku. Bardzo wysoki, nieco schylony, ale silnej i kształtnej budowy, miał twarz bladawą, pogodną, czoło wysokie i mało marszczek. Widać było jeszcze, jak silny i dobrego zdrowia musiał być za młodu, kiedy uszedł od zarazy i zajadłości murzyńskiej w San Domingo, gdzie cały legion, którym dowodził, wyginął. Cichego charakteru, mało mówiący, stronił od wszelkich kłótni, zgromadzeń i posiedzeń emigranckich. Patrząc na niego rzekłbyś, że żyje pod bronią w obozie i nadstawia ucha, czy nie usłyszy ognia na posterunku. Był nauką żywą, pociechą i napomnieniem dla wszystkich, jak znosić niedolę, wierzyć w przyszłość. Był to cień żywy maciejowickiego żołnierza, idącego w marszu za Dąbrowskim, legionisty i ostatniego z naszych zwycięstw drogo okupionych dowódzcy. Gdy młodzi smucili się, tęsknili, miotali się niecierpliwością, rozpaczą, jedni na drugich winę zwalali, odgrażali się i we frenetycznym ruchu szukali sztucznego, jałowego życia, Małachowski, spokojny, zdawał się dziwić ich niecierpliwości i milczeniem swojem zapowiadał długi jeszcze szereg nieszczęść i długie tułactwo. Towarzyszyła mu na wygnaniu i osłodziła ostatnie dni generała żona jego, o 30 najmniej lat młodsza od męża, zacna bardzo Polka, poważna i przyjemna.

Jakże odmienne wrażenie od osoby tego starego generała robił na każdym z nas Lelewel, od którego w emigracyi poczynał się niby szereg tak nazwanych patryotów młodej Polski, rewolucyjnej, demokratycznej, liczącej na gwałtowne zewsząd poruszenie ludów i rewolucyę. Nie był jednak młody Lelewel, liczył 46 lat wieku, ale wyglądał na starszego, na zmęczonego niepowodzeniem. Był on twarzy bardzo łagodnej i przyjemnej, kiedym go znał na uniwersytecie wileńskim; powszechnie na ten czas lubiony, zdawał się posiadać charakter umiarkowany i pojednawczy. Pamiętam, kiedy opowiadał jaki czyn historyczny

ważny na lekcyach, iskrzyły mu się oczy i cały był ożywiony wiekiem, do którego ów czyn należał. Pamiętam dobrze, że na odczytach uniwersyteckich[1]... miał zwrok nieco zwrócony na bok, ku ziemi, wlepiony, jak gdyby co w niej widział i tylko od czasu do czasu rzucił oczyma na obecnych i wtenczas zwykł uśmiechać się uśmiechem nienaturalnym, niekiedy zakrawającym na szyderczy, kiedy rzecz temu odpowiadała.

Ten zwyczaj dochował aż do spotkania się naszego w emigracyi (nie patrzył prosto w oczy); twarz jego była wychudła i pospolicie pryszczami osypana, oczy miał nieco zapadłe, a w postawie swojej częstokroć był to ku lewej, to ku prawej stronie pochylony. Mówił łatwo, nieco w nos, poprawniej i jaśniej, niż kiedy pisał, a był zawsze ubogo ubrany, ubogo mieszkał i ubogo żył; od nikogo najmniejszej ofiary nigdy nie przyjął, ani od rządu, ani od swoich, ani od cudzych. Zimową nieraz porą chodził we fraku czarnym i nieraz się przeziębił.

Zaraz od przybycia do Paryża postawił się w opozycyi ze wszystkimi członkami narodowego rządu, z senatorami i generałami naszymi. Nie lubił tych wszystkich, co nosili jakie pańskie imię lub byli kiedyś panami. Obwiniał ich wszystkich o upadek sprawy, o dumę, egoizm, nawet o zdradę; dawał przystęp do siebie tylko podrzędnym ze służby, malkontentom, otwartym republikanom i demokratom. Dosyć było okazać się nieprzyjacielem Czartoryskiego, Skrzyneckiego i jego stronników, powstawać na panów, na księży, na dawnych ministrów, wodzów, ażeby być poufalej z Lelewelem. Nie był on jednak demokratą ani członkiem towarzystwa demokratycznego; nie wiązał się z republikanami francuskimi, choć do każdego z emigrantów mówił »obywatelu«. Nie potakiwał też otwarcie zwadliwym, burzliwym, szerzącym nienawiść między swoimi, tylko uśmiechał się, nie karcił. Pracował nawet i był czynnym w skojarzeniu ogółu emigracyi; pośredniczył w zakładaniu komitetów na prowincyi i centralnego komitetu, do którego należał, dopóki rząd francuski nie kazał mu wyjechać z Paryża, posądzając go o znoszenie się z republikanami paryskimi. Chodziło mu o to mianowicie, żeby się emigracya nasza nie rozchwiała i nie osłabiła się pojedyńczemi werbunkami i wyprawami; żeby się

---

[1]) W autografie następuje wyraz nieczytelny. (Przyp. wyd.).

o ile możności demokraciła(!) i była zupełnie niezależną od wpływu tych, co nalezeli kiedyś do Rządu narodowego, jakoteż generałów, senatorów etc. Nie był też przeciwnym zbieraniu się sejmu — i osobiście zachęcał wszystkich do skromnego i pracowitego życia, do rzemiosł, do wyzwolenia się od subsydyów i opieki Ludwika Filipa.

Co nadewszystko znamionowało charakter Lelewela, to miłość kraju i poczciwość, szlachetność uczuć, posunięte może do fanatyzmu, nieraz do dziwaczności. Sprawy emigracyjne nawet najdrobniejsze między zakładami a komitetem paryskim utrzymywały go ciągle czynnym i w stanie prawie gorączkowym. Krótkie zaś momenta wolne spędzał na numizmatyce, na pieniążkach, jak gdyby był zupełnie spokojny i żył w kraju, w stanie normalnym.

Lelewel nie był głową, ni naczelnikiem żadnej szczegółowej partyi w emigracyi. Oblekać zwykł wyrazy swoje w zagadkową jakby jakąś tajemnicę; ucinał i nie dokończał frazesów i nigdy nie dochodził jasno do wniosku; ale zanadto był uczciwym i Polakiem, żeby się miał zniżyć do sekciarstwa, czy intrygi jakiej antynarodowej między emigrantami.

Nie będę opisywał tak nazwanych demokratów, którzy od początku naszej emigracyi wichrzyć poczęli i szerzyć niezgodę. Z przewódcow, z naczelników między nimi najzdolniejszy może i najzacniejszy był Mochnacki, który wkrótce umarł. Mówił i pisał z największą łatwością i ogniem; tylko znać było, że oddychał jakąś niepohamowaną nienawiścią do wielu. Miał piersiową chorobę. Stan jego zdrowia może się przyczyniał w nim do owej niepolskiej surowości i ostrego charakteru, z jaką pospolicie traktował swoich towarzyszy.

Gurowski, starszy z trzech braci, był prawdziwie potworą w emigracyi. Miał światowe wychowanie, światowe grzeczne ujęcie i twarz dosyć szlachetną, choć zimną i choć był jednooki. Z wielką łatwością mówił kilku językami i okazywał niepospolite zdolności w wysłowieniu się; umiał ująć, obałamucić i zdradzić kogo chciał. W salonach był na wielką skalę arystokratą, w klubach, czem chcesz: radykalnym, komunistą i terorystą. Zalecał równość, wolność i braterstwo; kiedy jednego dnia zoczono go na wsiadaniu do dyliżansu w mesażeryi Lafita, »Gurowski! rzekł do niego jeden z dawnych jego znajomych, praw-

dażli, że podałeś się do amnestyi i jedziesz do Moskali?« — Na to on: »alboż ja głupi jeść sztukę mięsa na emigracyi, mając swój majątek«. »A cóż się stało z twoją demokracyą i z towarzystwem demokratycznem, które założyłeś?« Na to Gurowski: »Narobiłem błota, niech się kąpią«. Wiadomo, że na jednej mustrze niekontent z obrotów jednej roty piechoty W. Ks. Konstanty zakomenderował »na lewo«, gdzie było błoto, a gdy webrnęli po kolana żołnierze i dalej iść nie mogli, rzekł: »zdieś swiniam ostatsa« i odjechał. Tak i Gurowski postąpił z tymi, co mu byli zawierzyli.

Gurowski był pierwszym z emigracyi, co prosił o amnestyę u cesarza, a nie miano u nas natenczas [nic] za większe przeniewierzenie się, jak prosić o nią. Otrzymał ją, potem służył rządowi, potem pisał przeciw sprawie polskiej, siał propagandę panslawistyczną.

Innego wcale modelu był Ostrowski, tak nazwany J. B. O., bo się temi literami podpisywał na dzienniczku, który wydawał, rzucając zawiść, nienawiść i szkalowania na wszystkich; nader pospolitego wejrzenia, z podełba patrzący, na pozór łagodny, cichy i spokojny, był zarzewiem w pierwszym roku naszego tułactwa, dopóki się na nim nie poznano i nie oddalił się z Paryża z rozkazu rządu.

Było w owem kole demokratycznem dwóch, jak powiadano, przechrztów i niemało ludzi podejrzanych. Wiedzieć jednak należy, że do niego było też wiele wciągniętych ludzi energicznych i bardzo dobrych Polaków, co na słowa: równość, wolność, braterstwo, pod hasłem potępiania wszystkich naszych wad narodowych, których wszakże nikt nie uniewinniał, miotając skargi na naczelników rządu tymczasowego i bogatszych panów, którym przypisywali upadek Polski, — cisnęli się do klubów, będących pod wpływem sekretnych towarzystw polskich i francuskich.

Kilka słów teraz o naszych Polkach. Któż z naszej emigracyi nie znał, nie wielbił Klaudyi Potockiej, z domu Działyńskiej? Urodziwa, kształtna, bladej, podłużnej o szlachetnych rysach twarzy; włos miała krótko ucięty i nader skromne ubranie; w obejściu prostotą i miłością bliźniego ujmowała zarówno książąt, hrabiów i najpierwsze osoby wysokiego tonu, jak żołnierzy i najuboższych tułaczów. Wiadomo, że w powstaniu

bywała na placu boju dla doglądania rannych i umierających; potem chodziła do szpitalów warszawskich i opatrywała w nich cholerycznych. Na emigracyi zbierała składki, wydała cały swój majątek na wspomożenie uboższych. Widziałem ją w Dreźnie krojącą i szyjącą bieliznę dla żołnierzy; nie było ofiary, do którejby nie była gotową ta Polka. Miała jednak w wejrzeniu więcej wyrazu smutnego i surowego spokoju, niż zewnętrznej serdeczności naszych pobożnych i miłosiernych pań na Litwie. Potocka nie była piękną, miała na ten czas może 39 lat wieku, a w wejrzeniu, układzie i w całej powierzchowności uosabiała miłość chrześcijańską i przejmowała nią każdego, co miał szczęście być jej znajomym.

Była to osoba zupełnie wolna od wszelkiej przesady i porywczej, nienaturalnej egzaltacyi. Umiała najłagodniej zniżyć się do najniższej klasy ubóstwa, wyższa nad wszelkie uprzedzenia światowe; miłowała tylko cnotę i miłość bliźniego.

Miałem też szczęście poznać w domu ks. Adama jego szanowną siostrę, księżnę Wirtemberską. Jakaż to zacna pani, jakież szlachetne i miłe jej obejście się! Nie widziałem twarzy w tak podeszłym wieku, któraby tak była nadobną i poważną. Jej rozmowa była zawsze o Polsce, mówiła pięknym, czystym, polskim językiem, nie mieszając francuszczyzny. Był to dla mnie obraz dawnych naszych pań z ostatnich czasów bytu narodowego; protektorka literatury i sztuk pięknych w Polsce, powszechnie szanowana i kochana w narodzie.

Nie dosyć też dotąd był oceniony charakter księżnej Czartoryskiej, żony ks. Adama. Nie była piękna i nie ubiegała się o to, aby ją wychwalano lub bardzo poważano. Bardzo skromna, mało mówiąca, zajmowała się wyłącznie dobroczynnością i wspomaganiem biednych familii emigranckich; w tym celu zawiązało się Towarzystwo Dobroczynności dam polskich, któremu przewodniczyła i które wiele dobrego przyniosło emigracyi. Miałem z tego powodu zręczność poznania dobrego serca tej pani, będąc wezwany na pomocnika do tego towarzystwa i użyty do rozdawania miesięcznych pomocy po 15 franków na każde emigranckie dziecko, skąd też poszło, że nazywano mnie w Towarzystwie »przyjacielem dzieci«. Starałem się w istocie ułatwiać tym cnotliwym damom stosunki z najuboższą częścią emigracyi, uwiadamiając je o niejednej praw-

dziwie biednej, bez sposobu do życia, rodzinie. Wiele też było nieszczęśliwych w naszej emigracyi, obarczonych dziećmi, matek, w ostatniej potrzebie znajdujących się. któreby bez mojego pośrednictwa nie przyjęły wsparcia prosto z rąk prezydującej księżnej. Mogę zapewnić, że nigdy to towarzystwo nie odmówiło pomocy demokratom i przeciwnikom księcia, ilekroć istotnie jej potrzebowali.

Sekretarka tego towarzystwa, z Tańskich Hofmanowa, autorka »Pamiętników po dobrej matce«, »Rozrywek dla dzieci« i tylu innych pism moralnych dla wychowania dzieci. była nieodstępną domu Czartoryskich, na których dworze była wychowaną; nie była już wtenczas młodą, a jej powierzchowność nie pochlebiała jej wcale. Bardzo nizka, ułomna, nieco schylona, żadnych nie miała zewnętrznych powabów swojej płci, wyjąwszy wyrazu szczególnej dobroci, prostoty i pokory, który się malował na jej twarzy i który się przebija w jej pismach. Cała jej wartość i zaleta były wewnętrzne; było to zamiłowanie cnoty, miłości familijnej i skromności. W rozmowie nawet potocznej wystrzegała się błędów gramatykalnych i znać było, że była dobrą autorką,

Należały też do tego koła: Hr. Platerowa, ks. Ogińska, dwie córki księżnej Giedrojciowej (z których jedna była damą dworu cesarzowej Józefiny, a druga, autorka, wdowa po gen. Rautenstrauch), pani Wołowska, żona mecenasa, i pani Mickiewiczowa; wszystkie zacne, cnotliwe Polki, które zaszczyt robiły naszemu krajowi.

A ileż to było równie zacnych i cnotliwych żon, które za swoimi mężami przybyły do emigracyi i spokojnie, ochotnie podzielały z nimi tułactwo, unosząc dzieci od moskiewskiego gwałtu. Nie ubliża to i tym, które pozostały w kraju przy dzieciach, osłaniając majątek i zajmując się wychowaniem synów i córek swoich, od których na przyszłość zależał los i przyszłość (sic) Polski.

Podział emigracyi na partye, komitety, towarzystwa. — Sejm.

Emigracya, która po wielkiem wstrząśnieniu narodowem przenosi się do kraju wolnego, przynosi z sobą wszystkie nasiona złego i dobrego, które posiadała przed owem wstrząśnie-

niem, a do których się przyłączyła gorycz z niepowodzenia, z nią niespokojny umysł i rozmarzone serce, z którem nie wie, gdzie się podziać i czem ochłodzić siebie, jak gdyby we śnie rozmarzona. To zło i boleści rozwijałyby się w ludziach i na własnej ziemi, tylko że tu chwast i kąkol szkodliwszy był dobremu ziarnu pod wpływem znudzenia, niecierpliwości i bezczynnego oczekiwania na to, co się stać nie mogło.

Stąd powstały niezgoda i rozpłatanie się wychodźtwa naszego na stronnictwa. Było ich wiele w naszej emigracyi i byłoby niepożytecznie przypominać je wszystkie. Niepodobnaby nawet zrozumieć ich niezliczonych broszur i gazet emigranckich owego czasu.

Można jednak w krótkich słowach powiedzieć, jak się rzecz miała.

1°. Większość liczebna emigracyi trzymała się głównej idei, którą była narodowa jedność i aby ją zachować, szukała sposobu do uorganizowania dla siebie jakiej władzy wybieralnej. Ta władza w istocie gdyby się mogła urzeczywistnić i być poważaną, posłużyłaby do utrzymania emigracyi w porządku, przeszkodziłaby rozprzęganiu się jej na niewczesne wyprawy do Algieru, do Hiszpanii, do Portugalii, do Ameryki, przygotowałaby ją do uorganizowania się na wypadek wojny, a wojna była nieustannie na myśli emigranta. Podzieleni byli z rozporządzenia rządowego wychodźcy nasi na tak nazwane zakłady w Bourges, w Chateauroux, w Tours, Angers, w Besançon etc.; wybierał każdy zakład dla siebie osobny komitet, a większa liczba emigrantów paryskich wybierała dla ogółu komitet centralny. Ten ostatni utrzymywał korespondencyę z komitetami po prowincyach i zdawał sprawę na zebraniach i posiedzeniach, na które przychodził kto chciał, a odbywały się na ulicy Taranne 12 (ulica ta już nie egzystuje).

Po kilkakrotnie zmieniał się ten komitet; zrazu był zawiązany pod prezydencyą Niemojowskiego; potem się przeistoczył w bardziej demokratyczny pod przewodnictwem Lelewela, a nakoniec w 1832 wyborami po zakładach i w Paryżu powołani zostali do komitetu: Dwernicki (prezes), Umiński, Sierawski, Morawski, Leduchowski, Hube, Zwierkowski, Lelewel, Worcel, Jełowicki etc. Ten ostatni komitet trwał długo. Uchwalił podatek emigracyjny, mianował komisyę funduszów emigracyj-

nych, do której należeli: gen. Sznayde, poseł Tomaszewski, Bohdan Zaleski, i jak mógł utrzymywał całość i zgodę między swojemi, a wspierał uboższych i nieszczęśliwszych.

Ale pierwej, nim przyszło do obioru tego komitetu, było wiele mowy na posiedzeniach w Taranie, na które Lelewel zapraszał, a obrady poczynały się od obioru marszałka na każde posiedzenie z osobna. Nad czem się tam naradzano, prawdziwie nie pamiętam, chociaż dyskusye były zawsze żwawe, a jednego razu prezydującemu gen. Sierawskiemu nie dano i gęby otworzyć, tak się cisnęli nasi jedni przed drugiemi do zabierania głosu. Prezydowałem też na jednem posiedzeniu i wiem, jak trudno było utrzymać porządek.

Od czasu wyboru komitetu Dwernickiego mniej już było owych posiedzeń ogółu i nieco mniej dyskusyi, albowiem się poczęło odłączać od niego a wiązać z demokratami coraz więcej naszych tak w Paryżu jak po Zakładach; a wielka część emigrantów uczyła się już i brała do rzemiosł, do fabryk, do handlu, aby zabezpieczyć dla siebie byt stały i niepodległy. Przekonano się mianowicie, że nie było nad czem dyskutować i sprawa narodowa sama z siebie była prostszą, jaśniejszą i dostępniejszą dla wszystkich, niż jej oznaczenie i kwestye socyalne.

W ogólności ta część emigracyi, która się trzymała komitetu centralnego, płaciła podatek i na zawołanie prezesa schodziła się na Taran i na obchody rocznicy rewolucyi i uważała siebie za czysto polską i wyłącznie polską, bez żadnych naleciałości cudzoziemczych; na każdy raz gotową do służby krajowej, do poświęcenia się i do pracy na własne utrzymanie się i pragnącą przedewszystkiem zgody. Były w niej bardzo różnorodne elementa, ale przemagał narodowy duch ten sam, z jakim wyszliśmy z kraju: był to tak nazwany ogół.

2⁰. Odłączało się od niego i coraz się bardziej powiększało wyżej wspomniane towarzystwo demokratyczne, które od początku swego zawiązania było już pod wpływem towarzystw sekretnych. W niem należy odróżnić dwie klasy ludzi: jedni, zajęci przeważnie piórem, dziennikarstwem, mówili o prawach człowieka, o wolności nieograniczonej, równości i braterstwie. W imię tych zasad ogłosili zdrajcami: Czartoryskiego, panów

naszych i szlachtę i na nich zrzucali upadek kraju. Zapowiadali przyjęcie nowych prawd i zasad ultra liberalnych, na których opierali przyszłe odbudowanie Polski. Przebijał się w ich propagandzie liberalizm antikatolicki, kosmopolityczny, a przypisywali sobie siłę poruszania mas i moc odbudowania Polski bez pomocy szlachty i panów.

Drudzy, których liczba od czasu wystąpienia Gurowskiego z towarzystwa powiększać się poczęła, składała się z ludzi mniej może niepraktycznych, chciwych, jak powiadali, ruchu i działania, wojskowych i takich, którzy nie mogli się wziąć ani do rzemiosła, ani do powołania, jakiego, — sądzili, że w tem zarzewiu demokratyzmu była nadzieja prędszego wzięcia się do czynu i że potrzeba dobrze już wyrobione zasady mieć na pogotowiu, aby z niemi wejść do Polski.

Z pięciu założycieli urosła w lat sześć liczba członków towarzystwa do 1200; rozgałęziając się coraz bardziej i bardziej po prowincyach, każdego z chwiejących się w skrajnej zasadzie wykasowało samo towarzystwo za najmniejsze podejrzenie wdawania się z arystokratami; niejednego z Francyi wyganiała policya, a znaczna część zapaleńszych, po długiem spieraniu się z centralnym swoim komitetem paryskim, przeniosła naczelnictwo towarzystwa do Poitiers. Przyjęli je na siebie: Heltman, Malinowski, Jakubowski, Breański i Darasz. Odtąd poczęła rządzić demokratami tak nazwana sekcya Poitiers. Mieli oni osobne fundusze, zbierali między sobą podatki, ogłosili bardzo radykalny manifest do ludów; wiele złego narobili, rozszerzając między nieumiejętną, dobroduszną klasą naszych wychodźców zasady radykalne, socyalne, kosmopolityczne; płatali na dwoje emigracyę.

Sądzę, że też niemało przyczynili się do ocalenia emigracyi od wypraw niemających bezpośredniego związku ze sprawą naszą narodową, od służby wojskowej zaciężnej, najemniczej. Wielu z zawerbowanych do demokracyi zachowało w niej charakter powstańczy, nie rozumiejąc nawet o co chodzi w tej demokracyi, zapominając o sobie, o zabezpieczeniu dla siebie kawałka chleba na starość. Jednem z nienajmniejszych urojeń i obłędów naszych demokratów, przewodniczących w towarzystwie, były zawierane związki z demokracyą francuską i włoską w nadziei wybuchu powszechnej wojny rewolucyjnej; zda-

wało się im, że Polska w opłakanym swoim stanie potrzebowała wejść w stosunki ze wszystkiemi strefami ludzkości, chociażby najburzliwszej, obojętnej dla nas i wiary.

Nie wtajemniczony w stosunki, jakie mieli ci, co rej wodzili między demokracyą polską, z Mazzinistami i demagogią francuską, nie mogę sądzić, o ile ta zaraza cudzoziemcza mogła przelać w krew naszą, bezbożność, materyalizm, pogardę wszelkiej prawej władzy, uznanie siebie za jedynego Boga. Któż może przewidzieć, czy przyuczeni w tej szkole nie przynieśli kiedy na ziemię naszą nasion brudnego chwastu z włoskiej, węglarskiej roli — morderstwa i politycznego fanatyzmu.

3°. Trzeci nakoniec oddział naszej emigracyi, mniej liczny, nienawistny demokratom, na ustroniu od tej najliczniejszej części emigracyi, która, jak powiedziałem, wiązała się do tak nazwanego ogółu i stroniła od wszystkich niewczesnych porywów, ruchów i manifestacyi, stanowili członkowie bogatszych familii naszych, dawni magnaci, panowie — mający wpływ u rządu Ludwika Filipa, ludzie poważni, nie chcący należeć do stronnictw, nazywani arystokratami, przez to, że nie powstawali na Czartoryskiego i jego przyjaciół.

Podczas kiedy ogół ze swym komitetem, licząc w swojem gronie wielu posłów i dowódzców wojskowych, zajmował się głównie uorganizowaniem i utrzymaniem w karbach, w jedności, emigracyi naszej, naradzał się na zebraniach nad przyszłem odrodzeniem się kraju, niekiedy o protestacyach przed Europą w imię ujarzmionej ojczyzny; a demokraci rzekłbyś na samem dnie zachodniej Europy, w jej nawet zepsuciu i konspiracyjnych masach szukali środków i sojuszu; jednocześnie tak nazwana arystokracya nasza, potomki dawnej świetności i potęgi narodowej, nie przestawali skarbić względów dla sprawy naszej u dworu, u dyplomacyi i w wierzchniej strefie upatrywali, co dla nas mogło zapowiadać lepszą przyszłość i uszanowanie praw pognębionego narodu.

Pod tym względem kazdy pełnił służbę emigracyjną według swojego słowa i usposobienia, częstokroć bliższych stosunków przyjaźni i zażyłości, które jednych z drugimi łączyły.

Niesłuszne były skargi i potwarze rzucane na Czartory-

skiego[1]) i tych, co nazywano arystokratami, nie występowali oni nigdy przeciw ogółowi ni komitetowi emigracyi. Jeżeli nie brali w nich udziału, jeżeli nie cisnęli się do nich i nie narzucali się ze swoją pomocą, to czynili to po części i dlatego, że było wielu należących do ogółu i tych, co zasiadali w komitecie, którzy im nie dowierzali i wynieśli byli z ostatniej wojny osobiste ku nim niechęci — nawet nienawiść. Ci pomawiani o arystokratyczną dumę panowie nie zaprzeczali nigdy drugim ich zasług, nie odmawiali pomocy; wspólnie ze wszystkimi szli do kościoła w rocznicę powstania narodowego (29 listopada); należeli do składek i mieli niejednego między swoimi, co do ogółu należał. Mieli obawę nadto stronnicy Czartoryskiego, Platerów i Niemcewicza i innych, aby przystępując do komitetu, do ogółu, nie osłabić go, dając powód demokratom do oskarżania komitetu, że się brata z arystokratami, a właśnie chodziło o to demagogom, aby odciągać naszych od ogółu, od głównego, iż tak nazwę, korpusu emigracyi.

I tego zamilczeć nie mogę, że rozmaitymi sposobami ci, których obwiniano o arystokracyę, starali się wpływać na emigracyę i być jej użytecznymi. W tym celu założyli naprzód i utrzymywali towarzystwo pomocy naukowej i szukali na to funduszów, aby ułatwić młodzieży naszej przystęp do zakładów naukowych i przemysłowych francuskich i wspierać uczących się choć małą jaką zapomogą, dopóki nie nabędą własnego sposobu do utrzymania się. Zawiązali Towarzystwo Literackie Polskie, na którem czytano i mówiono po francusku, aby na jego posiedzenia można było zapraszać nietylko uczeńszych i pracowitszych panów naszych, ale też znakomitszych uczonych i ludzi stanu, Francuzów i Anglików, mających wpływ na rząd, na dwór, na reprezentacye narodowe. Na tych posiedzeniach znajdowali się często: Walewski, Odillon Barrot, Lord Stuart, Montalembert etc. Staraniem owego towarzystwa założono bibliotekę emigracyjną polską, szkołę polską, naprzód w Orleanie potem w Paryżu, szkołę dla dziewcząt pod opieką ks. Czartoryskiej. Na Wielkanoc zapraszał Czartoryski do siebie na święcone nietylko bliższych siebie, ale i tych wszystkich

---

[1]) W autografie zdanie to dwa razy odmiennemi słowami wyrażone. (Przyp. wyd.).

rodaków, co się nie zrażali jego arystokratycznem imieniem i szukali powszechnej zgody: a na tych zebraniach w obecności wielkich dygnitarzy francuskich i angielskich, widziano obok Sapiehów, Potockich, Mostowskich, Zamojskich, Platerów, wielu naszych w wytartej nieco, a przynajmniej nieeleganckiej odzieży, a wszystkich z równą uprzejmością i gościnnością przyjmowano.

Najważniejszą jednak czynnością i służbą naszych panów, co otaczali Czartoryskiego i tych, co z nimi w bliższych stosunkach znajdowali się, było utrzymanie związku z ludźmi stanu tak we Francyi, jak w Anglii. Z każdem otwarciem parlamentów ubiegano się o to, aby nową protestacyą zachodnich państw przeciw Rosyi przypominać Europie prawa Polski i utrzymywać ducha w kraju; przy każdej dyskusyi przedłużyć nadal pomoce, wsparcia i opiekę rządową; i cóż w tem dziwnego, że kiedy część emigracyi skarbiła sobie tajne stosunki w widokach narodowych z Mazzinim, z Ledru-Rollin, Marrastem, Le Blanc etc. i z motłochem z przedmieściów, druga część w tych samych celach w wyższej strefie starała się pozyskiwać względy Palmerstonów, Stuartów, ministrów i deputowanych francuskich i Ludwika Filipa, a ogół emigracyi przemawiał do wszystkich, do całego kraju i krajów, gdzie tylko noga tułacza stąpiła.

Nie przeczę, że też nie uniknęli błędów i słabości w postępowaniu swojem niektórzy i z tej części emigracyi, która z osobistych stosunków powołaną była do działania w wyższych sferach i rządowych i dyplomatycznych; przyczynił się z nich może niejeden do bezpotrzebnych werbunków w Algierze i w Hiszpanii, podobnie jak demokraci przyczynili się do bezrozumnej wyprawy sabaudzkiej i do smutnego stanu, w jakim się znaleźli potem nasi emigranci w Szwajcaryi; nierozmyślnie też postąpili i niepraktycznie ci, co bez potrzeby, bez powodu, choć wolni od wszelkich osobistych widoków, ogłosili królem Czartoryskiego; kiedy na przekór, niemniej nierozmyślnie uczynili demokraci, ogłaszając rzeczpospolitą za jedyną formę rządu dla Polski. Mniej słuszne były skargi i szkalowania miotane na posłów naszych, członków sejmu ostatniego, podzielających z nami wygnanie; powiedzmy parę słów o nich.

W tem wewnętrznem usposobieniu i ruchu emigracyi, w owych trzech odcieniach, które wykazaliśmy, jakież miejsce zajmował, jakąż rolę odegrywał sejm nasz, prawna reprezenta-

cya narodowa, z której grona przeszło na tułactwo i znajdowało się z nami 8 senatorów i 44 deputowanych tak z Kongresówki, jakoteż z Litwy i ziem ruskich?

Nie masz wątpliwości, że gdyby była jedność i uszanowanie władzy w emigracyi, a wielka energia w sejmie, mógłby [on] zapobiedz wielu sporom i rozprzężeniu się, mianując w imię narodu i najwyższej władzy, już to z siebie, już z pośród samych emigrantów, komitet; znalazłby większość za sobą. Członkowie sejmu byli dobrzy patryoci; ich osoby były powszechnie szanowane, nie brakowało im na odwadze i zapale.

W istocie myśl zebrania się sejmu objawiła się od początku naszego przybycia do Francyi. Trzydziestu członków znalazło się w Paryżu w miesiącu styczniu 1832 r. Potrzeba było 33, żeby sejm był ważny. Odroczono otwarcie sejmu do czerwca, do listopada, czekając na przybycie trzech, czy czterech, którzy się ociągali z przybyciem; ledwo się zebrał komplet na początku 1833; ale natychmiast jedenastu członków zaniosło protestacyę i zerwało na zawsze obrady.

Krzyczano, żalono się na tę obojętność i niezgodę posłów naszych: obwiniano arystokracyę; mnie samemu wydawał się bardzo godnym nagany opór i opieszałość posłów do zawiązania się w radę nieustającą.

Ale uważmy naprzód, że jeśli chodziło o ustanowienie silnej i prawej władzy emigracyi, to potrzeba było o tem myśleć zaraz za przybyciem do Francyi. Stracono rok jeden na zbieraniu się członków sejmu, emigranci wybrali komitet jeden i potem drugi i nie oglądano się na sejm. Nie przyjęłaby już potem władzy nakazanej przez sejm emigracya, protestowałaby, a demokraci krzyczeliby na całą gębę, że się im wolność odbiera. Już i tak oskarżali oni posłów o duch arystokratyczny, królewski, posądzali o widoki osobiste, o przywłaszczenie władzy etc.

Cóż przytem za potrzeba była zebrania sejmu, jakież interesa miały być w nim przełożone? Chodziłożby o manifest do ludu, o protestacye? Jakąż doniosłość praktyczną miałaby ta protestacya? Jeżeli powstanie, wojna 10-miesięczna, wyjście z kraju 5-ciu tysięcy obywateli nie stanowiły *ipso facto* owej protestacyi; jeżeli cała czynność tego sejmu, dopóki obradował w kraju, odebranie korony Romanowom i potem opuszczenie

kraju przez posłów, ich tułactwo, nie były dostateczną manifestacyą na rzecz kraju przed oczami Europy, to bezsilne wcale pokazałyby się spory i obrady tegoż sejmu za krajem w Emigracyi. Mówiono o pożyczce, o układach z dworami etc. Wszystko to była fanfaronada. Są instytucye i wyrazy, z którymi nie można igrać jak z piłką. Sejm, to słowo, co przejmuje wielkiem uszanowaniem Polaka; w sejmach polskich zawiera się świetność historyi naszej od tylu wieków! Potężna ta instytucya więcej uroku miała zawsze dla naszego narodu, niż parlament i izby dla Anglików i Francuzów. Poruszyłyby się w grobach ciała tylu Wielkich Marszałków Koronnych i Litewskich, gdyby ostatnia izba senatorska i izba poselska miały obradować na bruku paryskim, pod okiem policyanta, narażone na to, by za pierwszą reklamacyą moskiewską, pruską, czy austryacką, pierwszy lepszy »sergent de ville« przyszedł rozwiązać je, a może naigrawać się z sejmu.

Sejm był wyższy nad całą emigracyę: był Polską. Bogu chwała, że go nie splamiono żadną płochością, żadnym postępkiem niegodnym.

Usposobienie religijne w Emigracyi.

Z tylu dobrych i prawych Polaków, którzy składali naszą emigracyę, mogę powiedzieć, że za przyjściem do Francyi nie znałem jednego, któryby się odznaczał z pobożności swojej i dawał z siebie przykład drugim; nie sarkano wprawdzie na kościół, nie szydzono z księży, nie bluźniono, ale bardzo mało mówiono o Panu Bogu, więcej o rewolucyi, bataliach, o błędach dowódzców i rządu narodowego, którym nadewszystko przypisywano upadek sprawy; mało księży polskich przyszło z nami, a i ci, zimniejszego charakteru, przyłączyli się zaraz do parafialnych kościołów francuskich i przy nich służbę pełnili.

Schodzili się wprawdzie wszyscy bez wyjątku, i tak nazwani arystokraci, i tak nazwani demokraci, i ci, którzy byli wolni od owych nazwań, na rocznicę naszego powstania (29 listopada) na mszę do grobu króla Jana Kazimierza w kościele St. Germain de Près i słuchali mszy z uwagą, przystojnie i smutno; przyklękali na podniesienie, i przeżegnał się każdy wchodząc i wychodząc z kościoła; ale żaden nie przyniósł z sobą

książki do nabożeństwa; ktoś obaczywszy, że Mickiewicz ruszał wargami, rzekł z zadziwieniem do drugiego: »Patrz, wszak doprawdy Mickiewicz mówi pacierze« — i nie chciano wierzyć.

Co gorsza, demokracya nasza poczęła wiązać się z Saintsimonistami, Fouryerystami, socyalistami, masonami i całą bezbożną gawiedzią paryską i dawał się przebijać w mowach, dyskusyach, dzienniczkach emigranckich ów liberalizm nieschludny, co powstaje na wszelką wiarę, a bardziej na wiernych i wierzących.

Tak było pierwszego roku emigracyi. Ale przy końcu roku i na początku drugiego poczęła się za łaską Bożą objawiać w niektórych, młodszych mianowicie, wychodźcach jakaś nowa dążność i nowe usposobienie.

Zbierali się dosyć licznie nasi Litwini i niektórzy z innych dzielnic Wołynia i Podola u Mickiewicza, a w jego rozmowie przebijał się duch katolicki i umiał on nas przenosić żywo i gorąco do domowych stron, do szlacheckiego, domowego życia, do naszych kościołków, odpustów, świąt i procesyi. Lubiliśmy go słuchać i powoli pobożność stawała się wybitniejszą cechą i przedmiotem rozmowy między nami, mianowicie tymi, co do naszego koła należeli. W tymże czasie wyszła 4-ta część »Dziadów« Mickiewicza[1]) i »Księgi narodu polskiego«.

Na drugim punkcie, znany ze słodyczy i umiarkowania charakteru swego Stefan Witwicki, pociągający ku sobie każdą szlachetną duszę, wywierał wpływ podobny, moralny, katolicki, między tymi, co go otaczali, między tymi, co uczęszczali do domu Ludwika Platera, którego cała familia znana była z pobożności. Wydał on natenczas mało, a potem daleko więcej czytaną książkę moralną »Wieczory pielgrzyma« i później »Ołtarzyk«, książkę do nabożeństwa, która się prędko rozeszła i upowszechniła między emigrantami.

Nie bez wpływu na drugich okazali się: wychowany w domu swej pobożnej matki, z Lubeckich Platerowej, Cezary Plater i wahający się jeszcze natenczas między światem a ołtarzem Aleksander Jełowicki, ktory potem został księdzem i wyszedł na wielkiego kaznodzieję.

---

[1]) Przez czwartą część »Dziadów« rozumie tu Domejko Cz. III-cią, której w istocie w porządku chronologicznym należałaby się taka nazwa. (Przyp. wydawcy).

W tymże czasie przejęty katolickim duchem Bohdan Zaleski ogrzewał bracią naszą swoimi nieśmiertelnymi hymnami i nie bez pożytku dla naszej emigracyi, nie bez wrażenia na nią było ukazanie się pięknej małej książeczki »Poselstwo z ziemi ucisku do synów jej w rozproszeniu« (Brodzińskiego). W pożyciu z wykształceńszą młodzieżą naszego wychodźtwa zbawienny wpływ na jej religijne zasady mieli p. Montalembert, młody par Francyi, tudzież jego nauczyciel, autor dzieła »Du dogme générateur«, l'abbé Gerbet[1]); niechaj im Bóg nagrodzi za wielką usługę, jaką przez to oddali Polsce.

Około tegoż czasu między zapaleńcami, którzy się już do najradykalniejszej demokracyi byli przyłączyli i popisywali się z niedorzecznemi mowami na zebraniach emigranckich, miotając skargi na kraj, księży i na szlachtę, znaleźli się choć nieliczni, którym prędzej dał Bóg upamiętanie i pokorę. Ci, aby uniknąć przykrości od swoich, najęli sobie mały domek ubogi niedaleko od Luksemburga i przenieśli się na życie, jakby klasztorne, i przyjęli dla siebie regułę dosyć ścisłą i surową. Zarabiał z nich każdy, jak mógł, ten uczeniem, ów pisaniem czy przepisywaniem, a własność była wspólna. Służyli jedni drugim, żyli najubożej, a przedewszystkiem nie wolno było zajmować się tem, co się w emigracyi działo. Modlili się, pościli, spowiadali się, przystępowali do stołu świętego i uczęszczali na kazania. Był to nowicyat, wypróbowanie siebie samych.

Najpierwszymi promotorami i pierwszymi członkami tego pobożnego zgromadzenia byli: Kajsiewicz, młody 20-letni oficer z dużą blizną od szabli pod okiem, dziwnie łagodnej i szlachetnej twarzy; Semenenko, syn Rosyanina[2]), z matki Polki, który przedtem niedawno bardzo uszczypliwą i radykalną był powiedział mowę a na nią demokraci tyle mu sypnęli oklasków, że z tych oklasków wziął miarę o głupstwie i niedorzeczności,

---

[1]) L'abbé Gerbet (1798—1864) szedł za Lamennais i był współpracownikiem w jego L'Avenir. Kiedy papież potępił Lamennais'go (15 sierpnia 1832), Gerbet go odstąpił. W r. 1853 został biskupem w Perpignan. (Przyp. wydawcy).

[2]) Właściwie Białorusina. O pochodzeniu Semenenki patrz u Smolikowskiego: »Historya Zgromadzenia Zmartwychwstania Pańskiego«. T. I, str. 58—60. (Przyp. wyd.).

jaką był popełnił; Duński, Hube. syn referendarza, Jański, były saintsimonista i kilku innych.

Niektórzy po wejściu wrócili znowu do światowego życia, nie poczuwszy się na siłach do samotności i rozpamiętywania. Dom ten jednak nie mógł się długo utrzymać. Kajsiewicz, Semenenko, Duński, Hube, uczuwszy w sobie powołanie do duchownego stanu, przywdziali sutannę. Dwaj pierwsi weszli do małego seminaryum, które jest przy kollegium Stanislas, a potem przenieśli się do Rzymu na wyuczenie się teologii i nauk kościelnych. Do nich się tam przyłączył Aleksander Jełowicki, i wszyscy niebawem wyświęcili się na kapłanów. Około r. 1841 czy 1842, jeżeli się nie mylę, Kajsiewicz, Semenenko i Hube otrzymali od O. Św. Grzegorza XVI. pozwolenie na fundacyę Ojców Zmartwychwstania i od czasu do czasu przyjeżdżali do emigracyi dla podźwignienia w niej wiary i katolickiego ducha.

Potem poczęli przybywać do emigracyi z kraju niektórzy księża i kaznodzieje znamienici, co niedzielę schodzili się emigranci na mszę do kościoła Assomption; słuchali kazań polskich, spowiadali się, a w wielki tydzień przystępowali do komunii. Dom Czartoryskich wszedł w ściślejsze stosunki z Rzymem i arcybiskupem paryskim.

Te ostatnie skutki religijnego postępu nastąpiły po mojem odjeździe do Ameryki. A zatem nie będę o nich dłużej się rozwodził.

VII.

Dalsze wyjątki z mojego dziennika w Paryżu.

Tak były nieporządne, niekompletne, przerywane moje notatki w dzienniku, który dla niezapomnienia po polsku i własnej rozrywki utrzymywałem w Paryżu, że z nich wyjątki tylko przytoczę dla odszkicowania czasu, w którym żyłem.

W 1832. — Otwarcie Izb.

Dziś król Ludwik Filip miał osobiście zagaić Izby. Nigdy w życiu nie widziałem mocarzy świata, nic więc dziwnego, że poszedłem obaczyć króla. O południu już wszystkie ulice i nadbrzeża między pałacem Tuilleryjskim a pałacem Bourbonów i wielki most królewski były przepełnione ludem i ledwo środkiem utrzymywała policya miejsce wolne dla przechodzących. Dwa rzędy żołnierzy, jeden liniowych, drugi gwardyi narodowej, uszykowały się pod bronią na całej drodze z pałacu do izby.

Udało mi się przesunąć przez tłum i stanąć na trotuarze między szeregiem żołnierzy i parapetem mostowym, na pochyłości mostu królewskiego od strony, gdzie się ten most spuszcza na przedmieście St. Germain. Miejsce to było jak nabite motłochem paryskim.

O godzinie 2-giej uderzono z dział w Hotelu Inwalidów: bębny, trąby, muzyka, komenda oficerów i gwar między gadatliwym ludem zagłuszyły wszystkich. »Le roi! Le roi!«.

Na przedzie szedł oddział piechoty liniowej, za nim grenadyerzy gwardyi narodowej, za nimi gwardya konna municypalna. Potem szła służba królewska w ponsowej liberyi, wielki

koniuszy; w karetach jechała królowa, jej córki i damy jaśniejące od brylantów — potem przerwa i na kilkadziesiąt kroków dalej ukazał się król na pięknym koniu w orszaku ministrów, marszałków Francyi i licznych generałów. Między nimi był Soult, Gérard, Lauban, Pajol i wielu innych sławnych wojaków z czasów Napoleona. Raziły oczy odbite promienie słońca od owej masy piór, haftów, orderów i wstęg, jakiemi jaśniały ich bogate mundury.

Górował nad wszystkimi we środku król-obywatel, za którego rok ledwo upłynął, jak się lała krew po ulicach paryskich; król dziecko kochane rewolucyi, dla którego obalono tron Kapetów i stare królestwo. Na niego wskazał Lafayette, jako na najlepszą z rzeczypospolitych. Syn Filipa Egalité nie chciał jechać po za ogrodem Tuilleryjskim przez plac de la Concorde (plac, na którym ścięto Ludwika XVI) i przez wspaniały most posągów (pont de Statues), choć tamtędy wjazd byłby wspanialszy.

Twarz króla była spokojna. Wysokiego wzrostu i dobrze zbudowany, odznaczał się figurą swoją kolosalną i co chwila podnosił kapelusz napuszony trzykolorowemi piórami i witał niem pospólstwo, choć okrzyki nie były bardzo liczne i wychodziły raczej z szeregów gwardyi narodowej, niż z gminu. Rodziła też zdaleka niedobre wrażenie głowa jego trójgraniasta. Szerokie faworyty i podniesiony tupet nad czołem dawały jej w istocie figurę g r u s z k i, a może się do tego wrażenia przyczyniła karykatura Filippona. Za zbliżeniem się jednak widać było dosyć szlachetne rysy na tej twarzy; oczy błękitne Bourbońskie, nos podłużny, czoło wyniosłe i w ogólności twarz uczciwego człowieka, dobrego ojca, dobrego męża, dobrego gospodarza, choć nieco filuta.

Orszak postępował zwolna. Okrzyki ponawiały się, ustawały i znowu wzmagały; jeszcze raz zajaśniał na najbardziej wyniosłym środku mostu i schodził (sic) spokojnie ku ulicy du Bac, kiedy nagle o parę kroków odemnie z tegoż samego trotuaru, na którym stałem, a ponad głową żołnierzy wystrzelono i kłąb dymu uleciał nad królem. Zawrzało jak w kotle w królewskim orszaku; skręcił się na miejscu biały koń Filipa i wkoło niego pocisnęli marszałkowie, ministrowie i mniejsze figury tak, że się zupełnie zmieszał porządek i nie można było rozróżnić czło-

wieka od człowieka, munduru od munduru; nastąpił momen ciszy i jakby strasznego oczekiwania.

Jednym razem wysuwa się z pod dymu król z podni sionym kapeluszem w ręku i ogromny wrzask »vive le ro odbił się o mury Paryża.

W tymże momencie pocisnęła się ciżba we wszystk strony, każdy uciekał i krzyczał »vive le roi!». Gwardya rz ciła się w stronę, skąd był wystrzał, — przyciśnięty byłem c mostowego parapetu tak silnie, że ledwo nie wrzucono mn do Sekwany. We dwa przeciwne prądy cisnął się za szeregar żołnierzy motłoch, jeden na dół w stronę, ku której umyk zabójca, drugi ku ogrodowi Tuillerowskiemu.

Trudno sobie wyobrazić, jaki to był popłoch i zamieszani jaki nacisk uciekających, co się spotykali z liczniejszym jeszcz tłumem ciekawych, cisnących się i pytających, co się stało. W winąłem się szczęśliwie a z ogrodowego tarasu widziałem jeszcz jak po za Quai d'Orsay postępował powoli królewski orsza a król kłaniał się na wszystkie strony, aż szczęśliwie dojech do Izby.

Nie uszła godzina, a już po całem mieście nie mówion jak o »horrible attentat contre le roi«. Złowiono wprawdz sprawcę, Bergerona i pannę Bourry, która miała w tem jak udział. Wytoczono sprawę przed sąd przysięgłych; Thiers b czynnym, i cała policya paryska dała dowody zręczności swoj w wyśledzeniu winowajców.

Cóż potem? gdyby ów haniebny zamach był wymierzon na jakiego rzemieślnika, toby nie poszła płazem oskarżonem ta niegodziwość. Czas i opinia publiczna były tak nieprzychyln królowi, że pomimo wszystkich dowodów, na jakie tylko mó się zdobyć adwokat rządowy, sąd nie uznał winnym Bergeron Dzienniki ogłosiły, że była to farsa wymyślona z namow Thiersa, aby mieć powód do ścieśnienia wolności druku. Kar katura i Charivari śmiały się z króla i z ministrów. Wystawian poświęcenie się Bergerona i panny Bourry; przedawano i darm rozdawano po ulicy ich portrety.

Postanowiłem odtąd nigdy nie wychodzić z domu na w dzenie królów, chociażby nie wiem jak popularnych i wyni sionych na tron wolą ludu.

Obchód pierwszej rocznicy listopadowego powstania (29 listopada 1832).

Gdyby Polak emigrant, rzucając kraj, mógł zostawić v domu złe skłonności i osobiste wady swoje, a nie miał nic nnego do zwalczenia jak zwyczajne niesmaki i gorycze, któ- ych na pielgrzymce, na cudzej ziemi, od swoich i od obcych udzi koniecznie doznawać musi; gdyby też opuszczając ko- haną ziemię począł był od skruchy i od obmycia łzami wła- nej winy, do jakiej każdy mniej więcej poczuwać się był po- vinien w chwili zwątpienia i upadku sprawy; oh! jakże spo- ojniej byłoby mu cierpieć bez gniewu, bez zawziętości na woich.

Największe zło, jakie miała do zgryzienia emigracya, było ło, które przynieśliśmy z sobą, zło domowe, nie zagraniczne; ło, które nigdy nas nie opuszczało, a szczególnie odnawiało ię w zbolałem sercu w rocznicę naszego powstania. Już od amego rana, co mówię, od wielu dni niektórzy z naszych go- owali się na zasmucenie braci swojej uszczypliwymi i ostrymi vyrzutami, niby to ujmując się za sprawę polską, zdradzoną straconą przez arystokratów.

Poczęliśmy jednak z Bogiem. O 11-tej zrana zebraliśmy ię do kościoła St. Germain de Près i tam przy grobie ś. p. króla naszego Jana Kazimierza, co po 40-letniem panowaniu marł pobożnie na obcej ziemi, ksiądz Skórzyński, emigrant, odprawił mszę świętą, na której znajdowali się dwaj prze- owie rządu, senat, izba poselska, byli ministrowie, generałowie z 500 emigrantów bawiących w Paryżu.

Słuchano mszy przykładnie; wszyscy stali jak wryci, przy- klęknęli na podniesienie, przeżegnali się po mszy, lecz jeszcze ksiądz nie doszedł był do zakrystyi, kiedy poczęli dzielić się na osobne grupy czy gromady, z których każda miała wyobra- żać jakieś stronnictwo narodowe.

Wieczorem przy tymże kościele w dawnem mieszkaniu Jana Kazimierza odbyła się uroczystość rocznicy. Sala była w polskie i trzykolorowe francuskie chorągwie przybrana. Dwa wielkie sztandary, przysłane od obywateli Stanów Zjednoczo- nych dla naszego wojska, rozpięte były nad krzesłem, prze- znaczonem dla prezesa komitetu, a dokoła wisiały portrety Ko-

ściuszki, Dąbrowskiego, Sobieskiego, jakoteż malowane orł nasze i pogonie.

Prezydował komitetowi zięć Lafayetta, pan Lasteyrie[1] a obok niego zasiedli wojewoda Ostrowski, pułkownik Zaliw ski i Dwernicki gen. Czekano na Lelewela i zostało miejsc jego próżne.

O szóstej godzinie uciszyło się zgromadzenie i poczęł od polskich przemówień, które choć ostre były i obraźliwe dl wodzów i naczelników rewolucyi naszej, poszły na wiatr jak niezrozumiałe od cudzoziemców. Kosooki przechrzta Czyńsk z niewypowiedzianą pogardą i dumą ujmował sławie i do bremu imieniowi wszystkich naszych patryotów, co kierowa ostatnią wojną naszą i rządem. Nikomu nie przebaczył a z każdy złośliwy przycinek odbierał oklaski. Głupi, szyderc uśmiech przechodził od ławy do ławy; bawiono się własner nieszczęściem. Wogóle osoby, do których były wymierzon owe szkalowania, nie były obecne.

Przed rozpoczęciem posiedzenia zapadła była zgoda na t aby dla uniknienia burd, komitet miał prawo rozdawać głos Nie wszystkim się ta zgoda podobała. Wchodzi rozdąsany ja do szynku jeden z demokratów nazwiskiem Saniewski i oskarż wojewodę, że mu głosu odmówił; potrząsa ręką i grozi. Pozwa lają mu czemprędzej mówić, słuchają, aż tu same oszczerstw brudy, skargi na szlachtę, na generałów, na oficerów, na pa nów, że kraj zgubili, że zdrajcy, że egoiści, tyrany etc.

Po nim chciwy oklasków i próżny Grzymała wypalił dług perorę przeciw szlachcie polskiej, ale że nie był ani tak śmiał ani tak uszczypliwy jak dwaj pierwsi, nie zrobił efektu.

Nie wiele też wrażenia na słuchaczach zrobiły mowy Za liwskiego i wojewody Ostrowskiego; pierwsza demokratyczn druga ni to ni owo.

O godzinie ósmej przerwano mowy polskie i wśród okrzy ków wszedł Lafayette. Zajął krzesło prezesa. Poważny, sławn wielkie imię, bo wielką była jego cnota! Jego oczami patrzył na nas więcej niż 60 lat wojen o wolność, krwawych rewolucy w których on odegrał przeważną rolę i zasłużył na imię oby

---

[1]) W autografie: Lasterie. Hrabia Lasteyrie du Saillant, publicyst agronom i filantrop francuski 1759—1849. (Przyp. wyd.).

watela dwóch światów. Jego widok powinien był nas pogodzić, powiązać, zjednoczyć, gdybyśmy nauczeni nieszczęściami, pamiętni na to, co kraj nasz ucierpiał i cierpi, sposobni już byli do zgody, jedności i wzajemnego szacunku.

Miał Lafayette na sobie mundur gwardyi narodowej warszawskiej, jako kiedyś mianowany pierwszym grenadyerem tej gwardyi. Zabrał głos, a jego wymowa słodka, prosta, ujmująca, okraszona była dawną dworskością i elegancyą francuską. Nazwał wojewodę Ostrowskiego naczelnikiem swoim (jako byłego naczelnika gwardyi warszawskiej) i kolegą, a Polaków bracią najbliższą jego sercu.

Im szczersze, umiarkowańsze i bardziej urocze były słowa Lafayetta, tem srożej ubodły nas nierozważne, dzikie i rażące od żółci, jaką przesiąkłe były, mowy francuskie naszych deklamatorów, co zaraz po nim głos zabierali. Odznaczył się między nimi niejakiś Krempowiecki, wierutny żydek z twarzy: czarniawy, przymilających się oczu, choć patrzący z podełba i zjadliwy jak żmija.

Miałem ja od dzieciństwa, nie taję się, chętkę do demagogicznych uniesień, nie lubiłem niemieckich baronów i dyplomacyi, wzdychałem do równości w obliczu prawa i do polepszenia bytu chłopów; a jednak, gdy wobec tysiąca cudzoziemców słyszałem Polaka, w czarnych kolorach malującego kraj nasz dla miłości niby chłopów, których mieszczanin Krempowiecki ledwo kiedy widział, a nigdy nie żył z nimi: kiedym usłyszał, jak ten dumny, zuchwały przechrzta malował Polskę naszą ciemiężącą lud i jak oskarżał rewolucye nasze o despotyzm, okrucieństwa i egoizm, wszystko to niby dla zdemokratyzowania Polski — kiedym obaczył, jak na te wszystkie niedorzeczności i zuchwałe szkalowania poklaskiwali nasi jakby na piekielnej uczcie; krew ścinała się we mnie, zimny pot wystąpił na lica, kryłem oczy, a wielu naszych uciekło.

Przez wiele nocy potem nie spałem i byłem jednym z tych, co nazajutrz podpisali adres do Lafayetta, protestując przeciw zasadom i opinii Krempowieckiego.

Pożegnał nas zasmucony Lafayette a w krótkiej, uprzejmej przemowie wyraził życzenie, abyśmy następną patryotyczną rocznicę naszej rewolucyi obchodzili w Warszawie.

10 stycznia. — Ogród Tuilleries. Wyprawa na Polskę.

Byłem na posiedzeniu towarzystwa litewskiego, które to towarzystwo, złożone po większej części z samych Litwinów i Wołyniaków, nie miało stałego celu i wkrótce się potem rozwiązało. Znudzony próżnymi sporami i gadatliwością kolegów, co pod rozmaitymi pozorami szerzyli niezgodę i rozterki, wyszedłem a za mną wyszedł Lelewel i zatrzymał mnie w przedpokoju. (Było to, jeżeli się nie mylę, w mieszkaniu Platerów przy ulicy Rivoli).

Tonem poważnym, dobitnym, a z właściwem sobie tajemniczem wejrzeniem zapytał mnie Lelewel, czy się widziałem z Zaliwskim? »Mało go znam« odpowiedziałem. »To źle, rzekł. Trzeba się do niego zbliżyć: czy nie masz kogo w kraju do ścisłych, bezpośrednich stosunków?«. »Od dawna nie mam listów z Litwy«. »To źle, czas upływa, działania stygną, kraj w ciężkiej potrzebie«.

Długo mi w ten sposób gadał w ogólnych wyrazach, jak gdyby szło o jaki nowy ruch rewolucyjny. Nie zrozumiałem go i rozeszliśmy się. Na schodach przyłączył się do mnie Michał Wołłowicz [1]), dawny mój przyjaciel i jeden z najenergiczniejszych i najszlachetniejszych powstańców litewskich.

Choć mroźno było i szronem był pokryty ogród Tuilleryjski, poprowadził mię do ogrodu Wołłowicz, mówiąc, że ma do mnie rzecz wielkiej wagi, ważniejszą od całej naszej przeszłości. Widziałem niezwyczajny w jego oczach zapał i jakieś przedsięwzięcie już ukartowane. Poszliśmy w stronę, gdzie nie było przechadzających się i tam zatrzymawszy się, rzekł:

»Idę do Polski; na wiosnę w całej Europie rewolucya, mamy komunikacyę z Moskwą i tam powstanie, każdy tymczasem powinien być na miejscu; 19 marca termin na Litwie, za kilka dni opuszczam Paryż — jedź ze mną«.

»Co też się tobie roi, Michale — odpowiedziałem — czy nie widzisz, jak Paryż dalekim jest od rewolucyi i jak mało na Francyę teraz rachować możemy, cóż dopiero na Moskwę, na«...

»Na siebie — przerwał — na lud nasz [2]), na siebie samych

---

[1]) W autografie tu i następnie: Wołowicz:

[2]) W autografie: na ludzie naszym.

tylko rachować możemy i powinniśmy; nie na panów, nie na dyplomacyę [1]), nie na obcych; a zresztą cóż nas tu czeka? jakaż przyszłość? próżniactwo, zwada, nieczynność; tymczasem naszych w kraju męczą, katują, wywożą na Sybir, wybierają rekruta. Rozdrażnione rekrutczyzną chłopstwo nasze, czegoż nie dokona, jeżeli mu damy wolność i własność ziemną, gdy je zrównamy ze szlachtą, co zaś do panów — to — ale co tam rachować na zimno: dosyć że co tylko dzielnego w emigracyi, w kim jest dusza, to pójdzie — daliśmy sobie słowo — i rzecz skończona. Zaliwski wodzem«.

Umilkł. Znałem dobrze Michała, że mu łatwiej wykonać najśmielszy czyn, niż komu o jakimś śmiałym czynie pomyśleć i że się rzuci na ogień choćby bez najmniejszej nadziei skutku. Żal mi go było; znaliśmy się z nim od dzieciństwa. Począłem mu więc otwarcie i wręcz przekładać, na jakie nieszczęścia narażają kraj swoją przedwczesną wyprawą; przedstawiłem mu lekkość i brak zdolności w Zaliwskim; jego szkodliwe przeciw szlachcie uprzedzenie i mylną rachubę na chłopów. Jeżeli w 80 tysięcy wojska musieliśmy broń złożyć i nikt nam nie pomógł, któż się dziś za nas ujmie, jakie państwo odważy się dziś iść nam na ratunek, po zniesieniu wszystkich naszych korpusów pozbawionym broni, amunicyi i wszelkich wojennych zasobów.

Długo mię słuchał Wołłowicz uważnie i zimno; potem zimniej jeszcze rozbieraliśmy następstwa i trudności wyprawy, stan wysilenia kraju, przecięte komunikacye etc.

»Ledwo kilkunastu was dojdzie i odniesie chwalebną śmierć, a dacie powód Moskwie do większego jeszcze udręczenia, niż to, jakiego się dziś dopuszcza«.

»Prawda — rzekł — być może kilkunastu dojdzie i zginie, ale każdy choć po jednym zabije Moskalu i pokaże, że nie przez bojaźń śmierci złożyliśmy broń w Prusiech i Galicyi — ale przez niedołęstwo wodzów. Zresztą damy poznać naszym, że Polska powstaniem tylko ludu bez broni i amunicyi odrodzi się. Choćbym też sam jeden miał dostać się do Polski, do Litwy, to dojdę, powieszą mnie, a moją śmiercią zagrzeję duch stygnący w narodzie«.

Milczeliśmy potem, przechadzając się pod odartemi z liści

---

[1]) W autografie: nie na panach, nie na dyplomacyi.

drzewami. Po chwili znowu Michał: »A cóż proszę za korzyść dla Polski z waszego tu pobytu? Naigrawać się z was będą, osadzą wami fabryki swoje i rękodzieła, wymawiać wam będą, że jesteście ciężarem; pisma wasze i druki zbutwieją, a wy po szpitalach umierać będziecie; gdy tymczasem widzisz, jak to miło za kraj umrzeć, na swojej własnej ziemi, na Litwie ach! Ignacy, nie bądź głupim, chodź ze mną, potem będzie za późno — pozazdrościsz szubienicy mojej«.

Ścisnął mnie za rękę i jeszcze raz spojrzał tak ostro, że duszę, jak nożem przebódł. — »Do jutra — rzekł — do jutra«.

W parę dni potem, gdyśmy się zeszli i z tąż samą zimną rozwagą rozbierali trudności i niebezpieczeństwa wyprawy, rzekł w wylaniu się przyjacielskiem:

»Jednej się rzeczy wstydzę, wierz mi, oto biorę truciznę z sobą i nóż, który może kiedyś na siebie obrócę; bo któż może być pewien sił swoich, że tortury wytrzyma; iluż to ojców familii i ich synów los na mnie spoczywać będzie? Gdy mnie złowią, gdy na męczarnie pociągną, zgroza pomyśleć, że przy osłabieniu mógłby wróg z jakiej bolącej żyły wycisnąć słowo jakie nieostrożne, albo łzę w męczarni«.

Kiedym go zapytał o Przecławskiego, który czasu wojny towarzyszył mu w misyi na Litwę i zdawał się być pochopnym do śmiałych i patryotycznych wypraw, powiedział mi, że tą razą Przecławski nie dotrzymałby mu kroku; wróciłby z drogi, a w drugich oziębiłby ducha.

Miał Wołłowicz na Litwie swoją narzeczoną, piękną jak anioł; kiedym mu o niej wspomniał, zasmucił się głęboko.

»Ty się z nią gdzieś na puszczy obaczysz, rzekłem, a może w jakim żubrowym ostępie obchodzić będziesz wesele«.

Na to zaledwie skinął mi głową, jak gdyby chciał powiedzieć, że się i to dla niego skończyło.

»Nieprędko ją obaczę, rzekł, zapewne nigdy« — i począł udawać, że go nigdy bardzo nie zajmowały kobiety. (Wiadomo, że schwycony w majątku swego krewnego w grodzieńskiej gubernii, cierpliwie wytrzymał męczarnie, nie uciekając się do noża ni trucizny, nikogo nie skompromitował i spokojnie poszedł w grudniu pod szubienicę, którą był sobie wyprorokował).

W kilka dni po naszem widzeniu się znikł Wołłowicz z Paryża, nie pożegnawszy się z nikim. Jednocześnie dwudziestu

kilku takich jak on zapaleńców różnemi drogami, każdy pod obcem imieniem i za fałszywym paszportem, ruszyło przez Niemcy do Galicyi. Ostatni też pociągnął za nimi Zaliwski z młodym Dmochowskim, zostawiwszy w Paryżu młodą żonę i dwoje małych dzieci, nad któremi powierzoną miałem opiekę i której głównym protektorem oświadczył się być gen. Lafayette. Pietkiewicz i ktoś drugi wyjechali też za nimi do Drezna, gdzie powierzony sobie mieli obowiązek utrzymywania komunikacyi między wspomnianymi emisaryuszami i emigracyą.

Przez długi czas nic nie było można usłyszeć o nich. Ledwo połowa ich przedarła się do kraju, a tegoż samego roku Zawisza znalazł śmierć w Warszawie, Wołłowicz w Grodnie.

Zaliwski pozostał w Galicyi; krył się po wsiach, czekając jakoby na organizacyę powstania, któremu powinien był sam przewodniczyć. Kompromitował tymczasem i narażał na prześladowania rządowe wielu obywateli, u których ukrywał się, a na których nie przestawał skarżyć się w swoich tajnych korespondencyach, oskarżając o bezczynność panów naszych, szlachtę i arystokracyę. Co gorsza, on i, jak się zdaje, niektórzy z tych, co się z nim bez wyraźnego celu kryli, nie wstrzymywali się od propagandy chłopskiej przeciw panom i Bogu tylko wiadomo, o ile się przyczynili, w pomoc Meternichowi, do rzezi galicyjskiej.

W korespondencyi, którą w tym czasie utrzymywałem z Pietkiewiczem, są szczegóły, które w istocie niewiele sławy przynoszą wodzowi, gotującemu się zawczasu na dyktatora Polski.

Po kilkomiesięcznem wałęsaniu się i chowaniu się po rozmaitych folwarkach w Galicyi, przyszło w końcu do tego, co łatwo było przewidzieć, że wyszpiegowany od policyi austryackiej i wzięty do fortecy, odpokutował Zaliwski długoletniem więzieniem swoją nierozmyślność.

Odtąd lękano się w kraju emisaryuszów, jak złego ducha, nie dowierzano im, a ostygła w naszych wychodźcach chętka do nierozmyślnych wypraw.

Izba deputowanych francuska.

Gdyby szczęście narodu zależało od krasomówstwa w obradach reprezentacyi izbowej, żaden naród nie powinienby być

szczęśliwszym od Francyi za Ludwika Filipa. Zaraz bowiem po wyniesieniu go na tron wyszli na popis w obu Izbach prawodawczych i w ministeryum mowcy i uczeni tak znakomici i tylu ich odrazu, że trudno będzie kiedykolwiek innym państwom zdobyć się na coś obfitszego w tym rodzaju.

Tu albowiem zajaśnieli współcześnie na trybunie: Guizot, Thiers, Dupin (ainé), Argout[1]), Molet, Lafitte (z doktrynerów); Berrier, Fitzjames i inni (z legitymistów); Montalembert, Falloux (z katolickiej szkoły) i niemało liberalnych: Carrel, Garnier Pagès, Marrast, Cavaignac, a przy lewicy zaś umiarkowańszej zabierali głos: Lamartine i stary przedstawiciel zasad 1789 r. Lafayette.

Nic więc dziwnego, że z wielką ciekawością poszedłem dnia jednego zwiedzić Izbę deputowanych dla widzenia tych wielkich oratorów, którym powierzony był los nietylko Francyi, mającej wpływ przeważny na politykę europejską, ale i los, jak się zdawało, pognębionych a szukających jej protekcyi ludów.

Sala ogromna w kształt półkola; siedzenia deputowanych jak w uniwersyteckich aulach czy w olimpijskim cyrku, podnoszące się w kształt amfiteatru; u góry loże dla spektatorów, u dołu miejsca ministrów; we środku na podniesionym tronie prezes, a przed nim, nieco niżej, z twarzą obróconą do deputowanych i publiczności, mówca.

Wielkie z początku wrażenie zrobił na mnie ten widok reprezentacyi narodowej, która przypisywała sobie prawdziwą potęgę »de la souveraineté du peuple«. Sesya była liczna i interesująca, prawie wszyscy więksi oratorowie głos zabierali.

Ale po chwili rozczarował mnie widok starszego Dupina, prezesa; twarz i wejrzenie tak suche, głowa jakoby przypłaszczona, w ruchu i przemówieniu coś szyderczego, obraźliwego. Natychmiast przyszło mi na myśl, co powiedział, gdy chodziło o działanie na zewnątrz Francyi i jej wyższe cele: chacun chez soi, chacun pour soi (mówią, że właściwie jego słowa były: chacun son droit).

Wszedł na mównicę Thiers: istny kuglarz, mały, z zadartą głową, gęba duża, małe za okularami oczy, nos jak koma, ręce

---

[1]) Zapewne hr. d'Argout, minister spraw wewnętrznych w roku 1833. (Przyp. wyd.).

i ramiona jak skrzydła u wiatraka, głos chrapliwy, donośny, nieco cienki: — słowa jak kartacze posypały się i była cichość nawet na lewej stronie; tak umiał opanować uwagę niesfornej publiczności.

Za nim ukazał się na trybunie Berrier: twarz szlachetniejsza, poważna, rysy wydatne, spojrzenie razem bijące do serca i do umysłu; wysoki, nieco rubaszny, miał głos donośny, jędrny; zakrawał jakby na jakiego z naszych trybunałów mecenasa.

Niezbyt pochlebnie odbijał od niego Garnier Pagès, odwołujący się do czysto liberalnych zasad, nudny, bez wielkiego uniesienia i jak gdyby sam nie bardzo wierzył w to, co mówił. Po nim przemówił Odillon Barrot, umiarkowańszy w zasadach i w wyrazach, znany przyjaciel nasz i obrońca. Oba wielcy adwokaci mówili jakby przed sądową kratą, a byle frazes mniej przychylny rządowi głuszyli ich bijąc po ławkach drewnianymi nożami i wołając: allons donc! allons donc! deputowani ze środka, stronnicy rządowi.

Uciszył Izbę krótkiem przemówieniem Guizot, którego twarz bardziej niemiecka niż francuska, wysokie czoło,ton mowy umiarkowany, język poprawny, frazesa dobrze ułożone, a nadewszystko wielka logiczność i nieprzesada, przedstawiały obraz człowieka myślącego, filozofa bardziej, niż polityka.

Chodziło nie pamiętam dobrze o co; ale wiem, że w owej długiej dyskusyi zadraśnięto nas, emigrantów. Posunął się tedy do trybuny stary Lafayette i gorącemi, serdecznemi słowami ujął się za sławą naszą, dowodząc, że Polacy nie są wychodźcami szukającymi bezpieczeństwa i chleba we Francyi, ale prawdziwymi sprzymierzeńcami Francyi (nos alliés), którzy obronili Francyę od wojny i bronili praw swoich i praw ludzkości, że zatem Francya obowiązana jest wspierać emigracyę nie przez miłosierdzie (pas par charité) ale z politycznych widoków i z wywiązania się za usługi, których doznała od Polaków.

Nie dano mu dokończyć. Nietylko środek Izby (le ventre), ale i część prawej strony zagłuszyła poważnego weterana swojemi »allons donc« i biciem po papierach drewnianymi nożami. Zeszedł Lafayette, opierając się na synie swoim Grzegorzu i na zięciu, panu Lasteyrie.

Nie wróciłem odtąd do Izby, o której sklepienia obiły się bez wielkiego oburzenia owe pamiętne słowa Sebastianiego:

»l'ordre regne à Varsovie« i gorsze po tysiąckroć koncepta Thiersa: »On ne ressucite pas les morts. La Pologne est destinée à périr«.

Była to wielka szkoła gadatliwości i dumy, ta Izba; jednak wiele w niej do nauczenia się mieć będą Polacy, jeżeli Bóg dozwoli odzyskać nam sejmy nasze i narodowość.

Bal republikański (19 marca).

W tym roku tak się już było zaludniło więzienie S-te Pelagie republikanami pod rządem króla bourgeois, że nim do czego lepszego nie przyjdzie, postanowiono dać bal na wspomożenie przytrzymanych w tem więzieniu. Rozumie się, że bal był republikański, na którym miały odnowić się pamiątki, stroje, obejście się z czasów terroryzmu robespierrowskiego. Bilet kosztował tylko 20 sous i każdemu wolno było wejść na bal, wyjąwszy służących partykularnych i lokajów. Przeciwnie służący z hotelów, garsoni z kawiarni, nawet szyffonierzy byli zaproszeni, jak gdyby służyć publicznie wszystkim było mniejszą służbą, niż służyć jednemu na osobności; jak gdyby despotyzm wielu był znośniejszym i mniej poniżającym, niż despotyzm jednego.

Miejsce na bal wybrano w sali Voksal[1]) na przedmieściu Śgo Antoniego; prawie cała nasza Polonia posypała się na to widowisko.

U wejścia mnóstwo zapaleńców w ponsowych i białych rogatych à la Marat kamizelkach z trzykolorowemi kokardami przyjmowało gości, a co słowo to: citoyen, citoyenne!

W dolnych salonach były grupy brudniejszych sankiulotów, którzy przy kuflu traktowali się wzajemnie tymiż tytułami citoyen, citoyenne, jak gdyby temi słowami z czasów terroryzmu gminnego usiłowali wywoływać duchy owych potwór obryzganych krwią i bezbożnych. Była tam na dole sama demokratyczniejsza demokracya, mniej zaś demokratyczna tańczyła na górze.

U wejścia do górnych salonów przyjmowali wchodzących

---

[1]) Vauxhall, niegdyś wioska koło Londynu z parkiem dla zabaw publicznych. Nazwa ta i w innych miastach przyjętą była dla miejsc przeznaczonych na zabawy. (Przyp. wyd.).

ludzie okrzesańsi; nieco łagodniejszym tonem i ciszej powtarzali citoyen, citoyenne, a w ich stroju było więcej kokieteryi republikańskiej i więcej elegancyi. Galerye były zajęte przez klasę nie mniej liberalną, ale stanowiącą jakoby coś lepszego, dającą ton dla tych, co się nie chcieli mieszać do ogółu i woleli być tylko widziani, a i tam łatwo było upatrzyć koterye i odcienia naśmiewających się.

W tańcu zawsze ci sami Francuzi: skoczni, zalotni, weseli, sposobni biedz od kontredansa do burdy, dowcipkujący tak z siebie, jak z drugich, kobiety po większej części szwaczki, praczki, pokojówki były przybrane w ponsowe czapeczki frygijskie, ponsowemi szarfami przepasane i nie szczędziły tytułów: citoyen, citoyenne w rozmowie.

Na słupach czytano: ktoby nierozważnem słowem chciał wywołać rozruch lub obrazić rząd, uważany będzie za nieprzyjaciela wolności.

Cavaignac, redaktor Trybuny, był głównym gospodarzem balu i strzegł porządku, aby nie dać najmniejszego powodu policyi do wmieszania się do zabawy.

Nie była to jednak zabawka niewinna: między okrzesańszą jaskrawą, w białe i czerwone kolory przybraną publicznością snuły się mniej grzeczne postacie istnych sankiulotów w ponsowych długich grubych czapkach, które im do pasa w tył spadały, czerwonemi zakończone kutasami, a kokardy na ich czapkach nie były trzykolorowe, ale okrągłe czarne z białem: godło krwawych momentów. Nie dobrze im z oczu wyglądało, choć bardziej milczący byli od drugich i przechadzali się, nie szkodząc nikomu.

Przechadzali się też po sali sensymoniści w swoich artystycznych czerwonych strojach, jak aktorowie na teatrze; a jak się tu oni znaleźli w styczności z wielbicielami Marata, Dantona, Robespierra, tego nie łatwo wytłumaczyć.

Muzyka wciąż grała skoczne i zalotne tańce: bawiono się, jak za dobrych czasów; a jednak było tu *rendez-vous* tajnych towarzystw i konspiracyi, klubów i szpiegów, pochlebców rządu i ambitnych trybunow. Zabezpieczonym być sądzili doktrynerzy tron Ludwika Filipa, dopóki przeważna większość w Izbach, sztucznie choć legalnie uzbieranych, zabezpieczała jemu i jego dynastyi panowanie. Tymczasem na dnie narodu poczynało

wrzeć nieukontentowanie, a świeże tradycye rewolucyjnego szału ośmielały i niepokoiły lud, zawsze skory iść na usługi ambitnych, jeżeli go nie zagrzeje wyższy jaki cel: miłość ojczyzny i sława.

Ronty nieustannie przeciągały po ulicy: żandarmerya była czujną, obywatelstwo balowe coraz gwarliwsze i weselsze. Zaledwo północ wybiła, zabrzmiała marseillaisa i zaraz poczęliśmy się rozchodzić, my, Polacy, bo nas policya miała szczególnie na oku.

Taran i Voban.

Z tytułu wniesie niejeden z czytelników, że będę mówił o Francuzach; bynajmniej: Taran i Voban były to dwa obozy emigranckie, który przez czas niejaki poróżniły emigracyę i ją kłóciły niemiłosiernie.

Już wyżej wspomniałem, że Lelewel i jego komitet zwoływał emigracyę polską na narady do sali położonej pod Nr. 12 przy ulicy Taranne. Mała to była uliczka, krótka i przy niej stał niewielki dom, w którym dość obszerna sala była miejscem zbierania się wielu bardzo towarzystw sekciarskich, posiedzeń, odczytów publicznych i prywatnych. Zawiadował ową salą i miał ją do rozporządzenia według swojej woli jakiś P. Casim [1]), przyjaciel nasz, ale też przyjaciel wszystkich reform i nowości politycznych, religijnych, socyalnych i naukowych. Był to człowiek dziwnie potulny, łagodny, grzeczny, cichy, zdawało się, jakby najspokojniejszy z ludzi, a był może za wszelkiem wzburzeniem, niepokojem na tym świecie. Podobny był pod tym względem do P. Julien de Paris, którego znałem w Paryżu, a który był za czasów najkrwawszego terroryzmu sekretarzem prywatnym Robespierra. Był p. Julien tak łagodnym z pozoru, tak tkliwego serca w obejściu się, że rzekłbyś, iż nie miałby odwagi pchły na nieprzyjacielu zabić; któż jednak obliczy, ilekroć razy gilotyna na jego skinienie grała i ile śmierci z pod jego pióra zionęło. P. Julien niskiej urody, głowa bielutka od

---

[1]) Mowa tu zapewne o panu Cassin, generalnym agencie Komitetu centralnego francusko-polskiego. Por. L. Gadon: Emigracya polska T. II, str. 10.

starości, nieco schylony i nudny, napisał dzieło: »De l'emploi du temps«, którego nikt nie czyta, bo bardzo nudne.

Owoż wracając do swego, rozgościł się był jak na swoim zagonie nasz komitet lelewelowski i co kilka dni szły inwitacye od Lelewela na posiedzenie tak nazwanego ogółu, na których uchwalano odezwy do ludów, nawet do Moskali, manifesta i organizacye; zdawano sprawę z komunikacyi dość licznych z zakładami po prowincyach i miano się naradzać nad kwestyami bardzo ważnemi dla przyszłej Polski. W ogólności zaś rzadko przyszło do rezultatu, tak byli kłótliwi i skorzy do dyskusyi nasi.

Jednego wieczora, kiedy było ze dwieście naszych na Taranie pod prezydencyą gen. Sierawskiego, weszli na sesyą, Kamiński, Mochnacki, I. B. Ostrowski i wielu innych demokratów i zarzucali ogółowi, że obraduje nieprawnie, że jest pod wpływem arystokracyi, że nie ma misyi legalnej i t. d. Wyłajano Mochnackiego i Ostrowskiego; sesya była burzliwa i trwała do późna. Odtąd wielka część naszych przeniosła się na obrady do hotelu Vauban przy ulicy Saint Honoré i tam partyzanci Umińskiego i Mochnackiego, Vaubanistami przezwani, wezwali delegowanych z zakładów do obioru nowego komitetu. Nie tracąc czasu, nowy urządzono komitet pod prezydencyą Dwernickiego i nową radę paryską pod przewodnictwem Łagowskiego.

Nie przeszkadzało to jednak Taranistom do rozbierania nowych zasad, urządzeń, ustaw i praw nietylko dla emigracyi, ale i dla przyszłej Polski. Zrazu dyskusya szła żywiej, lecz wkrótce słabnieć zaczęła. Zdrowszy rozum i praca, którą każdy, kto mógł, zajął się dla zabezpieczenia, upamiętały większość emigracyi. Jeszcze w lutym 1834 r.[1]) schodzili się choć w małej liczbie niektórzy z naszych do Taranu. Vaubaniści prędzej zamknęli swoje narady. Wygnanie z Paryża Lelewela, Hłuszniewicza, Konst. Zaleskiego i innych dobiło do ostatka spory emigracyjne; komitet Dwernickiego trwał dłużej.

Grignon. — Wyścigi oraczów (7 lipca).

Nadeszło lato. — Odżyła w litewskiem sercu tęsknota do naszych żniw i sianokosów, do owych pieśni żniwiarek naszych, którym nic nie dorówna w uroku na naszych rozległych

[1]) W autografie mylnie: 1854 r.

polach, tak urozmaiconych w płody i zmieniających barwy swoje z każdą porą roku. Tu mury paryskie i zgiełk zawsze te same, ta sama zawsze próżność, ambicya i duma ludzka, albo próżniactwo i roztargnienie.

Jednego dnia, kiedy patrząc na bawiące się w Luksemburskim ogrodzie dzieci, myślałem o kraju, słyszałem Francuzów rozmawiających o mających nastąpić nazajutrz w Grignon (o 7 lieues od Paryża) uroczystościach rolniczych. Miały to być, jak zapowiedziano, popisy czyli wyścigi (concours) oraczów. Wyścigi oraczów! wyścigi na pługi! Co też to za fest? Od wyjazdu z Zapola prawie nie widziałem oraczów przy robocie, a jeżeli widziałem, to z roztargnienia nie zwróciłem ku nim uwagi.

O świcie więc nazajutrz wyszedłem z Carrefour de l'Observatoire i o południu przyszedłem do Grignon, zatrzymawszy się tylko na moment w Wersalu dla posilenia się.

Ja sobie wyobrażałem, że obaczę coś podobnego do naszych morgów, naszych soch i oraczy, siermiężnych chłopów naszych pracowitych, a może i wójta i ekonoma; aż tu widzę pół Paryża: prezes Izby deputowanych, minister, gwardya narodowa, mnóstwo panów, hrabiów, książąt etc. Huk, bębny, muzyka. Na roli, gdzie miano ubiegać się o pierwszeństwo, było kilkanaście przepysznych par wołów i tyleż rozmaitej formy pługów. Przypatrywali się im z ciekawością Paryżanie, a byli też na ustroniu ludzie, którzy ze stroju i z układu zdawali się należeć do klasy rolniczej.

Mer, rada municypalna i wielu znawców należało do wyboru sądu przysięgłych (jury), których obowiązkiem było dać sąd i oznaczyć warunki, pod którymi miały się odbyć owe popisy.

O trzeciej dano znak i ustawiono na zagonach pługi, każdy pod numerem i nazwaniem właściciela i wsi, z której pochodził. Uderzono w bęben: wystąpili we frakach oracze dobrze i pięknie ubrani; zrzucili fraki i każdy stanął przy swoim lemieszu. Raz jeszcze uderzono w bębny i puściły się w zawód, porząc czarnoziem aż miło, dobrze kierowane pługi. Chodziło o to, kto prędzej i lepiej wyorze naznaczoną mu rolę i czyje woły będą mniej zmęczone.

O zachodzie słońca stanął na polu sąd przysięgłych i obej-

rzawszy dobrze robotę, woły i zoraną rolę, mając na względzie czas, w którym każdy z oraczów stanął u kresu — ogłosił wyrok i dał pierwszeństwo pługowi p. Grange z Nancy. Pług kosztował 160 franków, sam ciągnął się prawie bez żadnej trudności i wysilenia się oracza, tylko na zawrotach potrzeba było go podnosić. Miano też na względzie głębokość skiby i równość w wyoraniu etc.

Tu się pocisnęli Paryżanie; znowu muzyka, wrzask paryski. Późno wieczorem wróciłem z concours do Paryża, nie bardzo zadowolony z owej fety rolniczej, która bardziej do jakiego widowiska na bulwarach i do komedyi była podobną, niż do naszych cichych, gospodarskich robót; nie mogłem jednak nie uznać zasługi, jaką oddają ludzie wysoko położeni w kraju, swojem opiekowaniem się nad rolnictwem i udziałem, jaki biorą w jego postępie i udoskonaleniach.

La Grange. W gościnie u gen. Lafayette (pierwszych dni września).

Było to z powodu zajęcia się składką dla żony i dzieci Zaliwskiego, że gen. Lafayette, chcąc o tem pomówić ze mną i przynieść jaką dla nich ofiarę, zaprosił mnie do siebie na wieś do swego majątku La Grange, znanego z gościnności i gospodarki.

Pojechałem do niego z p. Józefem Zaleskim, bratem stryjecznym Bohdana[1]) i przybyliśmy do Lagrange wcześnie przed zachodem słońca. Jesienny kolor pól i gajów, świeżo zebrane żniwa i przygotowana rola do usiewu obudziły w obu nas gospodarzach miłe i smutne wspomnienia. Zapominaliśmy, że jedziemy do człowieka sławnego w dziejach rewolucyi amerykańskiej i francuskiej, ostatniego z promotorów i wielkich świadków wstrząśnienia 1789 r., pierwszego i ostatniego naczelnika gwardyi narodowej francuskiej, obywatela dwu światów.

Lagrange nie podobne jest do naszych dworów i majątków. Zajechał nasz powóz i stanął przed zameczkiem (château), który z wejrzenia raczej był podobny do rezydencyi jakiego barona, czy markiza, niż nowego liberalisty. Wejście do zamku nieco smutne, nie okazałe, nie widać było dworzan ni lokajów.

[1]) Właściwie dalekim krewnym. (Przyp. wyd.).

U wejścia na dziedzińcu stały dwie harmatki, które miasto Paryż darowało generałowi pierwszych dni rewolucyi lipcowej. Po chwili wyszedł stary służący i zaprosił nas do pokoju. Przechodząc przez salę jadalną i inne dwa salony, widzieliśmy zawieszone na ścianach adresy Stanów Zjednoczonych z czasu ostatniej podróży Lafayetta do Ameryki i z epoki wojny o niepodległość — portrety Washingtona, Franklina, Kościuszki, pamiątki ze wszystkich prawie rewolucyi, które od pół wieku świat niepokoją.

W ostatnim pokoju dosyć przestronym, bogato przybranym, przyjął nas generał ze szlachetnem ujęciem, które łączyło w sobie dawną arystokratyczną okrasę i powagę z prostotą, z uprzejmością gospodarza domu i nieudaną serdeczną grzecznością.

Siedziały na sofie dwie wielkiego tonu panie, córki generała, margrabine Latour-Maubourg i Lasteyrie, te same, które, jeśli się nie mylę, podzielały z ojcem swoim austryacką niewolę. Przy Lafayecie siedział syn jego Grzegorz, istny szlachcic sejmikowy polski: łysy, gruby, zawołany gospodarz, republikanin i wielki nasz przyjaciel. Opodal stał młody Lafayette, wnuk Lafayetta, niedawno co przybyły z wyprawy portugalskiej, na której towarzyszył królowi Don Pedro i młodej Maryi da Gloria: był ranny, blady, milczący i nie brał udziału w rozmowie. Na środku pokoju bawiło się na ziemi dwoje małych dzieci, dziwnie pięknych i zabawnych: córeczki Grzegorza.

Po chwili weszła księżna Belgiojoso [1]), młoda, bogata, sławna z rozumu, dowcipu i piękności, żona emigranta, bardzo liberalna, chociaż z powierzchowności bardziej na sentymentalną romansową i dworską damę, niż na rewolucyjną heroinę wygląda. Stary generał przyjmowal ją, jak przystało na markiza z dworu Ludwika XVI i jak przystało na obrońcę i protektora wszystkich narodowości i spraw popularnych. Generał był ubrany, jak godzina wieczornego przyjęcia wymagała, w czarnym fraku i białym krawacie, a całe towarzystwo stosowało się do tejże etykiety. Rozmowa toczyła się dosyć żywo i przyjemnie; z równą łatwością przechodzono od dworu Ludwika Filipa do klu-

---

[1]) W autografie: Belgiosi. Księżna Belgiojoso była to głośna w swoim czasie patryotka i publicystka włoska 1808—1871. (Przyp. wyd.).

bów, od literatury romansowej do historycznych faktów, jak od Izb do Ste Pélagie, od stolicy do wiejskich zabaw, od Polski do Stanów Zjednoczonych, od Lombardyi do Syberyi.

Przyjemna to nader owa salonowa konwersacya ogólna, która bawi i nietrudzi umysłu, nie obraża osobistości, nie uchybia nikomu, nie potrąca o żadną strunę zbyt brzęczącą. Taką też była ta rozmowa wieczorna, ale wśród niej miałem tylko na uwadze, co mówił, i na oku, przedstawiciela, świadka i wspólnika dwóch największych rewolucyjnych wstrząśnień na dwóch połowach ziemi.

Około 10-tej odeszły damy i wkrótce zaprowadzono nas dwóch do gościnnego pokoju, gdzie służba była jak u nas.

Sen nie przycbodził na zawołanie. Myśl, że nocuję w gościnie u Lafayetta, obudziła tysiące wspomnień rewolucyjnych, walący się tron Kapeta, konwencyą i jednoczesny zabór Polski; [wszakże ten] człowiek w młodości był markizem na dworze Ludwika, a przeżył rzeczpospolitę, cesarstwo, restauracyę i sili się na starość podpierać konstytucyjny porządek w opozycyi z nowym królem i samolubnym jego ministrem i doktryną. Gdyby nie owe zmiany i wstrząśnienia, byłby ten cichy, skromny zameczek rezydencyą magnata, opływającego w dostatki i dygnitarstwa. Złączony z domem Noaillów, margrabia byłby otoczony tłumem pochlebców, głaskany od króla i jego dworaków. Dziś ledwo kto zajrzy do jego komnaty: syn przeszedł na gospodarza, a dostojne córki, też jak on rozbitki fortuny, są ostatnią dla sędziwego ojca pociechą.

Nazajutrz rano była msza w zamkowej kaplicy; potem około 10-tej śniadanie, na którem damy były w rannym stroju, generał dosyć elegancko w czarnej tużurce (sic) zabawiał księżnę Belgiojoso; rozmowa była dosyć zajmująca, choć nie wesoła. Po śniadaniu Lafayette poprowadził młodą a piękną księżnę do ogrodu i towarzyszył jej z całą dworskością francuską i szlachetną bez przesady grzecznością; tylko od czasu do czasu widać było w nim chód niepewny, nieco chwiejący się. Księżna zaproponowała wrócić do pokoju z przyczyny gorąca.

Poszliśmy oglądać gospodarstwo w Lagrange i piękną mleczarnię, gdzie stoły i ławy marmurowe, naczynia z białego fajansu i wielka czystość, jakoby w salonie, dawały poznać, że stary generał sam miał upodobanie w tej robocie, która zbyt

różniła się od naszych folwarcznych mleczarni. Widzieliśmy też piękne krowy, drób i niewielkie tłuste wieprze amerykańskie; wszystko dobrze i starannie utrzymane.

Na pożegnanie przyjął nas generał w swojej bibliotece. Mówiąc o p. Zaliwskiej i jej dzieciach wyraził się z wielką otwartością, że ich los zajmuje go bardzo, i że żałuje bardzo, iż nie jest w stanie być im pomocą, jakby sobie życzył; ale — dodał — pojadę w kilka dni do Paryża i spodziewam się, że będę mógł przesłać pani Zaliwskiej »une centaine de francs«. Wistocie wkrótce uiścił się ze swego przyrzeczenia, a szczegół ten daje do poznania, jak szczupły w ostatnim czasie był majątek generała i jak dobre było jego serce.

Tegoż samego dnia wróciliśmy do Paryża oczarowani szlachetnością, szczerością i przyjacielskiem ujęciem generała.

VIII.

Cokolwiek o uczonych, na których kursa uczęszczałem w Paryżu 1832—33.

Zaledwo byłem ochłonął z rewolucyjnej zawieruchy i z emigracyjnej ruchawości, poczęła mi się odnawiać i z całą gorączką recydywy odświeżać chęć połykania nauki, nie już z tekstów, czy jak dawniej od profesorów, którzy tylko ze sławy i imienia znali Gay-Lussaców, Thénardów[1]) i t. d., a sami z ich książek czerpali naukę, ale z pierwszej ręki, z ust i oczu samychże uczonych, których od młodości nawykły byłem czcić, jako wynalazców i twórców nowożytnej nauki. Pożegnawszy się więc na długi czas z polityką, począłem chodzić na kursa do Sorbony, do Collège de France, do Ogrodu Botanicznego i do konserwatoryum Sztuk i Rzemiosł.

Nie jest to lada rzecz słyszeć samego wynalazcę, mówiącego o wynalazku swoim, mianowicie, kiedy do jego imienia przywiązany jest urok sławy i nieśmiertelnego życia. Przyznam się, że wchodząc na Sorbonę zdawało mi się, że z kilku słów usłyszanych z ust owych sławnych pierwszego rzędu uczonych, więcej się nauczę, niż z wielu lekcyi na naszych uniwersytetach. Omyliłem się.

Pierwszy z owych uczonych, którego usłyszałem na katedrze był Hachette[2]); ostatni to był rok jego wykładu geometryi rysunkowej. On to z Monge'm[3]) byli pierwszymi twór-

---

[1]) W autografie: Tenarów. Thénard (Louis-Jacques) znakomity chemik francuski 1774—1857. (Przyp. wyd.).

[2]) Hachette, uczony geometra francuski 1769—1834, autor wielu prac naukowych. (Przyp. wyd.).

[3]) Monge (Gaspard) 1746—1818, twórca geometryi wykreślnej. (Przyp. wyd.).

cami tej nauki; choć dawno przed nimi znane były u architektów, mianowicie między rzemieślnikami, co obrabiają kamienie na budowle, do sklepień, do kolumn etc., liczne wykreślenia (épures) praktyczne, prawidła stanowiące główną część owej geometryi. Hachette był już bardzo podeszłego wieku, niskiej urody, przyjemnego wejrzenia, suchej twarzy nie oznaczającej bynajmniej wyższego geniuszu.

Zdziwiłem się, że choć kurs jego na Sorbonie był bezpłatny, zaledwo ośmiu uczniów liczył: i kiedym zapytał jednego z nich o przyczynę, powiedział mi, że w ogólności młodzież, co się kształci na architektów i inżynierów w Paryżu, woli płacić drogo za lekcye prywatnym i wcale nieznajomym z imienia profesorom, niż chodzić na lekcye publiczne Hachette'a, z których mało co można skorzystać. W istocie we dwa miesiące potem płaciłem dosyć drogo, jak na moją kieszeń, młodemu profesorowi Adhemar[1]) za lekcye prywatne i przekonałem się, że można być wielkim geometrą jak Hachette, być sławnym, twórcą nawet nauki i być niezdatnym do uczenia.

Nie więcej miał uczniów p. Francoeur, profesor rachunku różniczkowego i integralnego na Sorbonie. Półwieczny, ale chorowity, przypominał mi żywo z wykładu swego i metody pana Polińskiego, którego niegdyś kursu słuchałem w Wilnie. Z tekstu Francoeura więcej się można było nauczyć, niż z jego kursu.

Baron Poisson, najgłębszy może z matematyków tegoczesnych, wykładał mechanikę racyonalną na Sorbonie. Poważny, skromny, prosty w obejściu się, miał w istocie coś niepospolitego w swoich rysach, oznaczającego wyższy rozum. Z trudnością tłumaczył się; ciemniej niż pisał; zacinał się dość często w rachunkach i był dosyć suchy w wykładzie. Na jego lekcye z obowiązku uczęszczali uczniowie Szkoły Normalnej a oprócz nich czterech tylko uczniów, co z własnej ochoty słuchali jego kursu.

Innego wcale ujęcia, wejrzenia i charakteru był baron Thénard. Istny baron, dworak, gaduła: miał do trzechset ucz-

---

[1]) W autografie: Ademar. Adhemar (Alfons-Józef), matematyk francuski 1797—1862, autor »Traité de géometrie déscriptive, Paris 1834« i innych prac naukowych. (Przyp. wyd.).

niów na Sorbonie i mało co mniej w Collêge de France. Lubił oklaski i nie szczędzono ich mu przy wejściu do sali i przy końcu każdej lekcyi. Wysoki, okrągłej twarzy, nieco ospowaty, dosyć pospolitej twarzy, ale żywy w ruchach i giestach i nie ukrywający bynajmniej pretensyi do podobania się słuchaczom. Miał dobrego preparatora na Sorbonie p. Barruel, który znał jego kaprysy i nigdy nie chybiał z doświadczeniem w momencie, kiedy go potrzebował Thénard. Lekcye były bawiące, dosyć jasne, nieco teatralne tak, że mimowolnie przywodził na myśl ową karykaturę paryską, na której Gay-Lussac pracuje w laboratoryum i robi odkrycia, a Thénard przez okno peroruje z podniesionemi rękami. Thénard był, jakem powiedział, dworak: Napoleon nie wielką przysługę zrobił nauce, mianując uczonych baronami. Powiadają, że będąc profesorem w szkole politechnicznej, gdy jednego dnia przyszedł na jego lekcyę książę Angoulème, a była mowa o wodorodzie, rzekł Thénard, obracając się z wielkiem uniżeniem do księcia: »Oto jest kwasoród, oto wodoród, dwa gazy, które będą miały honor kombinować się wobec Waszej Altessy«.

Z tem wszystkiem lekcye były bardzo zajmujące, łatwe do pojęcia, nieutrudzające; jednak, gdy kto chciał nauczyć się chemii, wolał płacić Barruelowi sześćset franków za kurs manipulacyi, niż bezpłatnie słuchać Thénarda.

Wkrótce zastąpił Thénarda tak w Sorbonie, jako też w Collège de France, Dumas, który natenczas górował nad młodymi chemikami i znany już był z wynalazków i swego rozległego dzieła. Improwizował z równąż łatwością, co Thénard, ale z większą powagą, poprawniejszy w wysłowieniu, bez przesady, wymowny i ściśle trzymający się przedmiotu. Widać było, że nie uganiał się za oklaskami, że się przygotowywał do lekcyi i z większym porządkiem i starannością je wykładał. Jego mianowicie kurs w Collège de France zaszczepił we mnie ochotę i gust do chemii analitycznej.

Dwóch uczonych w tymże roku wykładało fizykę na Sorbonie, Dulong i Pouillet[1]). Obu słuchałem z wielką uwagą

[1]) Dulong (Pierre-Louis), znakomity fizyk i chemik francuski 1785—1838. Pouillet, fizyk francuski 1790—1868, w r. 1831 otrzymał katedrę fizyki w Szkole politechnicznej, od r. 1837 był członkiem Akademii nauk. (Przyp. wydawcy).

i żadnej lekcyi nie opuściłem. Dulong był dla mnie prawdziwym typem mędrca. Przypominał mi z fizyognomii i surowej, nieco suchej powagi Jędrzeja Śniadeckiego. Był chorowity; jego głos był przytłumiony, ale przyjemny. Mówił z taką ścisłością i dokładnością matematyczną, że nie było w jego wykładzie jednego słowa zanadto i jednego słowa nie brakło do jasnego pojęcia rzeczy; ale go audytoryum paryskie nie lubiło; sala była próżna — uczniowie tylko Szkoły Normalnej z obowiązku uczęszczali na lekcye.

Przeciwnie Pouillet improwizował swój kurs, jakoby na zamku królewskim, dokąd uczęszczał, jakby na trybunie poselskiej. Młody jeszcze, elegant, przyjemnej twarzy, z wielką żywością i gadatliwością francuską bardzo jasno i w zajmujący sposób tłumaczył się, a zręczny preparator wtórował mu doświadczeniami. Unikał, że tak powiem rzeczy trudnych, stronił od formuł i rachunków, a całą fizykę wystawiał jako rzecz łatwą do pojęcia wszystkich, zabawną i dowcipną.

Przewyższał go w tej sztuce popularyzowania nauki Arago w swoich lekcyach publicznych astronomii, którą wykładał w obserwatoryum. Dosyć powiedzieć, że jeden Anglik, co ze mną mieszkał na Carrefour de l'Observatoire, człowiek wcale nie uczony i mało umiejący po francusku, rozpływał się z radości i aż do łez rozczulał się, kiedym go zaprowadził na kurs pana Arago. W istocie było się czemu dziwić. Pięknej i rozumnej twarzy, strzelał, że tak powiem, swemi wielkiemi, czarnemi oczami, wbijał naukę w pojęcie swoich słuchaczów, porywał, czarował; a do tego niemało się przyczyniał jego donośny, brzęczący i wybitny głos i jego wysłowienie tak płynne i poprawne, że było wzorem najpiękniejszej francuszczyzny. Jednakże kiedy po kilku lekcyach, ochłonąwszy z pierwszego przyjemnego wrażenia, jakie na mnie sprawił, począłem wpatrywać się głębiej w jego wykład i analizować każdą rzecz, jak ją przedstawiał, zoczyłem, że wielka sztuka, którą posiadał, na tem się zasadzała, że unikał wszelkiej materyi trudniejszej, o której był pewien, że nie była dostępną ogółowi słuchaczów, nie dotykał szczegółów, do których pojęcia potrzeba było być spoufalonym z matematyką, a opierał się na faktach, które obrazowo, malowniczo mógł przedstawić. Nie chodziło mu bynajmniej o wyczerpanie materyi, o dokładne zaokrąglenie

przedmiotu, lecz chodziło mu o to, aby był zrozumianym i aby przedmioty, które z wielkim talentem i łatwością obrazowo przedstawiał, były jasne, nieutrudzające, przeźroczyste.

Innego wcale rodzaju były lekcye Gay-Lussaca, na które przez jedną wiosnę uczęszczałem, w laboratoryum ogrodu botanicznego. Gay-Lussac miał fizyognomię człowieka skromnego, praktycznego, pracowitego, bez wielkich pretensyi. Nie zapuszczał się w teorye, ani wysokie pomysły nauki. Jego opowiadanie było nieco suche, monotonne, ale jasne, dobitne. A skoro wziął za retortę i urządzał jaki aparat do doświadczenia, wtenczas widać było, co to jest mistrz, który zbadał naturę, któremu chemia winna tyle ważnych odkryć i który przeżyje w historyi postępu wielu królów i cesarzy, wiele narodów zaborczych. To, co się okiem wyczyta z ust i oczu takiego człowieka, kiedy go widzimy zajętego wykazaniem praktycznem tego, co sam odkrył, to trudno wyczytać z książek i tego się nigdy nie zapomni.

Podobnegoż charakteru w wykładzie nauk byli: Dumeril [1]), Brognard (ojciec) [2]), Blainville [3]) i młody Jussieu [4]), na których kursa uczęszczałem wiosenną porą w tymże ogrodzie botanicznym.

Była to epoka, w której najmłodsza z nauk, geologia, niedawno osierocona od mistrza swego Cuviera, zawracała głowy turystom i wogóle dyletantom nauki. Zajmujące były dla licznej publiczności lekcye Prévosta [5]) na Sorbonie, który z wielką łatwością i jasnością wykładał nowsze pojęcia o tworzeniu się gór i wulkanów; a jego audytoryum składało się ze zwolenników pewnej szkoły, co wszystkie postrzeżenia i fakta geologiczne chciała podciągnąć pod prawa i przyczyny dotąd istnie-

---

[1]) Dumeril (André-Marie-Constant) 1774—1860, lekarz i naturalista francuski, autor licznych prac, jako profesor zastępował przez 4 lata Cuviera w Szkole Centralnej. (Przyp. wyd.).

[2]) Uczonych tego nazwiska nie zna Wielka Encyklopedya francuska. (Przyp. wyd.).

[3]) Henri-Marie Ducrotay de Blainville (w autografie: Blanville), sławny naturalista francuski 1777—1850. (Przyp. wyd.).

[4]) W autografie: Jussier.

[5]) Prévost (Louis-Constant) 1787—1856, geolog francuski, który nauczał, że góry powstały nie wskutek gwałtownych kataklizmów, ale wskutek powolnego zapadania się kory ziemskiej. (Przyp. wyd.).

jące. Świeżo wróciwszy z wyprawy swojej na wysepkę Julią, wymownie opisywał jej wulkaniczny wybuch, jej wyjście z morza; obszernie rozszerzał się nad tem, z jakim pośpiechem opanował dla Francyi ten świeży szmat ziemi, ze dna morskiego podniesiony, na którym zatknął trójkolorową chorągiew i nazwał wyspę Julią na pamiątkę juliuszowej rewolucyi; potem, dodał, przybyli angielscy geologowie, wyrzucili chorągiew, nadali wyspie inne imię, aż wkońcu cała ta wyspa zapadła do morza i zatopiła się z roszczeniami do jej posiadania obu mocarstw. Powstawał szczególnie Prévost na teoryę kraterów centralnych (de soulevements) i w ogólności na teoryę podnoszeń się skorupy ziemskiej etc.

Bardziej surowy, głęboki i oględny na przyszłość tej nowej nauki był p. Cordier [1]) w swoim wykładzie geologii w ogrodzie botanicznym. Z wielką przyjemnością go słuchałem. Pamiętam jednak, że wcale nie byłem rad z jego ostatniej lekcyi, na której, streszczając cały swoj kurs, wywodził główne zmiany i przeobrażenia, przez jakie przeszła kula ziemska od stworzenia; — a kiedy po tym przeglądzie całej kolei geologicznych epok przyszedł pomimowoli do wniosku o nieuniknionym końcu zniszczenia, jakie spotka koniecznie naszego planetę, nie umiał się z tej fatalnej konsekwencyi inaczej wywinąć, jak zapowiadając, że to nie może nastąpić, chyba za wiele, wiele wieków — i nie warto o tem myśleć.

Wyznać muszę, że w całym tym niezliczonym szeregu kursów, o których wspomniałem i do których winienem dodać kursa Beudant'a [2]) na Sorbonie, Clement Desormes'a (krewnego Mongolfiera) w Konserwatoryum sztuk i rzemiosł, młodszego Brognard w ogrodzie botanicznym, Becquerela (ojca) na Sorbonie i wiele innych, nie usłyszałem wymówionego choćby przypadkiem, choćby od niechcenia, słowa Bóg, stwórca, choć we wszystkich tych kursach, wykładanych przez najsławniejszych uczonych tego wieku, cóż było przedmiotem nauki, przedmiotem badań? To, co było i jest dziełem nieśmiertelnego Boga i spraw Jego.

---

[1]) Piotr Cordier 1777—1861, od r. 1839 członek Izby parów. (Przyp wydawcy).

[2]) Beudant, minerałog francuski 1787—1852. (Przyp. wyd.).

Proszęż teraz wyobrazić: — przez dwa lata bez odpoczynku oprócz udziału, jaki nie przestawałem brać w ruchach emigracyjnych, chodziłem najregularniej z lekcyi na lekcyę tych wymienionych fizyków, chemików, przyrodników i matematyków, aż mi w końcu przykrzyć zaczynało to obżarstwo chciwego wiedzy umysłu, i przesycony, że tak powiem, Sorboną i francuskiem Collegium chciałem wejść do jakiej fabryki i przystać do ouvrierów. Poczciwy p. Cassin z Taranne dał mi list do Payen'a [1]) z rekomendacyą, aby mię przyjął do swojej fabryki kwasu siarczanego, która na ten czas uchodziła za najlepszą w Paryżu, a była niedostępną dla cudzoziemców, ba nawet dla Francuzów. Oddałem list Payenowi, który tak czule na mnie spojrzał, że nie było po co czekać, ni czego się spodziewać.

Wróciłem do Collège de France dla posłuchania jeszcze kursu pana Elie de Beaumont, który w tym czasie był mianowany profesorem geologii na miejsce Cuviera.

Ze wszystkich profesorów, o których już wspomniałem ze wszystkich profesorów paryskich nikt może (jeżeli wyłączę Becquerela) nie miał mniej zdolności do uczenia jak Beaumont. Mówił głosem tak cichym, przytłumionym, językiem tak ciemnym, nieokraszonym, że trzeba było siedzieć tuż przy nim w pierwszej ławce, żeby z jego słów co uchwycić. Schylony na bok, oczy w ziemię wbite, przerywał co chwilę słowa chrząkaniem i połykał ostatnie sylaby. Gubił się w szczegółach, co chwilę zaglądał do swoich notat; a przytem chudy, łysy, słabych piersi — nie liczył i dziesięciu uczniów.

Z tem wszystkiem po dwóch czy trzech pierwszych lekcyach straconych począłem notować częściowe fakta i pojmować główne punkta, z których poglądał na historyę kuli ziemskiej; a choć z trudem i wielkiem natężeniem uwagi, polotem schwycone idee zaostrzały bardziej moją ciekawość, niż eleganckie i jaśniejsze wykłady Prévosta i Cordiera, które jednak, przyznać winienem, przygotowały mię do słuchania Beaumonta i bez których byłbym go nie zrozumiał.

Jednego dnia po skończonej lekcyi powiedział, że zamyśla

[1]) Mowa tu zapewne o Anzelmie Payen, chemiku francuskim, dyrektorze cukrowni w Vaugirard, autorze wielu rozpraw, 1795—1871. (Przyp. wydawcy).

zrobić wycieczkę geologiczną do Alençon i jego okolic dla widzenia pokładów tamecznych powtórnych i tranzycyjnych i że z ochotą przyjmie do swego towarzystwa słuchaczów swoich, którzy się z nim połączyć zechcą. Na umówiony dzień i godzinę ruszyłem do Alençon, choć już kuso było w kieszeni i ledwo wystarczało na utrzymanie się. To mnie zbliżyło do p. Beaumont. Pierwszego dnia od trzeciej rano aż do dziesiątej w nocy dziewięć mil ubiegaliśmy piechotą i przyniósł każdy z nas, nie wyjmując wodza, spory worek kamieni, skał, fosyliów i t. d.

Trzeciego, czwartego dnia ledwo kto mógł dotrzymać Beaumontowi. Ja zawsze byłem nieodstępnym od niego i we cztery dni więcej nauczyłem się, niż na długich sorbońskich kursach.

Jednego dnia na odpoczynku Beaumont, wielki przyjaciel Polaków, spostrzegłszy we mnie upodobanie do geologii, rzecze: »Czemu pan nie pomyśli oddać się naukom górniczym, do czegoby mu posłużyć mogło zapisanie się do szkoły górniczej, gdzie mógłbyś nabyć wiadomości praktycznych«. Podziękowałem mu za radę. Wkrótce potem powrócił Beaumont z kilku turystami do Paryża, a ja poszedłem dalej na wędrówkę z jednym z towarzyszy, któremu mnie polecił Beaumont i z którym w dziesięć dni obiegliśmy część Bretanii, Touraine, Maine, zwiedziłem piechotą Tours-le-Mans, Bourges etc. Na tej wycieczce nabyłem rzetelnej ochoty do geologii, mineralogii i górnictwa.

W kilka miesięcy, za wdaniem się pana de Beaumont, przyjęty zostałem do szkoły górniczej i na lat trzy zasiadłem na ławie z młodymi uczniami szkoły politechnicznej, między którymi zabrałem koleżeńskie stosunki z pp. Ebelmen, Pernolet, Daubrée, Delonaye, St. Claire, Deville, Petit i z jednym młodym Turkiem Ehmedem. Szkoła ta wytknęła mi drogę do Ameryki.

Od wejścia do szkoły górniczej pożegnałem się z Sorboną i Collège de France, tylko nie mogłem odrazu porzucić w tem ostatniem kollegium kursu mechaniki niebieskiej, której nauczyciel, p. Binet, znany mi był ze swoich wyższych religijnych uczuć. Było nas tylko trzech uczniów: jeden Belgijczyk, jeden Francuz, o którym dowiedziałem się potem, że był jezuitą, ubranym po świecku, i ja. Po lekcyi nieraz zostawał na nie-

jaki czas Binet z nami i rozmawialiśmy o rzeczach odrębnych i potocznych.

Razu jednego pytałem się u niego(!), jak to wytłumaczyć, że w nauce tak wzniosłej jak astronomia znaleźli się uczeni z naszego czasu zupełnie bezbożni i materyaliści. Binet był już osiwiały, przyjaciel od serca pana Cauchy, znał dobrze Laplace'a, Lagrange'a, Lalande'a, a był nie lubiony od Arago i większej części akademików.

Długą mi z tego powodu dał rzecz Binet i ciekawe szczegóły o owych uczonych. Że zaś dobrego był serca, nie wierzył, żeby ci uczeni, nawet Lalande, byli w duszy bezbożnymi. »Z braku wychowania religijnego — rzekł — i żyjąc na gadatliwym świecie paryskim, ludzie ci nie mogą obronić się od wielkiej miłości własnej i dumy. Sam nawet — mówił mi — poprzednik mój Lalande, sam sobie kłamał, co innego pisał, co innego myślał. Znał go dobrze i miał z nim stosunki sławny ze swego apostolstwa przeor św. Sulpicyusza, ksiądz Emery, i powiadał, że w prywatnem wylaniu się był Lalande zupełnie inny, posiadał uczucia religijne i szanował wiarę, wbrew temu wszystkiemu, co w swoich pismach filozoficznych zostawił. Całą jego chorobą i nieszczęściem była chęć sławy, żądza podobania się, chełpliwość i namiętna chciwość, aby jak najwięcej i najczęściej o nim mówiono w Paryżu i tylko o nim. To mu nie dozwalało nigdy wejść w siebie i zbadać siebie. Razu jednego, znajdując się w licznem towarzystwie dam i uczonych paryskich, gdy widział, że za mało nim się zajmowano i nie miał czem zainteresować roztargnionego towarzystwa, złowił pająka i wobec wszystkich zjadł go, jakoby jaki przysmak z wielką ostentacyą filozoficzną — a to dlaczego? dlatego jedynie, aby o nim gadano, że je pająki. Jakoż tego wieczora i przez wiele dni potem powtarzano: »est-il possible! M. Lalande mange les araignées; savez-vous, que M. Lalande mange les araignées?« — i to słyszeć było nader przyjemnie dla niego.

IX.

Resztki moich notat paryskich.

Od wejścia do szkoły górniczej nie od razu odsuwać się zacząłem od emigranckich ruchów: służyłem tylko Towarzystwu Naukowej Pomocy do rozsyłania i rozdawania lichego wsparcia 25 franków miesięcznie każdemu z wychodźców naszych, którzy po rozmaitych specyalnych zakładach, jak: Szkoła Centralna, Szkoła Handlu, Szkoła dróg i mostów i t. d. uczyli się, jak ja w szkole górniczej, i Towarzystwu Dam polskich do rozdawania miesięcznych pomocy (5 fr.) na każde dziecko emigracyjne.

Od czasu do czasu wpisałem jaki szczegół do pugilaresu.

29 listopada 1833. Rano u grobu króla Jana Kazimierza do półtorasta naszych emigrantów słuchało mszy, po której ksiądz Skórzyński tak, jak był w ornacie, ukląkł i po polsku odczytał modlitwę o wybawienie nas i kraju od nieprzyjaciela. Książe Adam, Niemojowski, generałowie nasi, sejm i wszelkich opinii tułacze byli w kościele. Wychodząc już ze mszy, naradzali się demokraci, co mają czynić na obchodzie, który dnia tego z powodu trzeciej rocznicy powstania miał się odbyć u gen. Lafayetta. Karwowski dowodził, że to nie narodowy obchód, kiedy na nim mają się znajdować arystokraci.

O siódmej wieczorem zeszliśmy się do mieszkania Lafayetta. Sala była rzęsiście oświecona i przybrana w chorągwie polskie i francuskie. Lafayette, ubrany w mundurze gwardyi narodowej warszawskiej, zagaił posiedzenie krótką, ale jak najmilszą przemową, zwracając uwagę na to, że mamy tu nietylko reprezentantów rządu, sejmu, wojska i ludu polskiego, ale nawet (wskazując na gen. Gedrojcia, który był świeżo z Syberyi i z Litwy przyjechał) reprezentanta braci naszych cier-

piących na Syberyi. Dziękował Polakom, że na obchód rocznicy przyjęli gościnę u prostego żołnierza gwardyi narodowej warszawskiej i że mu przewodniczyć pozwolili. Po nim zaraz po polsku przemówili prezes komitetu Dwernicki i wojewoda Ostrowski. Oba starali się podobać demokratom; gdy jednak wojewoda wymawiając: niech żyje Polska, jedność i wolność, zapomniał wymienić i równość, pani Dembińska, wielka demokratka, cienkim głosem dodała: i równość! a wielu za nią powtórzyło: i równość! Śmiech powstał. Następnie Niemcewicz po francusku ze łzami przemówił do ziomków, zalecając im wytrwałość, cierpliwość, szacunek dla zasłużonych imion: »J'ai connu — mówił — Sa Majesté le roi dans son éxil; il connait, ce que c'est que l'éxil — soyez sur, il sera touché de notre sort«. Na te słowa poczęli nasi sykać po kątach i zaledwo stary Niemcewicz skończył swoją serdeczną, jakoby na pożegnanie, jakoby nad grobem stojący, przemowę, dwóch urwiszów: Szöl i Chodźko Feliks (który się potem upamiętał) gwiznęli na całą salę, a drudzy sykać poczęli, tak że ledwo ich oklaskami przygłuszyć a perswazyami uciszyć mogliśmy.

Wtenczas to Świętosławski demokrata wystąpił po polsku, łając naszych panów i wymyślając, co mógł, na historyczne nasze świetności. Cierpieliśmy jednak spokojnie, bo Francuzi go nie rozumieli, a było wielu ich, a między innymi: Odillon-Barrot, Garnier-Pagès i tylu innych.

Obracając się ku nim Hoffman (mąż autorki »Pamiątki po dobrej matce«) miał mowę po francusku o konieczności wydania wojny europejskiej przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi, ciemięzcy ludów. Po Hoffmanie przemówiłem od braci naszych, powstańców z Litwy i ziem ruskich, dowodząc korzyści, jakie wynikły dla całej Polski z ostatniego powstania, które połączyło nowym węzłem ziemie te i Litwę z Koroną. Kończyłem, wzywając braci, aby przedewszystkiem strzegli się wynarodowienia duszy polskiej, aby, gdy kto z nas dobieży kiedy do swoich, ranami osłabły z doniesieniem o świeżych zwycięstwach, nie zapytano go skąd rodem? Ten koniec nie wszystkim się podobał.

Nakoniec po krótkiem jeszcze przemówieniu Węgierskiego w języku francuskim, wystąpił oddawna przygotowany i od demokratów podjudzony Semenenko z długą mową po francusku, wymierzoną przeciw Czartoryskiemu i naczelnikom emi-

gracyi, przeciw sejmowi i senatorom naszym. Oskarżał ich o przygnębienie emigracyi, o wyprawę portugalską, o zabiegi rozproszenia emigrantów: — o to nawet, że w tajemnej radzie sejmowej jeden z posłów zamierzał podać petycyę do Izb o zaprowadzenie surowszych praw na emigracyę polską — czemu wręcz, obecny wojewoda Ostrowski, zaprzeczył. Długi był to głos i pełen goryczy dla nas wszystkich: ciężko było podnieść oczy na obecnych Francuzów i na Lafayetta.

Jakby dla rozweselenia czy przyniesienia ulgi emigrantom zakończył Lafayette piękną, grzeczną i dowcipną pochwałą kobiet polskich, ich męstwa i miłości ojczyzny, ich cnót i zalet, z których zawsze była sławną i znamienitą Polska.

Rozeszliśmy się zmartwieni — Semenenko młody i nie zepsutego serca Polak, spostrzegłszy, że ci, co najbardziej jemu poklaskiwali, byli ludzie bezbożni, rozpustni, pierwszy był ruszony skruchą; usunął się od demagogicznych schadzek i wraz z Kajsiewiczem, Jańskim, Koźmianem i trzema innymi obrali życie pobożne, klasztorne, na osobności, o czem już na innem miejscu wspomniałem, i zawiązali grono naszych emigracyjnych księży, co potem utworzyli zakon Zmartwychwstania Bożego.

W kilka dni potem był pojedynek między Szölem (czy Szelem) i Bronikowskim, który go był na miejscu skarcił za gwizdanie. Po dwakroć strzelali się, ale chybili i potrafiono ich pogodzić.

Kiedy potem nazajutrz byłem u Lafayetta, znalazłem go smutniejszym, niż był zwyczajnie. »Connaissez-vous le jeune homme, qui a fait tant de tapage l'autre jour« zapytał mię Lafayette. Nie mogłem zamilczeć, że była to rzecz intrygi naszych demagogów, co się uwzięli na poróżnienie nas. Jakoż podczas obchodu był w drugim pokoju Krempowiecki, uśmiechał się, pobudzał drugich, a Gurowscy ze swojej strony szerzyli nieład i powaśnienia. »Malheureusement vos compatriotes ne sont que trop disposés à aggraver la discorde, que l'ennemi tache de semer parmis vous« — rzekł Lafayette. Nie braknie i nam Francuzom, dodał, na podobnej intrydze i dał mi do poznania, że wielu zapaleńców z towarzystwa des Droits de l'homme naumyślnie invoquent les noms de Robespierre, de Marat et des hommes les plus détestés dans toute la France, aby ohydzić rewolucyę lipcową i zastraszyć ludzi prawdziwie liberal-

nych, a intrygi towarzystw sekretnych są po większej części dziełem samego dworu i partyi ministeryalnej. Tu miałem sposobność do wspomnienia o wpływie, jaki wywierają demagodzy francuscy na emigracyę naszą i przytoczyłem, że ów jegomość, co w kapeluszu posunął się był aż do krzeseł prezesa i komitetu narodowego w czasie posiedzenia, był Francuz, a nie Polak, podejrzanego charakteru.

Około tegoż czasu sześćset naszych wiarusów, którzy dotąd byli zatrzymani w Prusiech i [których] starano się więzieniem i ciężkiemi robotami zmusić do powrotu do kraju, wsadzono na okręt w Gdańsku i wysłano do Ameryki. Takiż sam los spotkał kryjących się dotąd w Galicyi. Rząd austryacki wsadził przymusem pięćset kilkadziesiąt wychodźców naszych i wyprawił na trzech statkach do Ameryki. Smutny los spotkał tak owych z Prus, jak i tych z Austryi wygnanych; historya każdej z tych dwóch wypraw pełna jest dotkliwych i tragicznych wypadków.

Nie lepiej się też działo naszym w Szwajcaryi, owym, co za namową Ramorino byli wyszli z Besançon i innych zakładów. Oborski zwaryował, Lelewel pułkownik usunął się od wszystkiego i wszedł do służby szwajcarskiej, do budowy dróg i mostów; jedna część naszych podpisała prośbę do Ludwika Filipa, aby im pozwolił wrócić do Francyi, drudzy zanieśli protestacyę, rząd berneński dał rozkaz do wypędzenia wszystkich, a ambasador francuski nie wydaje paszportów tylko pod warunkiem, że nie pozostaną we Francyi, ale udadzą się do Algieru, do Egiptu, do Portugalii.

Akademia paryska przyznaje medal wartości tysiąca franków panu Marcinkowskiemu, za położone przez niego zasługi w Paryżu w czasie cholery. Zacny ten patryota, wyborny lekarz, skromny, ubogi, oświadczył Akademii, że jego życzeniem jest, aby zamiast medalu wartość jego 1000 fr. Akademia przesłała Towarzystwu Naukowej Pomocy na zapomożenie Polaków, uczących się w szkole medycznej paryskiej, i że ze swojej strony nie sądzi, aby w tej usłudze, jaką oddał, przewyższył był usługi

lekarskie swoich ziomków współtułaczy, przyjętych gościnnie we Francyi.

Coraz to bardziej dokuczają nam nasi demokraci: Krempowiecki, Czyński, X. Puławski, I. B. Ostrowski szkalowaniem wszystkiego, co polskie; niczem już były dla nich przeszłość historyczna, zasługi przodków, dawna polska szlachetność, odwaga, serdeczność. Gdziekolwiek wystąpił który z nich z piórem czy przemówieniem, w dziennikach lub na jakimbądź zebraniu Francuzów, a do wszystkiego się cisnęli, ze wszystkiego korzystali, to o niczem innem nie mówili przed cudzoziemcami, jak o okrucieństwie panów i szlachty, o ciemiężeniu chłopów, wysławiali duch demokracki Gontów, Doroszeńków, Chmielnickich, oskarżali o zdradę i przedajność królów i hetmanów naszych. Puławscy i Kościuszko, książę Józef, byli to ciemięzcy ludu, lub służyli za narzędzie ciemięzcom. Bolało to nas wielce; odgłos owej propagandy hajdamackiej dochodził staraniem Moskali i Niemców aż do kraju i przygotowywały się już wypadki, które potem zakrwawiły Galicyę.

Kiedy jednego razu mówiłem o tem z Adamem i zastanawiałem się nad tem, że owa kara za niedobre obchodzenie się nasze z chłopami przychodzi teraz, kiedy może mniej na nią zasługujemy i co gorsza, pochodzi od ludzi podłych i zepsutych, opilców, szukających wyniesienia się i którzy nigdy może nie byli w stanie poznać stanu naszego rolnika, jego potrzeb i sposobów zaprowadzenia ulepszeń: Adam mi na to zrobił kilka uwag. Kara ta Boża przychodzi w czasie, kiedy najgwałtowniej daje się czuć potrzeba poprawy stanu naszych włościan; bo już nieprzyjaciel nasz, car, gotów wytrącić nóż demagogom i zakrwawić nim dwory nasze, wyniszczyć szlachtę, a z nią narodowość naszą. A że kara ta pochodzi od ludzi niskich, złych, zepsutych, to rzecz naturalna. Kara zawsze jest z ramienia niższych; łaska od Boga pochodzi, karę szatany pospolicie wykonywają, a nie anioły. Wszak do najpoczciwszego nawet kata mamy odrazę.

---

12 grudnia. Tego dnia byłem na obiedzie u pani generałowej Gedrojciowej z domu Burzymowskiej, urodzonej i wy-

chowanej w Niecieży, gdzie część młodości mojej przemarzyłem. Na tym obiedzie byli: Niemcewicz, Adam Sołtan i Mickiewicz. Rozmowa należała (!) do dawnych staroświeckich czasów. Niemcewicz powiadał, że w dzieciństwie swojem znał człowieka bardzo starego, co znajdował się z królem Janem Sobieskim pod Wiedniem; i że pamiętał dobrze obiór króla Stanisława na Woli, jego wjazd i koronacyę. Powiadał też, że widział w klasztorze nieświeskim jakąś bardzo podeszłego wieku penitentkę, o której mówiono, że za młodu miała być cudownie piękną i że Piotr Wielki tak się był w niej zakochał, że się z nią chciał ożenić; kiedy księżna Radziwiłłowa Nieświeska pytała jej dlaczego nie chciała pójść za cara, odpowiedziała penitentka: azaż gdyby o córkę Waszej Książęcej Mości starał się dziś han tatarski, byłoby zaszczytnem oddać mu księżniczkę? Otóż to jakie było natenczas mniej więcej mniemanie o carze.

Zabawiło też nas następne zdarzenie, które nam przytoczył Niemcewicz, a które niegdyś słyszał od Chreptowicza, niewiadomo z jakiej kroniki czy ustnego opowiadania. Kiedy Batoremu sejm odmówił podatków, a wojna z Moskwą była nieuchronną, pojechał król na ukrainę po panach polskich: do Sapiehów, do Radziwiłłów etc. Zajechał po drodze do możnego szlachcica nazwiskiem Hlebowicza i prosił o zapomożenie skarbu. Hojnie przyjął Batorego szlachcic i przez kilka dni podejmował go w domu, ale wielekroć przychodziło do rzeczy, wymawiał się: ciężkie czasy, Miłościwy Panie! Zmartwiony król miał się do wyjazdu; a gdy był na wsiadaniu i pożegnał gospodarza, ujrzał przed gankiem 60 pancernych i na ich czele syna starszego Hlebowicza. Oto Miłościwy Panie — rzekł szlachcic — masz ludzi na usługi kraju, a jego syn podał królowi baryłkę ze złotem przeznaczoną na opłatę żołdu. Wsiadł król i cała jego komitywa na koń i zaledwo wyjechali za bramę, spotkali drugie tyle żołnierstwa i drugiego syna Hlebowicza, który złożył królowi drugą baryłkę złota na żołd. Nie posiadał się król z radości; aż tu spostrzega oddział zbrojnej piechoty kosztem tegoż samego Hlebowtcza sformowanej, którą prowadził trzeci jego syn najmłodszy, podrostek zaledwo, ze złotemi darami. Stawiąc go przed królem, rzekł Hlebowicz: Najjaśniejszy Panie, daję Wam dwóch synów na wojnę, a tego małego poszlę do szkoły, aby nauką stał się godnym imienia Polaka.

Wiedział szlachcic, że król Stefan był również skorym do boju, jak miłośnikiem nauki.

Niemcewicz był duszą i ciałem Polak; o niczem nie myślał i nie mówił, jak o Polsce. Z początku emigracyi miał jeszcze jakieś zaufanie we dworze, w rewolucyi lipcowej, w dyplomatycznych rokowaniach, w liberalizmie francuskim. Odwiedzał Napoleonistów, z którymi za czasów Księstwa Warszawskiego i później był w stosunkach. Już powiedziałem, jak mu się powiodło z Pratem. Bywał u Talleyranda i naprzykrzał mu się z Polską. A gdy razu jednego usłyszał od tego szalbierza o którym mówią, że za życia wszystkich oszukiwał, a przy śmierci zwiódł samego dyabła (mówią, że wyspowiadał się): »toutes les négociations possibles ne vous serviront à rien: il faut vous ôter de la tête cette Pologne«, to potem nie wrócił już do onych figur wysokiego tonu, a nawet gniewał się na panów polskich, co na salonach Soulta, Flahauta i na klubie Jockeju spotykali się i rozmawiali z Moskalami.

Właśnie po owej sesyi u Lafayetta (29 listopada) w kilka dni wszedł na posiedzenie Naukowej Pomocy zadyszany i ledwo mógł oddychać z gniewu. »Muszą to być, rzekł, moskiewskie pieniądze, co między naszymi robią taki rozdział i sieją nienawiść; przysięgam, że pieniądze moskiewskie to robią, — a czegoż nie dokażą oni na naszą zgubę!« Reflektował go spokojnie książę Adam i starał się nieść pomoc tym nawet między demokratami, co się jakiej nauce lub rzemiosłu poświęcali Skarżył się jednak, że mu sami nawet ministrowie nie dowierzają z przyczyny intryg i szkalowań podżeganych przez samą emigracyę.

Uczęszczał jeszcze natenczas na Radę Towarzystwa Niemojowski, odmiennego wcale charakteru i usposobienia. Zaczarowany ideami Benjamina Constant, grał rolę konstytucyjnego liberalisty, zapuszczał się w dyskusye i mało mówił o starożytnej Polsce; jego wady i zalety były z czasów Księstwa Warszawskiego i Kongresówki.

---

18 grudnia. Był to dzień imienin Cara. Pozzo di Borgo dał wielki bal, na którym familia królewska, doktrynery, całe Juste-milieu i Karliści mieli się znajdować. Ten dzień wybraliśmy na obchód żałobny po zamęczonych w bieżącym roku patryotach polskich przez Moskali. Kościół św. Rocha był kirem pokryty; wszyscy emigranci, nie wyjmując demokratów i księcia Adama, byli zebrani i wiele Polek znajdowało się na nabożeństwie. Wszyscy bez wyjątku przystępowali jeden po drugim do ucałowania patyny i potem do pokropienia truny święconą wodą według francuskiego zwyczaju.

Wieczorem dla rozerwania myśli zaprowadził mnie gen. Pac na Cyrk Olimpijski, na którym grano sztukę »L'homme du siècle«. Ludwik Filip głaskał Napoleonistów i rad był odnawiać między ludem tradycye bonapartowskie z ohydą republikanckich uniesień. Z wielką pompą i świetnością przedstawiano sceny, jak 13 Vendémiaire i inne, gdzie Napoleon depce prawa i instytucye krajowe, ale tuż zaraz wielkie tryumfy, zwycięstwa, sława. Pochlebiać ludowi i straszyć, bawić go i odurzać, oto sens owej »historyi en action« w tych reprezentacyach. Nie obchodzi się też w nich bez przycinków na kościół, na księży, na bigoteryę, jak gdyby ta ostatnia była wadą panującą między Paryżanami, a nie bezbożność i materyalizm. Co było w cyrku godnego widzenia, to żywy portret Napoleona; człowiek, który grał rolę Bonapartego, tak był do niego podobny, że ilekroć wyszedł na scenę, drżał i prawie odchodził od siebie Pac, który był wielbicielem i zapalonym stronnikiem Napoleona. Do tego efektu przyczyniał się niemało ubiór aktora; szaraczkowy surdut, kapelusz, buty i lornetka napoleońska — wszystko jak najdokładniej oddane: złudzenie było kompletne. Zdawało się, że cień wielkiego człowieka przychodził z grobu. To też nie miał potrzeby wiele pracy sobie zadawać aktor do odegrania roli i nie był wcale aktorem, artystą. Zalecano mu, aby jak najmniej udawał, jak najmniej rzucał się i nie nadrabiał gestami, a ilekroć zechciał coś z siebie pokazać, znikało złudzenie.

W tym czasie odebrał komitet emigracyjny pismo od wyprawionych z Prus do Ameryki na trzech statkach kilkuset

żołnierzy naszych, zatrzymanych burzą czy jakąś awanturą u brzegu Norwegii. Błagają o to, aby rząd francuski czy angielski pozwolił im wytchnąć bliżej Polski po dwuletniem więzieniu i ciężkich robotach, które musieli wycierpieć za to, że nie chcieli wracać za amnestyą moskiewską. Wsadzając ich Prusacy na okręta, ogłosili manifest królewski, że nie mogą Prusy dłużej utrzymywać ich na swojej ziemi, a że żadne państwo europejskie nie chce ich do siebie przyjąć, widzi się w konieczności król pruski wysłać ich do Ameryki. Próżne były na ten raz zabiegi księcia u ministrów francuskich w tej sprawie. Wysłany inny oddział żołnierzy naszych przez Austryaków z Tryestu popłynął prosto do Stanów Zjednoczonych, choć się nie obeszło bez awantur między naszymi a kapitanem okrętu, pierwej nim wypłynęli na ocean. Lepiej się powiodło szwajcarskim: jednym z nich pozwolono wrócić do Francyi, drugim zrobiono nadzieję, że rząd związkowy nie odmówi pomocy. Tymczasem książę i nasi przedniejsi panowie, członkowie sejmu i komitetu naszego, wymodlili u deputowanych francuskich kilka słów za narodowością polską w odpowiedzi na mowę królewską. Z tej okazyi z wielką dumą przyjął naszych wojewodów i kasztelanów Dupin (starszy) i z urazą wymawiał, że emigranci polscy nie chcą iść do Algieru.

Z kraju dochodzą wieści o rozstrzelaniu Zawiszy, Giecołda, Szpeka, Wołłowicza, Konarskiego.

---

15 stycznia 1834. Pomimo woli i rozkazu króla pruskiego przeciwne wiatry i burze zatrzymały w pędzie okręty, na których Prusacy wieźli na wygnanie do Ameryki naszych wiarusów. Jeden z trzech, okręt Elisabeth z kapitanem Wilson, zaledwo się ocalił, dobijając do Hawru, gdzie na przekór policyi i woli prefekta mieszkańcy gwałtem zdołali uprowadzić do stu Polaków i przyjęli ich gościnnie. Drugi okręt, na którym było więcej niż 200 naszych żołnierzy, miotany burzą, dobił się do portu Harwich[1]), gdzie ich Anglicy nie dobrze przyjęli, nie

---

[1]) W autografie: Arrich.

pozwolili im wysiąść na ląd. Nasi czemprędzej przesłali do rządu francuskiego prośbę, aby się ujął za nimi i pozwolił im raczej pójść do Algieru i być bliżej Polski, niż płynąć na wieczne wygnanie do Ameryki. Trzeci okręt, rzucony na brzeg angielski w Dee, przypłynął do Portsmouth.

Wielkie były zabiegi i starania Dwernickiego, Czartoryskiego i innych u rządu Ludwika Filipa, aby pozwolił naszym jeńcom, przytrzymanym na okrętach pruskich, połączyć się z emigracyą. Niezliczone trudności stawiano tak od strony ministrów, jak od króla i całej doktrynerów partyi. Znane były z tej okazyi dyskusye w Izbach. Na szczęście zachodziło nieporozumienie jakieś między Ludwikiem i Rosyą, zanosiło się nawet na wojnę. Książę Orleanu zapraszał kilkakrotnie księcia Adama na obiad i przyrzekł, że na Radzie ministrów zrobi wniosek o uwolnienie naszych żołnierzy z okrętów pruskich i przyjęcie ich do Francyi. — Nie mam dokładnych szczegółów o tem, jak nasi byli uratowani i co się z nimi stało.

W Brukselli Lelewel, Worcel, X. Puławski i inni wydają dziennik »La voix du peuple«, w którym naśladują opozycye francuskie i belgijskie, atakują Rząd Narodowy ostatni, wszystkich jego członków i ministrów, jak gdyby jeszcze byli przy rządzie, a nie w takiejże samej niedoli, co oni; powstają na całą naszą szlachtę, przypisując jej nieszczęście kraju, szkalują nawet przyjaciół naszych, Lafayetta, i występują z zasadami najradykalniejszej demagogii.

---

18 stycznia. Bryk »Regina« z Tryestu przybył do Marsylii z 25-iu Polakami. Stąd nowa uraza do rządu, który się opierał ich wylądowaniu, a mieszkańcy skorzy byli do ich przyjęcia. W Hawrze tymczasem towarzystwo patryotyczne pod prezydencyą p. Larrabure daje wielki obiad dla naszych żołnierzy: mowy, toasty. Partya rewolucyjna francuska posługuje się imieniem Polski dla dokuczenia rządowi. W Marsylii policya każe naszym wrócić na okręt austryacki lub iść do fortecy, był rozruch na ulicach, brano się do barykadowania.

25 stycznia. Byłem w Izbie deputowanych; interpelowano

ministrów w sprawie przybyłych do Marsylii i do Hawru Polaków i było sześć petycyi podanych za przyjęciem ich do Francyi. Oddawna już Argout[1]) ostrzył zęby na nas i zbierał to, co mógł zebrać do dania nam dobrej reprymendy. Począł od rozczulenia się nad stanem klasy rzemieślniczej we Francyi, nad jej ubóstwem i mozolną pracą. »Widzicie — rzekł — podczas kiedy Francuzi cierpią nędzę i muszą pracować, cudzoziemcy pobierają od nas darmo pieniądze, wiążą się z nieprzyjaciółmi porządku i wszczynają rozruchy; — kiedy algierskie i portugalskie wyprawy zdawały się otwierać pole Polakom do zajęcia się, oni woleli na koszcie naszym pozostać i próżnować«. To dało mu sposobność do wystawienia w czarnych kolorach obejścia się z Bemem i kilku innych wypadków z emigracyi naszej. Dostało się przy tej okazyi hiszpańskim emigrantom, którzy nie chcieli wracać za amnestyą (choć wielu z nich liberalniejszym sam rząd odmówił paszportu); dostało się i Włochom za ich młodą Italię; ba, nawet Niemca jednego, Wolframa, który na obchodzie po Dziewickim w loży masońskiej powiedział mowę, oskarżył, że był agentem niemieckich Jezuitów. Przez pięć kwadransów mówił minister, sala była spokojna; środek, czyli jako nazywano brzuch Izby poklaskiwał, oba boki milczały. Ucichł Argout, nikt z młodszych nie zdobył się na odpowiedź, trzeba było, żeby ten jeszcze raz stary Lafayette, trzęsący się i chory, wszedł na trybunę. Zaraz brzuchowi poczęli robić szmer, chrząkać, ucierać nosy; a zaledwo Lafayette wymówił kilka słów, dowodząc, że les renseignements de Mr le Ministre n'étaient pas exactes, zagłuszyli go doktrynery, tupając i bijąc po ławkach drewnianemi do rozcinania papieru nożami. Ledwo mógł zejść o swoich nogach, oparty na ramieniu syna swego, Grzegorza, generał; chciał jeszcze za nami przemówić Salvert, ale naprożno: aux voix, aux voix! krzyczał cały środek Izby i zaraz przystąpiono do odrzucenia petycyi.

Tegoż dnia wieczorem na balu »des Variétés« poszła w zakład jedna Francuzka ze swymi znajomymi, że wejdzie na bal zupełnie naga i nie zawstydzi się. Wygrała zakład; publiczność bardzo była rozweselona, policya musiała gwałtem wyprowadzić ową kobietę bezwstydną.

---

[1]) Minister spraw wewnętrznych w r. 1833.

1 lutego. Był pogrzeb Dulonga[1]), zabitego w pojedynku przez gen. Bugeaud za przemówienie się na owej sesyi 25 stycznia. Na tym pogrzebie 30.000 wojska stanęło pod bronią dla uciszenia rozruchu, którego nie bez powodów lękano się w Paryżu. Sekcye rozmaitych towarzystw tajnych szły spokojnie przed truną i za truną; tylko na cmentarzu krzyczano: vive Lafayette! vive Cabet! vive Lafitte etc. i zabierano się do bójki. Lafayettowi, któremu był bliskim krewnym Dulong, lud wyprzągł konie i chciał go w tryumfie prowadzić. Zaledwo sam Lafayette, Lafitte i Cabet uprosili zapaleńców, ażeby napróżno nie wywoływali rewolucyi i każdy spokojnie odszedł do domu.

To objawienie czci publicznej dla Lafayetta dało poznać, jak niesprawiedliwe i bezsilne były oskarżenia i posądzania demagogicznych dzienników i pamfletów, jakoby Lafayette zdradzał sprawę wolności i zaprzedał ją Filipowi. Na tym pogrzebie przeziębił się Lafayette, a choroba przywiodła go wkrótce do grobu.

---

5 lutego. Przyszła wieść o nierozsądnej wyprawie naszych do Sabaudyi pod dowództwem generała Ramorino. Już od trzech miesięcy mówiono o tym zamiarze między naszymi. Była to intryga Mazziniego i Karbonarów. Komitet nasz i w ogólności ludzie jaśniej widzący w emigracyi odradzali naszym zbierającym się do tej wyprawy w Szwajcaryi, aby się nie narażali napróżno i nie mieszali się do cudzej sprawy. Dwernicki i Gurowscy ostrzegali Mazziniego, aby nie wierzył generałowi Ramorino, że gotów jest oszukać, zdradzić. Połowa naszych w Szwajcaryi posłuchała rady i ostrzeżenia Dwernickiego. Druga połowa poszła za Ramoriną i wtargnęła z bronią do Sabaudyi, gdzie za pierwszem starciem się Ramorino umknął, 24-ch naszych wzięto do niewoli, a 94 dotarło do statku na jeziorze Genewskiem. Ci ostatni przez 36 godzin byli miotani burzą i odpędzani od brzegów przez kantonalną policyę. Dobili

---

[1]) Dulong (Franciszek Karol), znakomity adwokat paryski, członek lewicy w Izbie deputowanych od 1831 do 1834. W dniu 25 stycznia 1834 wyrzucał generałowi Bugeaud rolę dozorcy więziennego przy księżnej Berry, wskutek czego wyzwany był przez generała na pojedynek i śmiertelnie raniony. Śmierć jego wywarła wielkie wrażenie, a jego pogrzeb ściągnął niezliczone tłumy. (Przyp. wyd.).

w końcu do lądu, złożyli broń i znaleźli się w najopłakańszym stanie. Zapewniano mnie, że gdy chodziło o wybór naczelnika do tej wyprawy, nasi prawie wszyscy głosowali przeciw Ramorino, ale większość Włochów przemogła.

Któż wie, o ile ta konfuzya naszych, spowodowana przez Mazziniego i Karbonarów, obroniła w dalszym czasie naszą emigracyę od intryg włoskich i od ponawianych spisków na rzecz radykalnej rewolucyi.

---

16 marca. Byłem na otwarciu konferencyi Lacordaira przez arcybiskupa de Quélen [1]) w Notre Dame de Paris. Kościół był przepełniony ludźmi z cywilizowańszej klasy: szlachta wyższa i panowie, uczeni i literaci, młodzież, wojskowi, deputowani i wielu z parów Francyi, zajmowali całą nawę środkową. Dla kobiet tylko po bocznych nawach dawano miejsca. Trzeba było na dwie godziny pierwej przyjść, aby się nieco zbliżyć do środka kościoła.

Pierwszy przemówił arcybiskup. Nie widziano go od dawna, bo od dni lipcowych, kiedy mu pałac zburzono, żył w prywatnym domu, rzadko się ukazywał i to na wielkie uroczystości; miał twarz piękną, postać wspaniałą, szlachetną i energiczną, pochodził z jednej najstarożytniejszych rodzin. Jego wymowa przenikała do serca i rozlewała słodycz po słuchaczach. Nigdy tak pięknej, licznej i szlachetnej publiczności nie widziałem w Paryżu; zdawało się, że ktoś wybierał człowieka po człowieku, z tego, co było najlepsze we Francyi, na to pobożne zebranie. Uważałem przytem, że w całej tej kilkutysięcznej publiczności znajdowali się przeważnie starcy, osiwiałe głowy i młodzież mniej więcej dwudziestoletnia; brakowało zaś w ogólności średniowiecznych juste-milieu, czyli jak uszczypliwie pióra nazywały, le ventre de la France. W istocie ta publiczność wystawiała obraz dawnych tradycyi przedrewolucyjnych i początek wyzwolenia młodzieży z wolteryańskiej niewoli.

---

[1]) Hrabia de Quélen, arcybiskup paryski, członek Akademii francuskiej 1778—1839. Jako jawny zwolennik reakcyi politycznej i religijnej, był wystawiony w roku 1831 na nienawiść tłumu, który zniszczył jego pałac. (Przyp. wyd.).

Zawiązała się szkoła wojskowa w emigracyi. Generał Sznajde otworzył kurs kawaleryi, pułkownik Paprocki piechoty, Bieliński fortyfikacyi, a Czetwertyński artyleryi. Nasi coraz bardziej oddają się naukom, sztukom i rzemiosłom; ubiegają się o to, aby każdy miał z czego wyżyć, nie polegając na pomocy rządowej; ale nie zapominają, że jesteśmy w służbie, w obozie, należymy do armii polskiej i lada dzień może się otworzyć kampania. Niemasz w Paryżu ani jednej szkoły wyższej specyalnej, gdzieby nie było naszych, a jednak rankami schodziliśmy się na musztrę, już to w mieszkaniu Paprockiego, już to na małym placu, na ustroniu koło Barrière de Clichy. To było dla mnie bardzo niewygodnie, bo musiałem z Carrefour de l'Observatoire iść prawie o milę na musztrę i powracać przed rozpoczęciem lekcyi w szkole górniczej.

Tylko nasi demokraci szyli ciągle. Krępowieckiego rząd musiał wypędzić z Francyi, Gordaszewski napisał ostry list o wyprawie sabaudzkiej, rzucając całą winę na Ramorino. Ramorino odpisał ostrzej, oczerniając Polaków; dwory berliński i turyński wymagają u Vorortu oddalenia Polaków. Rząd szwajcarski opiera się.

---

26 stycznia. Byłem dziś ostatni raz u Lafayetta, starzec po chorobie blado wyglądał. Nie wychodzi jeszcze, ale od pierwszej po południu przyjmuje gości zawsze z tąż samą słodyczą i szlachetnem ujęciem. Siedział przy kominku w wielkim fotelu i zaraz począł ze mną mówić o Polsce i o naszej emigracyi. Wiedział dobrze, co się między nami dzieje. »Smutno to — rzekł — że młodzi ludzie, ci sami, którzy za liberalnych chcą uchodzić, tyle złego głoszą o kraju. Nie mający imienia i nie znani z zasług, targają się na najświetniejsze imiona polskie, szkalują osoby, które jeżeli w czem zaszkodziły rewolucyi, to nie ze złej chęci, ale zapewne mylną rachubą i brakiem przewidzenia. Któż nie zna tu księcia Adama, że miał kilkakroćstotysięcy franków dochodu, któż nie zna Sapiehy, Potockich, co się milionów wyrzekli dla dobra kraju, któż nie słyszał o generałach, co zwyciężyli pod Grochowem, pod Wawrem, pod Stoczkiem. Wszak sam ks. Adam chciał się bić, nie przypuszczał układów, a Skrzynecki może był uwiedzionym przy-

rzeczeniami i nieszczerością ministrów francuskich. — Jeżeli błędy — mówił po niejakim wypoczynku — niweczyły waszą rewolucyę, to o błędach polskich po polsku pisać nikt nie broni; przyjdzie czas, że kraj powstanie i silniej uderzy na nieprzyjaciela, niż to mógł uczynić ostatnią razą. Jeżeli zapaleńcom naszym uda się dowieść, że rewolucye polskie i ich dowódcy dla siebie samych i dla utrzymania poddaństwa podnosili oręż, to się osłabi sympatya dla Polski i oziębnie życzliwość. Wymawiał Platerowi, że na czele swojego dziennika »Le Polonais« położył imię Lafayetta i innych deputowanych bez ich pozwolenia [1]), ale, dodał, pismo to jest pożyteczne, bo oznajamia publiczność naszą z tem, jak u was rządzą Moskale. Inaczej sobie postępują, rzekł, panowie redaktorowie »de la Voix du Peuple« w Brukseli, którzy się niczem innem nie zajmują, jak oczernianiem patryotów i prawdziwych przyjaciół Polski. Tu się generał zaczerwienił i widocznie był poruszony. (Pisano w tym dzienniku i na Lafayetta z wielką bezczelnością). Starałem się oznajomić generała, czem był ksiądz Puławski, Worcel, Krępowiecki, przedniejsi redaktorowie tego pisma i że nieprzyjaciele osobiści Czartoryskiego mają na celu spotwarzać go, aby książę nie przyszedł do władzy, gdy wybuchnie powstanie. »Ach — rzekł generał — ci ludzie nie wiedzą jeszcze, że w polityce, jak i w społeczeństwie ukształconem, potwarz spada na potwarcę, a tyle tylko można zaszkodzić u narodu publicznemu człowiekowi, ile się rzetelne jego wady odkryją, wady nie ze słabości, ale ze złej chęci i ze złego serca pochodzące«. W tym momencie weszły do pokoju panie de Maubourg i de Lasteyrie, a widząc ojca swego nieco wzruszonego i w żywej rozmowie, przeszły do salonu. Wstał Lafayette, przechadzał się po pokoju i kiedym chciał go pożegnać, kończył swoją rozmowę mniej więcej w tych słowach: »On sait bien que parmi mes amis il y en a qui se sont séparés de moi et qui s'attachent à Louis Philippe dans l'espérance de pouvoir le faire

---

[1]) Tutaj widocznie pamięć zawiodła Domejkę, czy też nie zrozumiał on pretensyi Lafayetta do Platera, ponieważ w dzienniku »Le Polonais« nie znajdujemy bynajmniej tego, o co tu jest Władysław Plater, były poseł wilejski, oskarżony. Na czele jego pisma nic innego nie stało, jak tylko te słowa: »Le Polonais, Journal des intérêts de la Pologne, dirigé par un membre de la diète polonaise«. (Przyp. wyd.).

entrer dans la voie constitutionnelle; et faut-il pour cela que je parle mal de mes amis et que je publie des mensonges sur leur compte?« Na pożegnanie uścisnął mnie poufale i rzekł: »Je vous prie, faites entrer mes enfants«. W salonie zastałem oprócz dwóch córek Lafayetta, panią Georges Lafayette i młodego Lasteyrie. Spełniłem polecenie generała i wyszedłem tknięty do żywego nauką, która mi na zawsze zostanie.

---

30 marca. Wielkanoc. Pisałem list do domu, byłem na nabożeństwie u S. Suplice, a potem na święconem u generała Paca, na którem też wszystkie prawie naczelne figury z naszej emigracyi i wielu prostych pachołków, jak ja, znajdowało się. Były też obecne na tem święconem: księżna Adamowa Czartoryska, pani Hoffmannowa (Tańska), pani Rautenstrauch z (Gedrojciów) i kilka innych dam, które zabawiał dowcipem i wesołością swoją Niemcewicz. Górował nad wszystkimi urodą, rozpogodzoną twarzą i białym jak śnieg włosem Kniaziewicz.

W kilka dni potem odebrałem wiadomość o śmierci siostry mojej, Maryi, którą wielce kochałem. Odezwało mi się z całą tęsknotą rodzinnych progów przypomnienie lat moich dziecinnych i domowego życia.

Widziałem w tym czasie dwa widowiska, o których warto wspomnieć: byłem na Don-Żuanie w operze włoskiej: arcydzieło, do którego wykonania byli użyci: Rubini, Tamburini, Lablache, Grisi etc.; i widziałem sławnego Martina w cyrku olimpijskim, bawiącego się z lwem, z tygrysem i z hyeną, jak gdyby z trojgiem dzieci. Widząc, jak człowiek odwagą i wejrzeniem panuje nad lwem i tygrysem, z jaką pewnością każe lwowi rozciągać się na ziemi, a potem się sam kładzie i opiera się na nim, a tygrys jak kot przytula głowę swoją do kolan pana swojego, a ogromną łapą dotyka jego piersi, pochowawszy starannie pazury; widząc człowieka między tymi dwoma królami źwierząt i jak góruje nawet pięknością i doskonałością form, trudno uwierzyć, aby należał do królestwa źwierzęcego: poznaje się

całą doskonałość stworzenia, które myśli, poznaje i ma nieśmiertelną duszę.

13, 14 kwietnia. Rewolucya w Paryżu. Tu się obnaża Paryż ze swojej zawołanej cywilizacyi, ludzie schodzą do czysto materyalnego bytu, występuje w czerwonej czapce, z obnażonemi łokciami sankiulota, rosną barykady, a król obywatel wyprawia 30.000 bagnetów na przekonanie, że ma racyę. Gdziekolwiek przez ciekawość podsunął się nasz Polak, wołał lud: »Polonais en avant«, jak gdybyśmy byli powstańcami z powołania.

Szczęściem, rewolucya tą razą nie dopisała podżegaczom. Wojsko i gwardya narodowa przytłumiły przedwczesne zaburzenia. Nazajutrz przeciągał przez ulicę Transonais oddział żołnierzy 35-go pułku z księciem Orleanu na czele; strzelano doń z poddasza jakiegoś domu, chybiono. Żołnierze wpadli do domu i w pień wycięli mieszkańców, dzieci i kobiety, zamordowali starego d'Aubigny, kupca, który był wybiegł na otworzenie drzwi i tylko żonie jego i jednej starej kobiecie przepuścili. Pogorszyło się też i naszym od tej rewolucyi, choć żadnego z nas nie wmieszano do spisku i żadnego Polaka nie złowiono w rozruchu. Dzienniki przestały pisać o Polsce, a Thiers od wejścia swego do ministeryum bardzo nas zimno traktuje.

---

18 maja. Było ogólne posiedzenie Towarzystwa literackiego pod prezydencyą księcia Adama. Wielu Francuzów na niem się znajdowało; między innymi Odillon-Barrot i Carnot. Był też obecny młody Walewski, syn, jak wieść niesie, Napoleona. Książę miał mowę po francusku, pełną patryotycznych uniesień; odmalował w żywych wyrazach politykę moskiewską: burzenie szkół i kościołów, wywożenie bibliotek i gabinetów, porywanie dzieci, przesiedlanie familii etc. Dowodził, że z Moskwą nie może być układów, że na niej Europa żadnych nadziei pokładać nie może, że wojna i wojna tylko przed nami, a wytrwałości tylko i dobrego ducha nam trzeba. Niemcewicz też przemówił za wytrwałością, a włos jego biały, twarz rumiana i strzelające oczy dawały żywy obraz tej cnoty, którą

nam zalecał i przypominały nam i Francuzom, ile wytrwał i wycierpiał, ile nadziei ten weteran sprawy polskiej przeżył, ile boleści przegorzało w jego duszy. Przemawiał też p. Odillon-Barrot gładko i poprawnie, z rozumem i rachubą; ostrzegał, że nie jest jeszcze bliski czas wybawienia Polski i że potrzeba wytrwałości. W tym momencie pociągnąłem wzrokiem po naszych legionistach, po generałach i starych senatorach naszych, z których wielu po trupach już opuścili kraj — i rzekłem w duchu: miły Boże! ten zacny i szanowny rzecznik, co z królewnami tańczy kontredansa, uczy nas wytrwałości i zaleca odwagę!

Któż uwierzy, że to samo towarzystwo, w którego gronie było tylu starych i młodych patryotów, posądzali nasi zapaleńce demokraci o zdradę, o osobiste widoki i niejeden ze starszych, jak sam Dwernicki, Sołtyk, Ledóchowski potakiwali im, a przynajmniej nie ujmowali się o dobrą sławę Kniaziewiczów, Platerów, Małachowskich i także innych.

Jeden okręt, z wysłanych przez Austryę, dobił z Polakami do Nowego Jorku, drugi z Harwich przywiózł 250 naszych do Oranu, gdzie się uformowali w legion. Wysiadłym w Hawrze rząd francuski pozwolił zostać we Francyi i żołd przeznaczył. W tych dniach rozwiązał się też komitet Dwernickiego. Emigracya nasza ze składek swoich utrzymuje biednych naszych żołnierzy, przytrzymanych w Portsmucie.

---

27 maja. Smutny to był dzień dla nas tułaczów: pogrzebliśmy ostatniego może przyjaciela naszego, szczerego obrońcę Polski we Francyi — starego Lafayetta. Takie przynajmniej uczucie w nas obudziła jego śmierć. Niemniej smutne uczucie podzielali z nami cudzoziemcy, wychodźcy polityczni z innych krajów. Zdawało się, że Lafayette przeżył swoje blisko sto lat życia nietylko dla Francyi, ale dla pomocy i opieki uciśnionych ludów na dwóch światach, ale co bardziej może, niż wszelka inna okoliczność, skarbiło mu ową miłość popularną w ostatnich godzinach jego wieku, to że przeszedłszy przez tyle kolei świetnych i krwawych rewolucyjnych, nie zmazał się nigdy okru-

cieństwem, gwałtownością, nie dał się uwieść pochlebstwem deklamatorów i zachował charakter chrześcijanina, miłośnika porządku i sprawiedliwości. Gardząc też marmurowemi i pozłacanemi pomnikami, które go czekały obok grobowców tylu wielkich generałów w Père la Chaise, obrał sobie na spoczynek Oratorium w Picpus, gdzie były groby jego żony, towarzyszki jego więzienia w Ołomuńcu i grób matki jego żony, księżnej Noailles, gilotynowanej za terroryzmu: — przeżywszy świetną epokę, czczony od wszystkich, zwrócił ostatnią myśl swoją ku Bogu i przyjaciółce swojej.

Tymczasem śmierć jego obudziła wiele dzikich namiętności; lękano się na pogrzebie rozruchu, wstrząśnienia, swawoli. Wojsko i gwardya narodowa rozciągnęły swoje szeregi po obu stronach bulwarów aż do przedmieścia św. Antoniego. Naczelnicy naszej emigracyi poszli złożyć ostatni hołd zwłokom generała w imieniu narodu. Familia Lafayetta wezwała wojewodę Ostrowskiego, jako naczelnika gwardyi narodowej warszawskiej (w której pierwszym żołnierzem był Lafayette), do niesienia sznura od truny na prawym rogu na przodzie; za nim też niósł drugi sznur generał Fabrier, po bokach szli: poseł ze Stanów Zjednoczonych, pp. Lafitte, Odillon Barrot etc.

Król posłał swoje pojazdy z czerwoną liberyą, muzyka grała marsze tryumfalne.

Tułacze nasi, Polacy, znieśli na swoich rękach trunę z kościoła de l'Assomption, w którem się zatrzymano dla odmówienia żałobnego nabożeństwa. Tymczasem młodzież, robotnicy i rozmaitego stanu ludzie szykowali się towarzyszyć orszakowi żałobnemu, gotując się jakby do oparcia się żołnierzom na przypadek jakiego gwałtu. Niektórzy nieśli chorągwie; na jednej był napis: »Honneur à la revolution de juillet«, ale chorągiew była tak zwinięta, że tylko słowo »revolution« wysuwało się naprzód; na drugiej był napis: »Les écoles«. Te chorągwie zdawały się obrażać policyę, podsuwali się sapery, odgrażano się, ale powoli, choć nie bez obawy posuwał się orszak. Na bulwarze du Temple stał pułk 35-ty, ten sam, co popełnił rzeź na ulicy Transonais. Wołano: A bas le regiment assassin! Powstał popłoch, lud uciekał, wywracał gwardyaków; mała garstka została na ulicy przy owej chorągwi rewolucyjnej, a pułk 35 stał nieporuszony. Nikt nie myślał o boju; po chwili śmiech powstał,

a nieco zawstydzeni tchórze wracali i nawoływali na drugich, wykrzykując: »Rallions-nous, ayez honte!« Kiedyśmy przyszli na plac Bastylii, znaleźliśmy liczne wojsko, działa, gwardyę municypalną i t. d. Dopiero na przedmieściu św. Antoniego poczęli kupić się do nas ouvriery, sankiuloty, członkowie Towarzystwa du Droit de l'homme. Rozrywali nas Polaków między siebie, odgrażali się na rząd, na mouchardów i nie było sposobu wydobyć się z ich karesów: ten nucił »marseillaise«, ów »le chant du Départ«, ów po prostu klął i wymyślał na króla, na ministrów, a że wielka część motłochu, odbiegła świeżo od warsztatów, brudna i podarta była, wołano: voilà le peuple couvert de haillons! notre peuple exploité. Z góry i z dołu witali się nawzajem, nawzajem posyłali do siebie całusy i koncepta chłopcy i dziewczęta. Było to raczej podobne do charivari, niż do pogrzebu.

Tymczasem na przedzie dochodził wóz pogrzebowy do Barrière du Trône, gdzie się ulica Picpus poczyna. Tu zatrzymano cały krzykliwy rewolucyjny motłoch. a tylko pozwolono deputowanym i familii Lafayetta i małej liczbie przedniejszych obywateli odprowadzić zwłoki na cmentarz. Wśród gwaru, konceptów, bicia w bęben i trąbienia rozchodzić się poczęli Paryżanie, a każdy z nas emigrantów wymykał się cichaczem do domu, jak mógł najostrożniej.

---

31 grudnia. Coraz to gorzej dzieje się z naszą Emigracyą. W Anglii nędza zniewoliła rząd do dania małego wsparcia dla 500 naszych żołnierzy, a Puławski, Korytko, Worcel nie przestają szkalować najlepszych nawet naszych tam przyjaciół, Stuarta i innych. Fortece pruskie i austryackie już oczyszczone; do szczętu wywieziono Polaków z Niemiec, Szwajcaryi; legion nasz w Algierze urósł znacznie i wojować musi przeciw Arabom. Kilkaset naszych żołnierzy wyrzucił okręt austryacki na brzegi Stanów Zjednoczonych i odpłynął, a zostawieni bez sposobu sami sobie wiarusy, o chłodzie i głodzie, jedni noszą wodę, piłują drzewo i najgrubsze posługi sprawują po miastach; drudzy gdzieś trzebią lasy i orzą ziemię na granicy dzikich Indyan. Z kraju o niczem nie słychać, jak o wywożeniu na Sybir, o śledztwach, zaborach Cóż dopiero w Emigracyi? we

Francyi? na ziemi, gdzie spodziewaliśmy się znaleźć obrońców i wskrzesicieli Polski? Ze wszystkich światłych, prawdziwie liberalnych i poczciwych Francuzów i Anglików, których znałem, ani jednego wymienić nie mogę, coby szczerze chciał wojny z Rosyą, wojny o Polskę. A jeżeli który z zapaleńców odgraża się na Moskali, to nie szczerze, to bardziej przez nienawiść ku swojemu królowi i ministrom, niż z miłości ku nam. Podczas kiedy większa część Emigracyi pracuje, zarabia na życie, reszta jej, jakby upojona moszczem, wiąże się jeszcze do wszystkich sekt, klubów, spisków i sekretnych intryg. Nowa frakcya w Genewie pod nazwaniem »Nowej Polski« zagarnęła niemało naszych połgłówków i powiązała ich z »Młodą Italią«, »Młodą Francyą« i t. d., choć to, co w tych młodych stowarzyszeniach działo się, było tak stare, jak duma i swawola ludzka, niepohamowana żadną wiarą ni przykazaniem Boskiem. Już nietylko tak zwani literaci i żurnaliści nasi piszą manifestacye, w których szkalują, ale się do nich mieszają ludzie niepiśmienni, żołnierze prości, ledwo się krzyżykami podpisują i protestują. W jednej wielce poklaskiwanej mowie rzekł Niewęgłowski: »Chcecież wiedzieć, co to jest naród polski? Oto dziewięć dziesiątych jego ludności składa lud chudy, zżółkniały, głupi, nędzny jak bydlę; dziesiąta zaś część jest złożona z gałganów, eksploaterów, tyranów, zdrajców etc.«. Ma się rozumieć, że mowca i kilkadziesiąt jego współwęglarzy, obywateli młodej Polski, warowali dla siebie wyjątek, przyrzekali odrodzić naród, nawet całą ludzkość, byleby im pozwolono wyniszczyć szlachtę, jak to im podradzali d'Anguesson, Potter, Marrat, Mazzini. Co gorsza, to że słuchali tych rzeczy i czytali je ludzie ze wszechmiar zacni, jak: Dwernicki, Ledóchowski, Sołtyk i tylu innych, jak: Zalescy, Różycki, Nabielak, a czytając i słuchając, zacierali dłonie i uśmiechali się, jak gdyby w tem było co zabawnego. Nie było już przy nas Adama Gurowskiego, służył Moskwie, pisał i ogłaszał pisma w duchu propagandy rosyjskiej.

W czerwcu czy w lipcu zamarzyło się komuś w zakładzie Poitiers ogłosić Czartoryskiego zdrajcą Polski i nieprzyjacielem Emigracyi. Projekt ten prędzej przyjęto, niż gdyby chodziło o wyprawę do Polski. Dwa tysiące kilkaset podpisów zebrano do owego ogłoszenia. Oburzyło to starszych i niektórzy, jak: Wołowski, Jełowicki, Dembiński ujęli się w pismach swoich za

księciem. Że zaś ze zgrozy, jaką ten akt na nich wywarł, nie byli panami swojego pióra, posunęli się do nazwania wszystkich, co podpisali ów srogi dekret na Czartoryskiego, rebut de l'Emigration. Dla pokazania, że nie byli to wyrzutki emigracyi, przyłączyli się do podpisów: Dwernicki, Różycki, Nabielak. Ten ostatni w ostrym pamflecie starał się dowieść, że teraz właśnie poczyna się rewolucya społeczna polska, teraz jej zbawienie i świetna epoka.

Wszystkie te zmartwienia i upokorzenia przyjąć winniśmy cierpliwie, za pokutę grzechów narodu naszego i za nasze własne. Straszne są sądy Boże! któż je potrafi zgłębić, odgadnąć? Jakakolwiek przyszłość przed nami, jakakolwiek ma być przyszłość naszego narodu, niech się stanie wola święta Najwyższego.

W roku 1837 wybieram się do Ameryki.

W tym roku ukończyłem nauki w szkole górniczej paryskiej; zdałem egzamin i otrzymałem zaszczytny dyplom. W miesiącach kwietniu i sierpniu byłem użyty do uporządkowania zbioru margrabiego de Drès. Margrabia był blisko spokrewnionym z Delonim (?), znał dobrze Hauyego [1]), Buffona, Barnona (?). W rewolucyi cudem umknął od gilotyny, na którą już był skazany; potem powrócił, był dobrze z Napoleonem, był dobrze z Restauracyą i jest dobrze z Ludwikiem Filipem, należy do Izby deputowanych. Że zaś przygłuchy, wołają go na posiedzenie tylko do wotowania, gdy chodzi o jaki pilny interes. Dziewięćdziesięcioletni starzec, po dwakroć stracił swój majątek na zakupowanie minerałów i teraz więcej mający długów, niż wart jego gabinet, rozkochany w kamieniaoh, potrzebował oczu moich do urządzenia kryształów, których miał podostatkiem. Dobrze mi czas schodził u niego, a kiedym go raz zapytał, jakim sposobem mógł zachować się w zgodzie z Cesarstwem, Restauracyą i Filipem, powiedział mi: »C'est que voyez vous, mon cher monsieur, les revolutions sont comme les champi-

---

[1]) Hauy, mineralog francuski 1743—1822, uważany za twórcę nowej nauki. Przyp. wyd.).

gnons, les meilleures ne valent rien«. W miesiącu lipcu profesorowie szkoły górniczej zarekomendowali mnie państwu Köchlin, Alzacyanom, bogatym bankierom i właścicielom fabryk, którzy kupiwszy niedawno wielkie dobra na pograniczu dolnej Alzacyi, Bonne Fontaine, wartujące 2 czy 3 miliony fr., i mając wielkie lasy, potrzebowali inżyniera do wyszukania rud żelaznych i założenia pieców do ich wytapiania. Tym inżynierem miałem być ja, a że nie miałem wielkiego wyobrażenia o sobie i pierwszy raz w życiu przyszło zarabiać, a nie umiałem i nie śmiałem targować się, zgodziłem się z ochotą na pensyę roczną tysiąca dwieście franków. W Bonne Fontaine był wspaniały zamek, życie bankierskie, stół wyśmienity i wysoki ton towarzystwa. Panowie Köchlin dobrze mnie przyjęli. Pani Köchlin, żona młodszego, i jej dzieci okazali mi odrazu pewien szacunek, któregoby może odmówili innemu oficyaliście. Z wielką też ochotą i gorliwością oddałem się mojemu rzemiosłu. Od rana do wieczora chodziłem z parobkami, których mi do pomocy dodano, po ogromnych lasach, szukając rudy i znalazłem po wielu miejscach jej pokłady dosyć bogate. To zjednało mi wziętość u państwa Köchlin i już przychodziło do planów zakładania huty, w której mieli mi dać pewien udział w czystym zarobku.

Byłem rad, prawie szczęśliwy, póki pracowałem w lesie i zajmowałem się rudami, ale w zamku, u długiego stołu, na pokojach, przyznaję się, czegoś mi nie dostawało. Przykrzyłem sobie; jakaś żyłka szlachecka dokuczała mi. Cała grzeczność, ujęcie, wygoda, porządek, dobry ton, połączony z niejaką oszczędnością i rachunkowością; wszystko to było z nowego herbarza; wszystko to bardziej pochwalałem w duchu, niż lubiłem. Nieraz wśród gadatliwości i przepychu stołowego, przy szampanie i wykwintnym deserze zdawało mi się, że widziałem w salonie, z za drzwi spoglądającą na mnie matkę moją, smutną, jak gdyby miała mi co do wyrzucenia. A do tego państwo Köchlin byli protestanci; lubili sobie żartować z księży i starej szlachty francuskiej, choć pani Köchlin była katoliczką i jej brat gorliwym katolikiem. W niedzielę potrzeba mi było iść dwie mile do kościoła.

Nadeszła jesień. Pani Köchlin odjechała z dziećmi do Paryża. Panowie Köchlin (było dwóch braci) pojechali do Miluzy

do swoich wielkich fabryk, ja zostałem dla ukończenia moich poszukiwań rudy. Wilgoć i zimno w lasach pogorszyły zdrowie moje, a humor codzień był gorszy. Wtem odebrałem list od p. Dufrenoy[1]), mego profesora mineralogii, w którym mi proponuje jechać na profesora chemii i mineralogii do Coquimbo w Chili i ofiaruje 1200 piastrów (6.000 fr.) na rok pensyi, koszta podróży etc.

Odżyłem! Odżył we mnie mój od dzieciństwa zapał do dalekich wojażów. Nie długo myśląc odpisałem, że zgadzam się; i na drugiej ćwiartce papieru napisałem list do pani Köchlin, że jadę do Ameryki. Posłałem listy na pocztę i poszedłem w las. Wracając do domu, zgubiłem list p. Dufrenoy i przez miesiąc nie wiedziałem, dokąd jadę, bo zapomniałem był nazwiska Coquimbo.

W listopadzie opuściłem Bonne Fontaine, a w grudniu podpisałem umowę z p. Lambert, dawnym kolegą szkolnym p. Dufrenoy, właścicielem min w Chili, który będąc umocowany od chilijskiego rządu do wyszukania profesora chemii w Paryżu, udał się był po radę do swego dawnego przyjaciela i kolegi. Łatwa była umowa z p. Lambert, tylko co do terminu, na jaki miałem zobowiązać się, ledwo żeśmy się nie poróżnili. On miał w swojej instrukcyi zawrzeć umowę na lat sześć, ja, spodziewając się wojny, nie chciałem jechać jak na cztery czy pięć lat. Po długiem rokowaniu przystałem na warunek sześcioletni, a p. Lambert przyrzekł mi wyjednać u rządu skrócenie terminu.

Cały styczeń (1838) zeszedł na przygotowaniach do podróży, na zakupieniu laboratoryum i książek, i na pożegnaniach.

Smutne były moje pożegnania z familią Czartoryskich, z Niemcewiczem, Kniaziewiczem, Dembińskim, Platerami, Jełowickim; smutniejsze jeszcze z Adamem i jego żoną Celiną, z Laskowiczem, Chełchowskim, Zaleskimi, Witwickim, Góreckim — z nikim jednak na zawsze: ze wszystkimi do widzenia, do widzenia, do widzenia! Gdzie? — Bogu wiadomo.

---

[1]) Inżynier i uczony francuski (1792—1857), reorganizator szkoły min. Wraz z Elie de Beaumont wypracował kartę geologiczną Francyi. (Przyp. wyd.).

Dodatek.

Pierwsze dni kwietnia 1831 r. w Litwie.

Od dwóch miesięcy nasi starsi bracia bili się z Moskalem, tysiące ich na Grochowskiem polu legło, wolność hyła w Warszawie; na sejmie o Litwie mówiono, a jeszcze w Litwie była cichość, straszna, zapowiadająca wojnę. Po klasztorach i sklepach znoszono proch i strzelby; nocami w zamkniętych kuźniach ostrzono juki (?), wyprostowywano kosy, młodzież szkolna lała kule; myśliwi swe ładunki na grubszego źwierza chowali. Starzy, wytrawniejsi, co już po trzykroć próbowali podźwignienia Polski, na szeptach, na pokątnych zmowach układali plany, ważyli środki, zawady i przyrzekali wymierzyć czas i godzinę do uderzenia na nieprzyjaciół sposobną. Kobiety strojną młodzieżą gardziły, a swoich braci i mężów i synów same namawiały czemprędzej rzucić się do broni, a nie czekać leniwie, aż się Warszawa w gruzach zagrzebie, lub bracia zwycięzcy przyjdą nas zawstydzić. Po kościołach lud się modlił, spowiadał się, a księża nauczali, że za każdą kroplę za nas krwi przelanej przed Bogiem zdamy sprawę z opieszałości naszej w daniu braciom ratunku. Niejeden posłaniec z Litwy, do polskiego wodza idący, męczeńską śmierć poniósł; czekano rozkazów od starszyzny polskiej. Młodzież litewska wrzała; a w oczach Moskalów [1]), w ich przelęknieniu i obawie, czytała sławę swoich wolnych braci, czytała słabość ciemięzców.

Tymczasem zgraję szpiegów nieprzyjaciel rozpuścił na Litwę; po miastach osadził wojenne sądy i tajne inkwizycye. Złowrogim był dzwonek pocztowy każdemu, co się do sprawy

---

[1]) W autografie: »od Moskalów«.

publicznej gotował; bo tak jeździli owe piekielne duchy moskiewskiego piekła: assesory, sprawnicy, żandarmy, a w ich szpony kto się dał ująć, ten był na zawsze pozbawionym najwyższego szczęścia: bronienia ojczyzny. Trudno było z powiatu do powiatu, z parafii do parafii przejechać: noce tylko i skryte manowce były dla poczciwych otworem. A jednak wieści coraz skorzej biegły: powstanie na Wołyniu, powstanie na Żmujdzi: tam Dwernicki zbił Rydygiera, Rotha i ze czterdzieści pułków jazdy na Litwę prowadzi; w Połądze okręta angielskie, dwadzieścia tysięcy Żmujdzinów w najświeższą broń i w piękne się mundury odziało; tłumy Francuzów bieżą; Niemcy się burzą; sam król pruski nie usiedział na swojej stolicy — a tuż Wilno co noc grozi rewolucyą; działa na ulicy, Moskale dzień i noc pod bronią; w Oszmianie rzeź okropna, pułk Czerkasów, uzbrojony w janczarki i w puginały, szerzył rozboje, pożar i rabunki; wojska się od głównej armii cofają.

Takie to wieści, na wpół-prawdziwe, na wpół-płonne, błyskawicą latały, jak ogień po gmachu napełnionym palnemi składami. Żmujdzini już do koła w boju z nieprzyjacielem, z pośród wojennego dymu i pożogi, wyzierali tylko, czy się już cały kraj ogólnym pożarem nie zawziął. Komu z lat najrańszych o ojczyźnie, jak o umarłej matce, ze świętością mówiono; kto ją przeniósłszy do nieba, jakie dla swej myśli utworzył, o tem niebie młode dni przemarzył, a nigdy tak wysokiego szczęścia nie śmiał sobie roić, że kiedyś przyjdzie mu na swe własne oczy widzieć jej zmartwychwstanie i prosto jej własną siłą i własnym nabytkiem służyć; dla tego godzina ówczesna była wiekiem życia, a w wezbraniu chęci trudnym był wybór, do czego się rzucić i w czem podług usposobienia swego i żądzy poświęcenia się najbardziej być pomocnym.

Na umówiony dzień czekaliśmy tylko hasła i rozkazu z Wilna, a nawet miały się zgromadzić ze wsi, z okolic szlacheckich i ze znajomszych dworów ochotnicy i łączyć się we trzy punkta: w Lidzkiem, w Słonimskiem do Chorobrowskiej puszczy i w niwińskich lasach pod Nowogródek. O dalszych planach powstania nie wiedziałem. Zamieszkały na wielkim gościńcu wileńskim, winienem był przyjąć hasło i celniejszym dowódcom je rozdać. Wyglądałem od Wilna posłańców; mia-

łem na pogotowiu broń i konia; strzelbę i pistolety pod pomostem w szpichrzu, proch w pustym ulu we dworskiej pasiece.

W wigilię 1-go kwietnia szedłem nocą od mego sąsiada, kiedy z daleka od domu szczekanie psów moich ostrzegło mię, że jest ktoś obcy we dworze. Znalazłem Stanisława, który biegł z Wilna na Wołyń, a po drodze w Nowogródku, w Słucku i w Pińszczyźnie miał dać rozkazy i pierwsze hasło do powstania.

»Ty leć do Grodna — rzekł nie tracąc czasu — i tam, jeśli nie mają sił do wzięcia miasta, kasy i magazynu, niech wyślą młodzież na partyzancką wojnę do Białowieży, dla przecięcia stamtąd dróg i komunikacyi. Słychać, że pod Grodnem jest liczny oddział partyzantów polskich w Augustowskiej puszczy. Jutro w nocy masz im donieść o powstaniu żmujdzkiem i litewskiem, a jeśli prawda, że Skrzynecki w Łomży, przedrzeć się po rozkazy i donieść mu, żeśmy już działać zaczęli. Za hasło, które tylko Naczelnemu wodzowi, Prezesowi rządu i Lelewelowi okażesz, powierzam ci słowo Kiejstut; na co ci odpowiedzą Batory, a dla większej wiary pokażesz ten pieniądz«. Była to ruska kopiejka z r. 1815, na której koronę zatarto. O szczegółach żmujdzkiego powstania mało jeszcze natenczas w samem Wilnie wiedziano, a wysłani emisaryusze przez Żmujdź do Polski nie prędko dojść mogli; ogólnie więc tylko o działaniu powstańców, a bardziej o samem wybuchnieniu powstania donieść byłem obowiązany: w istocie zaś o rozkazy i o instrukcye do Naczelnego wodza iść postanowiłem. Ze wschodem słońca, w Imię Boże wyjechałem z Z.; o mil dwie rozstaliśmy się ze Stanisławem: on pocztą za Niemen, ja swojemi końmi ruszyłem do Grodna; oba w fałszywe świadectwa opatrzeni. Po drodze spotkałem oddziały garnizonów moskiewskich, pędzonych na obronę Lidy; byli to starzy żołnierze, szaraczkowo ubrani, skurczeni pod karabinem; a każdego się krzaku lękali, sądząc, że z pod niego powstaniec wystrzeli. Po karczmach słyszałem, jak powiadano o strasznej mocy jakiegoś wojska na Żmujdzi, co z dubeltówek strzela, ma jakieś drzewiane harmaty, a zdziera skóry z Czerkiesów. W Szczuczynie był szwadron huzarów moskiewskiej rezerwy, zamknięty w karczmie, a wkoło niej stawione były warty. Spotykam pisarza: dawny z czasów szkolnych znajomy — odprowadza mię na

stronę, pokazuje garść kul świeżo ulanych: mrugnął okiem, ścisnął mię za rękę i pobiegł na pocztę. W Kamionce stał na ulicy blady a jakiś nieśmiały Moskal żołnierz, do którego się nie lękał podejść żyd i pod nos mu nakiwać. Podczas gdy konie moje wytchnęły, przyszedł do mnie ten Moskal i pytał pokornie, co słychać pod Lidą? Nic mu na to nie odpowiedziałem, a on powtórnie zapytał, czy prawda, że tam w kilku wsiach chłopi nasi wytruli żołnierzy na kwaterze stojących i że tam wody napić się Moskalowi straszno. Wtem podeszli inni żołnierze, dwóch mieszczan i żydek, a wszyscy zapewnili, że tak jest wistocie i każdy się bardzo zamyślał.

Tak to sam strach w awangardzie wpadał na tył nieprzyjacielskiej armii, kiedy od niej wysłana brygada ułanów Chiłkowa, brygada pieszych strzelców i dwie baterye szły spiesznym marszem na uśmierzenie powstańców. W Grodnie znalazłem już księcia Chiłkowa, mianowanego dowódcą wyprawy na Litwę, z władzą rozstrzelania we 24 godzin każdego, coby mu się nie podobał. Miasto było jak wśród oblężenia, choć wkoło na mil kilkanaście płaszczyzny, równiny i taka spokojność, jak nad obłokami. Spodziewano się posiłków, a tymczasem dwa działa wodzono z miejsca na miejsce, odprzodkowywano je, rychtowano: Żydzi się lękali, a lud się chrześcijański śmiał. Na wielkim rynku, przed ratuszem, był wielki obóz, na którym batalion piechoty stał dzień i noc pod bronią. Oficerowie latali na koniach, jak gdyby z rozkazami w boju; wieczorem nikt nie śmiał wyjść na ulicę. Gdy zaś szlachcic czy chłop wjeżdżał do miasta, wodzono go dzień cały z policyi do policyi, jak złoczyńcę, rozbójnika. Ja się półzłotówką daną żołnierzowi odkupiłem od tych ceremonii, lecz ledwo wyszedłem na miasto, porwano mię i przed Chiłkowa stawiono. Zwyczajem wielkich książąt moskiewskich spojrzał on na mnie ostro i z podjętemi naprzód nadstawionemi ramionami nasunął się na mnie. Czegoś tu przybył? krzyknął po rosyjsku. Na to mu po polsku rozpocząłem szeroki wywód exdywizorskiej sprawy mojego brata w sądzie głównym grodzieńskim, za którą niby przybyłem i takem się zawziął na jednego adwokata, że nie zważając na to, czy Chiłkow rozumie czy nie rozumie, wywiodłem skargę przed obecnego tam gubernatora, skargę na sędziów, na adwokatów, na przekupstwo, żem w końcu znudził panów gene-

rałów i wzięli mię za nieznośnego gadułę, za pieniacza, to jest za rzemieślnika, jaki najmniej podejrzanym jest, a najwięcej dochodu przynosi rządowi. Zmieniono więc ton, a Chiłkow przyjaźnie mię zapytał, co słychać pod Lidą? Powstałem więc na policyę lidzką, że nam jeden targ w mieście rozpędziła, strasząc nas jakimiś powstańcami, o których u nas bardzo strasznie żydzi gadają, że aż strach w domu siedzieć.

Zamyślił się Chiłkow, gubernator głową kiwnął i odprawił mię jak nudnego szlachcica, a wychodząc nie przestałem się rozwodzić nad exdywizorską sprawą mego brata przed kancellarzystą, który mię przeprowadzał.

Tegoż dnia przywiedziono kilku skutych mieszczan z Merecza połowionych i powiązanych, na miejsce trockich powstańców, którzy się tam byli ukazali i nastraszywszy tameczny garnizon, uciekli. Był to pierwszy kęs tryumfu na zgłodniały ząb księcia Chiłkowa. Generał Baryszkin tak się tem był ucieszył, że wnet pobiegł do więźniów i z nich jednego stolarza ze związanemi rękami przed nim stawionego, sam swoją ręką w policzek uderzył; stolarz plunął mu w oczy, on powtórnie go uderzył, stolarz się zaśmiał, on uciekł ze złości. I zaraz jednę z pomiędzy nich ofiarę wybrano, zasiedli za ławą sędziowie wojenni i słup za Horodnicą pod miastem był wkopany, przy którym miano go rozstrzelać.

Alem nie czekał na ten bal moskiewski. Tegoż dnia, na tajemnej schadzce, zważywszy, że się powstanie w mieście nie uda, z przyczyny małej ilości ochotników, niedostatku broni i nadchodzących posiłków Moskalom, a niejakiś pan K...., co udawał, że ma pod swemi rozkazami do tysiąca partyzantów za Niemnem i przyrzekał pomoc naszym, okazał się być człowiekiem podejrzanym, może szpiegiem, lub tylko rabusiem i nie było bliżej powstańców w Augustowskiem, jak gdzieś pod Kalwaryą: uradzono wysłać młodzieży część do Białowieskiej puszczy i tam natychmiast utworzyć powstanie. Ja zaś czwartego kwietnia, ponad granicą województwa augustowskiego, ruszyłem w białostocki obwód. Niemen był jeszcze wezbrany, ogromny zapas prochu, kul i wojennych wozów, pod silną strażą, promem tegoż dnia przeprawiano. Ledwom się nad wieczór wcisnął między powozy; a odpływając widziałem na brzegu stojących Kosseckiego i Skarbka, nikczemnych zbiegow polskich.

Nikt się z nimi nie łączył, przekleństwo jakieś było na ich twarzach, ze wstrętem od nich odwróciłem oczy — prom przybił do brzegu, krzyk i wrzawa moskiewskich zwoszczyków mię zagłuszyły; wyskoczyłem czemprędzej i dobiegłem na górę, gdzie na mnie konie jednego obywatela czekały.

Słońce zachodziło pogodnie, kiedym po raz ostatni żegnał mury miasta i owe dwa zamki: jeden stary, poważny, pamiętny śmiercią ostatniego z mądrych a walecznych królów; drugi choć młodszy, zestarzały przekleństwem ostatniego sejmu. — Tamten, dziś jeszcze wspaniały, choć się w nim zagnieździły generały moskiewskie i wtenczas drżał w nim jeszcze jeden, patrząc z okien na popalone wsi augustowskie i na pobliski tuż nad Niemnem kościół[1]), co już raz był pogroził największemu z carów i dźwigał na swym grzbiecie działa Karola szwedzkiego. W młodszym zamku jęczeli chorzy i ranni Moskale; w salach, gdzie niegdyś Siewers nakazał kłamać piórom i językom, gdzie Polak sięgnął do podpisu cudzych rozbojów, a gwiazdy moskiewskie na naszych zdrajcach błyszczały, opatrywano dziś świeże rany, przez wnuków skrzywdzonego rodu zadane, a wielkim ambasadorem na tym jęczącym sejmie była — cholera. Wszystkie tam izby, komnaty na mnóstwo przegrodzeń porżnięto; wspanialsze na dwa podzielono piętra i wszystkie na lazaret przerobiono. Z pomiędzy przegród błyszczą gdzieniegdzie po ścianach ułamki złoconych gzymsów i pokruszone w płaskorzeźbie portreta królów polskich i orły nasze. W sali, gdzie niegdyś Katarzyny wizerunek wisiał, inne dziś palą kadzidła: tam w pośród duszącego gorąca[2]) wyzierają ze zgnilizny żywe straszydła, rozpustą i zarazą złożone, a co u nich na myśli, co w przypomnieniu, to tylko godne się lęgnąć w pałacach carowej. Warty wokoło, srożą się, jak gdyby kto mógł jeszcze, kto miał siły z tego zaklętego zamku uciekać. Jedna w nim kaplica pustką została; odarto ją z obrazów i ze świętości, lecz nikt jej zamieszkać nie śmiał; tam poważnie echo się rozlega a gospodarz milszego czeka gościa.

---

[1]) Kościołek kałuszyński, na który według podania mieszczan grodzieńskich Karol XII kazał lekkie działa wprowadzić i strzelał do starego zamku w godzinę, kiedy w nim Piotr Wielki z Sasem obiadowali. (Przyp. autora).

[2]) Sala syfilitycznych chorób. (Przyp. autora).

Tak sobie w myśli chodząc po zamkach, straciłem Grodno z oczu, a powóz mój był nad samą granicą Królestwa. U nóg płynęła Łososna, mały ruczaj, ale powabny dla mnie: dosyć go było przekroczyć, jużbym dotknął brzegu, na którym niedawno sterczała rewolucyjna chorągiew i na którym pień niedopalonego słupa, jednego z tych, co Warszawę ostrzegły o najeździe Moskalów, czernił się jeszcze na wzgórzu. Ale ostrożność kazała mi się wstrzymać z przejściem granicy; mogłem jeszcze mil ze sześć bezpiecznie jechać po tej stronie, kiedy po tamtej co krok musiałbym się przedzierać przez nieprzyjacielskie czaty, przedzierać się, jak szpieg, walczyć bezbronnie przeciw szubienicy, przeciw najstraszniejszej broni, jaką człek wymyślił.

W nocy przybyłem do K.... Pan jeszcze nie spał, leżał na kanapie, u drzwi stali: gumienny, ekonom i jeden z dworskich. Mieli to niby radzić o wiosennej siewbie, ale skoro mię nieznajomego ujrzał we drzwiach wąsaty ekonom, mignął okiem na pana i palec sobie na ustach położył; a kiedym go mijał, on sobie niby wąs na dół pociągnął, zmarszczone miał czoło i z ukosa na swoich spoglądał. Zrozumieli wnet słudzy jedno skinienie pańskie, wyszli, a my tę noc przegadaliśmy o naszej kochanej ojczyźnie. Ja mu o powstaniach litewskich, gospodarz o świeżem zwycięstwie pod Dębem i pod Wawrem opowiadał, o którem tylko co był odebrał najszczęśliwsze wieści. Ale przytem mi doniósł, że Moskale są aż pod Ostrołęką, gościńce i pomniejsze drogi ściśle przez nich strzeżone, policya czujna: za małe podejrzenie wieszają lub okutych pędzą na Syberyę, a biedny pan czy chłop, co zbiegom lub bezpaszportowym da choć na godzinę przytułek. »Czy wiedzą w Warszawie o powstaniu żmujdzkiem?« pytałem gospodarza, na co mi odpowiedział, że z ostatniej kommunikacyi, jaką miał sąsiad wraz po batalii pod Dębą Wielką (!), z Polski nic o tem nie wspominają.

Dwa dni musiałem bawić na miejscu, nim wyszukałem przewodnika do przeprawienia się przez Bóbr w Augustowskie. Mieszkanców tu niezbyt skorych do rozpoczęcia powstania [zastałem]; ale codzień czekali na przyjście Polaków, mieli w Bogu nadzieję i każdy, jaką kto miał broń, strzegł i chował starannie na czas potrzeby. Szlachta od pogranicznej nawet straży, z którą się była zażyła, kupowała zbywające pistolety, pałasze, a od Żydów proch i strzelby. Pod karczmą rozmawiali chłopi nie już

o roli, nie o gospodarstwie, lecz o tem, że coraz bliżej słychać działowe strzały i huk wielkich batalii, na których Bóg naszych zasłania, a Moskale tysiące swoich rannych codzień wiozą, a tysiące grzebią. »Wczora, już było późno, wiozłem z lasu koły na ogrodzenie mojego ogrodu; aż słychać jakby daleki piorun; — pytał mię mój Karol: Czy słyszysz? Przypadłem na ziemię, przyłożyłem ucho: aż ziemia drżała. Potem dwa pożary nad puszczą widać było«. Tak mi opowiadał jeden włościanin. W Dombrowie lud się na nabożeństwo zebrał pod kościołek; wtem jakiś Żyd przybył z Grodna; ciekawi kupią się do niego; on opowiada, jak tam zastrzelono jednego z mereckich mieszczan. »Wszyscy razem żołnierze strzelili, a on jeszcze żył; potem jeden najśmielszy przyszedł do niego, przyłożył karabin do piersi i zabił go«. — A czemu się on nie bronił? — zawołał ktoś z gromady. »Nu, a kiedy go przywiązano do słupa, a dokoła wojsko stało; sami Moskale i potem choć on umarł — ja nie wiem, może on jeszcze żył — pan generał nie kazał odwiązać, ale przy nim wartę postawił«.

Siódmego kwietnia byłem u jednej Polki o milę od K.... Wesoło dzień zeszedł; towarzystwo było liczne; czytaliśmy urzędowy raport o batalii pod Dembą Wielką (!) i piliśmy za zdrowie zwycięzców, panny śpiewały pieśni patryotyczne i zabawy ciągnęły się w noc późną O godz. 12-tej, kiedy się goście rozjeżdżać zaczęli, wymknąłem się z pokojów i po za ogrodem pod starą gorzelnię podszedłem, gdzie na mnie czekał przewodnik. W milczeniu poszliśmy przez pole, po świeżo pooranej roli, potem przez błota, na których po kolana brnęliśmy, aż do rzeki Bóbr, gdzie na brzegu przewodnik mój miał w ajerze ukrytą małą łódkę, tak małą, że za poruszeniem się i straceniem równowagi łatwo się było wywrócić. Wsiedliśmy ostrożnie, a przewodnik sterował po za samym rzędzie (sic!) jakiegoś płotu w wodzie, od rybaków tam do zastawiania sieci przygotowanego. Noc była pogodna, cicha, księżyc tak jasno świecił, że nigdy go w tak wspaniałym blasku odtąd nie widziałem. Czasem kiedy niekiedy plusnęła ryba na powierzchni wody, a szczekanie psa we dworze, z któregośmy wyszli, ledwo słychać było. Daleko za nami na brzegu błot widziałem ognie pogranicznej straży, od zachodu nad puszczą dym jakiś i łuna dalekiego pożaru.

Patrzyłem na piękne niebo, kiedy się łódź nasza z szelestem w zarosły brzeg łozą i ajerem zaryła. Było jeszcze na ukos pół mili drogi błotami do wsi, w której przewodnik mój, Mazur z pod Goniądza, miał swoich krewnych i znajomych; a był to jakiś ponury i surowy człowiek, słowa nie przemówił do mnie i kiedym do niego zagadał, on syknął tylko i ani się odwrócił do mnie. Raz głęboko zapadłem; dał mi rękę, podźwignął mię i przestrzegł, żebym unikał czarniawych miejsc, ale szedł, kędy woda była. Jakoż tam na dnie błota jeszcze się lód utrzymywał i choć chłodno, dosyć mi znośnie było, pókiśmy na bardzo zimne krynice i żelazną rudę nie trafili, gdzie przez czas niejaki prawie po pas w błocie zatrzymać się musiałem, póki mój Mazur nie wynalazł drogi, kędy to oparzyste miejsce obejść można było. W godzinę przyszliśmy pod dwór J..., gdzie miałem sobie życzliwych, a kiedyśmy się do wielkiej przybliżali drogi, tentent koni i głos rozmawiających ludzi na gościńcu kazał się nam w rowie przyczaić. Po chwili podniosłem głowę i daleko widziałem lśniące po księżycu kaszkiety grenadyerów ruskich. Był to patrol nieprzyjacielski; przewodnik mój poszedł na wzwiady, potem wrócił i we dwóch przez płoty, przez ogrody podeszliśmy z tyłu pod okna. Zastukałem, ogromne psy do nas się rzuciły, a w moment wyskoczył młody gospodarz. Oddałem mu kartkę, on mię wprowadził do swego pokoju, wykrzesił ognia, przeczytał listek i zaraz ustąpił mi swego łóżka, bo tej nocy niebezpiecznie było w dalszą puszczać się wędrówkę.

Nazajutrz przyszła do mnie gospodyni domu pani L..., pozdrowiła mię ze łzami, bo z kartki, którą synowi oddałem, już się domyśliła powodu mojej podróży. Szanowna ta Polka była w żałobie po mężu; trzech synów miała w wojsku rewolucyjnem; młody zięć w miesiąc po ślubie poszedł z karabinem a córka w Warszawie została; najmłodszy tylko syn pomagał w gospodarstwie matce. Dziwiłem się uniesieniu, z jakiem chwaliła mi się, że jej synowie są w najwaleczniejszych pułkach. »Starszy, jak mam wiadomość, jest w czwartym liniowym, średni w drugim pułku ułanów, a trzeci co do jaskółek kulą z pistoletu trafiał, jest bezwątpienia we frejszycach, co to z trupiemi głowami za bezpardonnych są okrzyczani. Ah! gdybyś pan wiedział — przeszłej niedzieli byli tu Moskale, musiałam

ich częstować, ale przy kawie, kiedym zaczęła im gadać o tym moim synie, zawołanym strzelcu, jak trafnie do asa, a jak zimno do niedźwiedzia strzelał, a potem o sile mego najstarszego syna, a o zręczności mojego ułana: pobledli moi goście i ledwo usta otarli, jeden za drugim wyniósł się z Panem Bogiem! Żadna tu z moich sąsiadek nie jest odemnie szczęśliwszą, choć ja płaczę; żadnej może modlitwy nie są tak gorące: bo ja się modląc za kraj, modlę się za moich najukochańszych synów. O! żebym też choć jednego po wojnie ujrzała, a jeśli już Bóg osądził, że wszyscy oni mają być zabici — żeby też nie napróżno; jakby się uradowała dusza mego męża, gdyby Polska była Polską wolną i niepodległą, do czego on do śmierci tęsknił i wzdychał!«.

Kiedy tak ona mówi, a jej słowa były dla mnie miłe jak najpiękniejsza modlitwa, wbiega dziewczyna z oznajmieniem, że słychać strzały działowe. Wybiegła pani L... i jej syn, a ja za nimi wkrótce; i rzeczywiście mogliśmy uchem choć słabo rozróżnić kilkadziesiąt bardzo dalekich strzałów, a był to pierwszy głos batalii, jaki w życiu mojem słyszałem.

Długo popasywać nie było bezpiecznie; prosiłem o przewodnika o mil trzy do Dembowy, do znanego tam ze swoich cnót W... Pani L... oświadczyła mi, że sama mię tam zawiezie, wzbraniałem się ją narażać na niebezpieczeństwo, ale po krótkim namyśle zaprzężono konie, wsiadłem na kozły, wziąłem bicz i lejce, i tegoż dnia zawiozłem panią L... i brata jej zięcia do Dembowy. Po drodze spotkaliśmy Moskalów, w Cichowie była silna załoga, aleśmy szczęśliwie uniknęli podejrzeń, nikt nas nie zatrzymał.

Dembowa jest mała szlachecka okolica nad kanałem Augustowskim, przy samej sluzie, wkoło bagnami niedostępnemi otoczona, a z jednej tylko strony od Cisowa na dwie wiorsty grobla do niej prowadzi. W tej okolicy mieszkał sławny z poczciwości swojej Litwin A... Ale tuż przy nim siedział na ogrodzie jeden zwadliwy sąsiad, pieniacz, chciwiec i kryjomy duch Moskalów. O ile tamten był nam pomocny, o tyle ten ostatni nam i sąsiadowi swemu szkodził i trzeba się go było wystrzegać jak szpiega.

Na nieszczęście pana A. w domu nie znalazłem i niewiadomo było, dokąd zrana poszedł. Jego żona, kobieta pobożna,

prosta, młoda, czekała go niecierpliwie i była niespokojna, bo, jak się przed nami przyznała, przysłano z lasu po jej męża iano dla przeprowadzenia w J... puszczę dwóch jakichś zbrojnych Krakusów. Gospodyni uprzejma częstowała nas jak we zwyczaju, ale była roztargnioną, co chwilę spoglądała w okno i dziecko swoje najstarsze wysyłała na groblę, na wywiady, czy ojciec nie wraca. Bawiąc gości, niekiedy wśród rozmowy mieszała się, bladła i zdało się jej, że słyszy tentent koni i łzy miała w oczach; dzieci nawet były niewesołe, bo nie wiedziały, czego matka płacze.

Pani L. długo czekać nie mogła, dla oka więc złego sąsiada usiadłem znowu za furmana i wywiozłem ją daleko na groblę, a potem zeskoczyłem z kozłów i o zmroku przyszedłem napowrót do Dembowy.

Gospodarza jeszcze nie było w domu; sama ze starszem dzieckiem modliła się u obrazu, a na najmniejszy szelest czujną była. Wtem pies, co u progu leżał, zrywa się, uderza po drzwiach łapą, skowycze, wyskakuje i wita swojego pana. Wesoło, z hałasem wbiega poczciwy szlachcic po prostu w płóciennej kapocie ubrany, ściska żonę, całuje dzieci, po tysiąc razy je całuje; potem wyjmuje dla nich dwuzłotkę nowo przyniesioną z Warszawy, na której był wybity orzeł biały obok pogoni litewskiej. Cisną się dzieci i żona widzieć nowy pieniądz, on je raz jeszcze uścisnął i krzyknął z radością:

»Brawo! wszystko najpomyślniej idzie!« Tu spostrzegł mię obcego i rzucił okiem na żonę. Ona go wnet ostrzegła, że ja dziś panią L. przywiozłem, a jestem posłem od powstańców.

Zacząłem mu o Żmujdzi i o Litwie rozprawiać, ale mi nie dał mówić wiele, podał rękę, uścisnął i rzekł: »Już o tem wiem i wiedzą o tem wszystkiem w Warszawie; i teraz dwóch z rozkazami emissaryuszów przeprowadziłem; a jakież to walne chłopaki; jeden miał z galonka pendent, znać że oficer, drugi zapewne w randze podoficera; a jakaż broń! Dubeltówki, pistolety, szable i krucice. Ale też nie z biesa przejść zbrojno przez całą armię nieprzyjacielską! — ważne papiery niosą na Żmujdź; żywcem by ich nie wzięli. Trzy dni temu jak z głównej kwatery wyszli. — 12.000 moskiewskiego niewolnika do Warszawy przyprowadzono. Patrz pan, co za pieniądze tam biją — paradny wystrojono legion litewski i lada dzień wyszlą

go na Litwę. — Aż przez Gdańsk czy jeszcze dalej Lelewel odebrał list o Zmujdzinach. Co to za radość tam była. Nigdy nie zapomnę tych walnych wiarusów, jakie też to zuchy! a puste, a wesołe, co też my się nie naśmiali. Jeden czarniawy nazywa się Prz.«. »Toć pewno drugi W.«, podchwyciłem, »on mi dał słowo, że na pierwszą wieść o powstaniu, pierwszy rozkazy od wodza przyniesie«. »Tak jest«, odpowiedział, »on wam słowa dotrzymał; bo też to zawadyaka jakiś, a silny, a zręczny! już oni stąd daleko«. »Więc już w Warszawie o powstaniu wiedzą i nasi rozkazy na Żmujdź ponieśli?« zapytałem. »O! wiedzą, i już po liście z Gdańska otrzymano tam drugą dokładniejszą wiadomość. Ale jeśli pan masz co nowego do doniesienia, a jakie nowe polecenia od swoich, to popróbujemy, może się uda; rzecz nie jest niepodobna do wykonania, choć Moskale czujni i można stryczek obłowić. Ach, biedni trzej akademicy z Wilna — niedawno z wielką pracą i mozołem przedzierali się do Polski, jakże się też im chciało służyć w Krakusach; moja żona ich ostrzegała i ja namawiałem: poczekajcie lepiej, wszak lada bitwa, to nasi Dybicza za kraj świata przepędzą. Nie i nie — koniecznie do wojska. Szczęśliwie ich aż za Rajgrod przewiodłem: nocami po niedostępnych miejscach szli o głodzie i chłodzie i już pod same przednie straże polskie podpełzli, na wzgórzach pikiety kozackie widzieli, gdy na nich moskiewski patrol nadjechał: jeden uciekł, a dwóch na miejscu skłuto. Ale potem o tem, — żono! czyście nakarmili gościa, bo zaraz pójdziem spać, a jutro przeprowadzę, dokąd zechcesz«.

Projekt o śnie bardzo mi był do smaku; po nocnej wędrówce czułem się być strudzonym a przygotowane łóżka nęciły mię do siebie.

»Więc idziemy spać«, rzekłem; ale sama gospodyni ciągle niespokojna, jakoś trwożliwa, kilkakrotnie powtórzyła: »czy tylko tu wam bezpiecznie, jakieś przeczucie mię trwoży«. »Dobrze mówisz, moja kochana«, powiedział mąż, »widzieli mię dziś jacyś ludzie i żydek z sąsiedniej karczmy, kiedym prowadził moich wiarusów; o, jutro mię w domu nie ujrzycie; ale dyabeł poniesie Moskalów po nocy; jednak (!) ostrożność nie zawadzi«. Wzięliśmy płaszcze, daliśmy dobranoc, gospodyni nas przeżegnała i szliśmy spać do stodoły. Ale chłopak służący poradził

nam spać nad chlewem, gdzie był skład zimowego karmu. Tam się wdrapaliśmy po ścianie z A., a za nami wlazł tenże chłopak i wszyscy trzej jeden przy drugim zaryliśmy się w słomę, a tylko para pistoletów i fuzya były tuż przy nas na pogotowiu.

Moi towarzysze odrazu usnęli. Ja w myślach rozważałem sobie, czy mam iść dalej, kiedy o powstaniu, o tem, co mam powiedzieć, wiedzą już w Warszawie; — ogólnie mi tylko o wszystkiem Stanisław donieść poruczył; — żadnej bitwy, żadnego nadzwyczajnego wypadku, nawet sił powstańców opisaćbym dokładnie nie mógł. Rozkazy już za dni kilka będą na Żmujdzi. Ja tam nie byłem — ale mam hasła, znam Lelewela; możeby moje rady, uwagi były dla Litwy przydatne, a może się im dziecinne wydadzą: im, co takich cudów dokazują. A tymczasem między swoimi byłbym użyteczniejszym — po lasach z powstańcami, w partyzanckiej wojnie! — czy się nie za prędko pochwyciłem pierwszej zręczności stania się czynnym? Koło domu tyle ważnych rzeczy było do wykonania. — Ale za to widzieć Warszawę! — zwycięstwo pod Wawrem i Dębem, 12.000 niewolnika, pieniądze z pogonią litewską, nasze legiony stanęły mi w duszy. Trzeba dotrzeć, choćby dla widzenia jednej pikiety krakuskiej. Sen mię nie brał; Bog wie, co mi się marzyło; północ minęła, już zaczynało świtać.

A wtem tentent koni posłyszałem: coraz się przybliża; na chwilę ucichł: skrzypnęły wrota; już na dziedzińcu słychać konnych. Podniosłem głowę, przez otwór u strzechy widziałem żołnierzy jadących prosto do domu pana A. Na przodzie było kilka par kozaków z pikami, a dalej po dwóch jechali kirasyery, każdy z pistoletem w ręku: jechali stępo, w milczeniu. aż pod sam ganek domu. Zbudziłem pana A.; pierwsza myśl przyszła — zsunąć się tyłem z za strzechy i uciekać w błota. Lecz skorom wysunął głowę, ujrzałem cały dwór dokoła otoczony gęsto żołnierstwem. Tu jęk przeraźliwy żony i dzieci nas dochodzi. Po domie, po dziedzińcu biegają z ogniami: już w stajni, już w stodole. Okropna wrzawa: »hdie baryn? hdie chaziain? zdieś krakusy!«. Słychać, jak biją sługi i domowników. Chciał skoczyć A., wstrzymałem go, mieliśmy trzy strzały: za nas dwóch, trzech by ich padło. Wpadają do chlewa z ogniem; nasz chłopak ze strachu, sądząc, że uciecze, zsuwa się od ogrodu

po ścianie; dostrzeżono go, łowią, pistolet mu przyłożono do piersi i pytają: »hdie baryn?«. Podskoczyli drudzy, biją go; ale on się zaląkł i nie mógł słowa przemówić. Potem go oficer bierze na stronę; prowadzi go do chlewa, nad którym byliśmy schowani; nadstawiamy ucha: słyszymy targ. Dwadzieścia dukatów daje mu oficer, jeżeli pana wyda, sypie mu rublami; a w domu coraz okropniejszy jęk dzieci i żony: płacz i krzyk kobiet. Tu znowu na dole słychać namowy żołnierzy: »nie lękaj się pana«, mówią do naszego chłopca, »ty będziesz wolny, a my go powiesimy — powiedz, gdzie krakusy, on dwóch dziś tu przyprowadził, wszak to ich konie w stajni, oni tu śpią u niego, wot dieńgi« — i znowu słuch natężamy; słychać łkanie chłopca; »mów, bo zabijemy«, krzyczą i tłuką, a on ledwo mógł wyjęknąć: »nie wiem, — dalibóg nie wiem, gdzie pan; on za furmankami pojechał«. Wtem jeden zapytał, »a gdzie u was siano?«. »W stodole«, odpowiedział chłopak i poszli wszyscy do stodoły; tylko dwóch kozaków zostało, którzy po za strzesie(sic) i po kątach pikami ryli i głęboko wiercili słomę nad chlewem rzuconą, tak że pan A. o mało w piersi ugodzonym nie był. Klną i łają Moskale; odbili spichrz, w domie podłogę wydarto, wybijają komin, nawet pasiekę w ogródku zburzyli, powywracano ule, a wszędzie rabunek, gwałt. Drudzy ze stodoły wracają i dają znać starszemu, że siano, jakie tam znaleźli, tak przeszyli pikami, że tamby się i szczur nie osiedział. Wzmaga się złość w barbarzyńcach: »Zapalcie budowle«, zawołał oficer, »oni tu być muszą, niech się przynajmniej gdzie uwędzą«. Już zapalone łuczywa niosą, jeden tylko ich wstrzymuje jakiś poczciwy; inni się burzą; wszczyna się kłótnia. »Jakto, cztery mile napróżnośmy zbiegli, spędziliśmy konie, okaśmy nie zmrużyli i nas siedmdziesięciu jednegożby skatinę złowić nie miało!« Długo coś między sobą starsi radzili, drudzy się na ziemi rozciągnęli, pijani i zmordowani, aż w końcu »na koń!« głos oficera dał się słyszeć, a żołnierze ozwali się chórem, złorzecząc A., przeklinając Krakusów i Polaków i samego boha hosudara, co ich męczy.

Mrucząc, wyjechali z dworu, kurzawa ich ogarnęła, goniliśmy ją daleko okiem, aż w końcu grobli znikła. Jeszcze było głucho i obaśmy w słomie leżeli, a każdy jednem okiem patrzył przez otwór, jaki sobie w strzesie(sic) był przewiercił; nie-

pewni jeszcze życia, bo niepewni, czy wszyscy żołnierze już odjechali; kiedy usłyszałem głos pani A., słaby i przytłumiony: »mężu, uciekaj!«.

Wyskoczyliśmy, godna politowania była ta kobieta z nawpół umarłą twarzą, drzała, a przy niej stał biedy chłopak służący zbity i przelękniony. »Uciekajcie«, rzekła pani A., »bo nie ręczę, czy po was znowu nie przyjdą, skoro im sąsiad da wiedzieć, że wy tu jesteście«; a spostrzegając mię dodała: »dzięki Bogu, żeś pan ocalał; opatrzność najwyższa zakryła was przed barbarzyńcami, że im nie przyszło na myśl wleźć tu na górę, kiedy najmniejszy zakątek w całym dworze przetrząśli. Biedne moje dzieci ledwo żyją z płaczu i ze strachu«. »Krótka rada«, przerwał pan A., »pan się przebierz i powiedz mi, dokąd chcesz iść?« Zrozumiałem z jego miny i z zapytania, że miał mnie za zrażonego tym nocnym wypadkiem; wzięło mię punkt honoru i rzekłem: »idę dalej!«. Uścisnął mię szlachcic, klasnął dłonią i zawołał: »toć mi zuch! ja ciebie o tęgie pół mili do wioski przeprowadzę, a ty Maćko«, rzekł do chłopca, »czółnem stąd pana przewieź aż pod tamte krzaki, żeby nas pan Marcin nie postrzegł; ja z fuzyą inną pójdę drogą«. To mówiąc, zeszedł na dół, ucałował żonę i oboje poszli do dzieci.

Ja zostałem z Maćkiem, co nam uratował życie, oddałem mu całe moje odzienie, a on mi dał grubą koszulę, jakiej nigdy w ręku nie trzymałem, zdjął z siebie sukmanę szarą z potrzebami i kapelusz, a ja to na siebie wdziałem, co mi tak fizyognomię zmieniło, że kiedym przyszedł pożegnać gospodynię, ledwo mnie poznała. Pobłogosławiła mię ze łzami, dała mi na drogę chleba i trochę wędliny, ucałowałem jej ręce i poszedłem na brzeg kanału z Maćkiem, wsiedliśmy do czółna i popłynęliśmy.

Ranek był piękny, wiosenny; słońce już było weszło, dziękowałem Bogu za uratowanie mię nocy przeszłej z rąk moskiewskich, a w jego świętą oddałem się opiekę, i wesoło mi było, rześko, a myśl wczorajsza, czy potrzebnie idę dalej, nie wracała mi do głowy. Kiedyśmy płynęli, na brzegu stał pan Marcin i poznał się widać na sztuce, bo mi się surowo wpatrywał; a potem zoczywszy daleko pana A., pokiwał głową. zaburczał coś pod nosem i prędko poszedł do domu.

Maciek przybił czółnem na umówione miejsce, pożegnałem go i z panem A. przyszliśmy do wsi, położonej nad jakąś rzeczką, która do Bobry wpada, zdaje mi się nad Biebrzą. Tam poczciwy szołtys powiedział nam, że po całej okolicy szukają dwóch zbrojnych Krakusów, których wczora pan G. przeprowadził i za to go nieboraka, jak słychać, dzicz chwyciła i męczy niemiłosiernie. »Co, pana G...?«, zawołał pan A. i wziął się za głowę, »więc jesteśmy zdradzeni, — tak z nim wczora ich przeprowadziłem i dziś do niego miałem ciebie odesłać; on jeden mógłby ci wskazać dalszą drogę, bo bez niego nikt nie potrafił dalej się przedrzeć. On wiedział cały sekret dalszej podróży; biedny mój przyjaciel! zamęczą go! zamęczą!«. A wtem spojrzawszy na mnie z kwaśną miną: »Ale nie zważaj na to, jest jeszcze jedna rada. O mil dwie stąd mieszka między bagnami w puszczy strzelec Ale...; on, jak wiem, przeprawił zimową porą jednego Litwina pod Łomżą, a my się z nim dobrze znamy. Człowiek to prosty, ale tęgi zuch i patryota, do niego zaraz napiszę.

Wchodzimy do domku szołtysa, gdzie było kilka kobiet biało i czysto ubranych, — jedna siedziała za krosnami, a inne motały nici. Pierwszy raz w życiu widziałem tak zamożnego wieśniaka; serce mi się radowało, kiedy mię uprzejmie, nie pytając, kto jestem, wzięto za jakiegoś posłańca z dalekiej wsi, powitano jak wieśniaka, i częstowano gorzałką, a na stół zastawiono chleb, masło, ser i pełną misę gotowanego szczawiu.

Pan A. był wójtem gminy, znał dobrze szołtysa, szepnął mu na ucho, a stary poszedł po swojego syna i zlecił mu, żeby mię przeprowadził do owego strzelca w puszczy; sam zaś przyrządził dla mnie kurpie, bo miałem do przebycia pół mili błot i trzęsawicy, po których ciężko w butach chodzić. Wziąwszy więc zaletną kartkę od pana A., pożegnałem go; stary szołtys przeprawił mię i syna swego czółnem za rzeczkę i tam kazał mi usiąść na pniu, zdjął mi buty, włożył kurpie, a nogi moje sznurował powrózkami. »Dyć to wy nigdy w kurpiach nie chodzili«, rzecze, »wa! co też za okrutna noga, — mojego Jaśka o tyle większa« i patrzy na swojego syna podrostka, tłustego a niezgrabnego i uśmiecha się stary. Potem nas przeżegnał; »szczęść wam Boże!« rzekł i dał mi kij w rękę.

Z pół mili ciężkiej przeprawy przez błota miałem; po pas

zapadałem w bagna i dosyć zmęczony po dwóch bezsennych nocach dochodziłem w lesie do chatki, w której mieliśmy znaleźć leśnego strażnika; kiedy niespodzianie spostrzegamy przy chacie jakieś kobiety wyższego stanu nie pustelniczo ubrane, które, skoro nas zoczyły, pochowały się do chaty, a ku nam ogromne psy wybiegły. Za psami młody strzelec wyskoczył, obronił nas i zapytał, kto jesteśmy? »Szukam pana Ale...«, odpowiedziałem. Zmieszał się i ledwo wybąknął »ja jestem«, oddałem list, co go jeszcze bardziej zmieszało.

Odprowadza mię na stronę i zwierza mi się, że właśnie tej godziny pani nadleśna uciekła tu do jego chałupy i ma się tu ukrywać, bo już dłużej nie mogła wytrzymać rozbojów kozackich, mianowicie teraz, kiedy Moskale dopuszczają się gwałtu i rozboju. Potwierdził mi wszystko, cośmy o panu G. za rzecz niepewną od szołtysa słyszeli, — i oświadczył mi, że ani może, ani się odważy służyć mi za przewodnika. »Bój się Pan Boga«, rzecze, »tu lada moment, może tej nocy, Moskale do mnie wpadną i za najmniejsze podejrzenie chatę spalą. W Rajgrodzie mówił mi mieszczanin, że się już na nas odgrażał jeden tam żyd, co ma swoje konszachty z oficerami. A do tego, jest tu pani nadleśna: ona się przelękła na sam widok cudzych ludzi i osłabła. Ona mię przeklnie, skoro zobaczy, że ja rozmawiam z panem, — ona się domyśli. O! to przebiegła kobieta!«. »Ale pozwólcie mi spocząć«, rzekłem, »bom zmęczony«. Pomyślił trochę pan A., potem kiwnął głową: »Niech się tu pan zatrzyma, ja pójdę, pogadam z siostrą, może jakkolwiek da się ułagodzić pani nadleśna«.

Jakoż po chwili przybiegła siostra strzelca, młoda a ładna, i zaprosiła mię do chaty. Wszedłem, — na łóżku leżała jakaś otyła jejmość, a tuż przy niej ogromna na ziemi waliza i mały wrzaskliwy piesek.

»Waćpan z daleka?«, zapytała mię pani nadleśna, a choć w strachu, radaby mię zbadać, a ciągle się ogląda, zaziera w okno, chwyta się za serce, pluje i wzdycha. »Zdaleka, mości dobrodziejko«, odpowiedziałem i umilkliśmy. »Dokądże Bóg prowadzi?« »Chciałbym się do Łomży przedrzeć!« Znowu milczenie. »Ale to trudno, nie wiem, to niepodobna«, mówi pani nadleśna, a widzę, że już nad strach ciekawość górę bierze — i dalej po krótkim namyśle: »Pan może mi zawierzyć; mój mąż

w wojsku kapitanem, kto wie, może już majorem dotąd. Ach Boże! gdyby też kiedy Polska była!« Ja milczę, a pani nadleśna, biorąc to za potrzebną ostrożność, wysyła pana Al... na dróżkę od Rajgroda, jego siostrę po wodę, kuzynce każe robić herbatę, wtenczas zrywa się z łóżka, podchodzi familiarnie do mnie i biorąc mię za rękę, rzecze: »Ja wiem, że pan jesteś ważną figurą, ja się domyślam; i dobrze, że przed prostymi ludźmi wystrzegasz się gadać, — uciekaj czemprędzej pan stąd, bo tu niebezpiecznie. Ale powiedz mi proszę, czy prawda, co nam tu mówią o rewolucyi w Litwie, że tam jest 60 000 wojska? czy prawda o Anglikach, że już wylądowali w Rydze i że wojna turecka niechybnie«. Wtem pies zaszczekał, pani nadleśna krzyknęła i padła na kufer, co stał przy mnie. Wbiegają kobiety, nie wiedzą, co się stało, patrzą na mnie, patrzą na panią nadleśną. »Co to było«, pytają, rzeźwią imość. Ona drży, ocyka się, patrzy w okna i po pauzie zapytała, na kogo pies szczeka? »Na mego męża«, odpowiedziała siostra pana Al...

Zaprowadzono panią nadleśną na łóżko, a ona po chwili, z miną bardzo poważną, prosiła kobiet, żeby się oddaliły, bo ona ma w ważnej rzeczy ze mną do pomówienia. Wszyscy wyszli, ja znowu z nią tylko zostałem. »O! co mnie«, rzekła, »to pewno Moskale szukać będą. Chwała Bogu, że się skryłam. Mój mąż w Krakusach i wiedzą, że ja imperatora nie cierpię. Możesz mi pan zawierzyć; nie takie to rzeczy przez moją głowę przechodziły«. Na to odpowiedziałem strudzony, że wiele a wiele miałbym do doniesienia o Litwie, o wojsku, o Turkach i o Anglikach, że wszystko po części jest prawda, tylko mi tak słabo i tak jestem znużony, że muszę choć jedną tu noc przespać. »Ale zmiłuj się pan, chyba życie nie miłe. Tu co moment lękamy się Moskalów, tu o pół mili w Rajgrodzie dwa pułki«. Na to przełożyłem, że gorzej będzie, jeżeli w tej puszczy w nocy zachoruję a mnie nieżywego znajdą.

Strwożyło to imość, cały sekret ze mną umarłby dla niej; kazała mi dać herbaty, nalała mi nie żałując rumu, rozłożono ogień na kominie, rozparłem się porządnie przed ogniem i moje obuwie suszyłem. Tymczasem siostra strzelca przygotowała mi pościel w stodole, a potem nieznacznie z za drzwi mrugnęła na mnie, tak, że tego nie dostrzegła pani nadleśna, która coraz niecierpliwiej wyglądała odemnie nowin i wiadomości. Wy-

szedłem, nie mówiąc jej słowa i padłszy jak długi na łóżko zasnąłem.

Zaledwo słońce weszło, obudziła mię siostra pana Alex..., przyniosła kawy i kawał wielkanocnego pieroga i pocieszyła mię okiem nadziei.

»Niech pan będzie spokojny«, rzekła, »choć pani nadleśna całą noc nie spała, dziś jednak nie jest w takim strachu jak wczora; a ja namówiłam brata mego, żeby dziś poszedł do Rajgroda, o wszystkiem się dowiedział, o wszystkiem się przekonał i jeśli można, sam lub przez kogo drugiego ułatwił panu przejście dalej. A tymczasem pan musisz dziś tu koniecznie odpocząć, bo się o jego zdrowie lękamy.

Podziękowałem czule, poszliśmy do chaty, gdzie w istocie spokojniejszą znalazłem panią nadleśną, a pan Ale... już był do Rajgroda poszedł.

Został był tylko jego szwagier, młody a prostakowaty, którego, jak uważałem, z góry pani nadleśna traktowała, a on o niej z przekąsem mi gadał i rzadko kiedy siedział w izbie. Cały ten dzień zeszedł mi na próżno. Nudziła mię p. nadleśna wypytywaniem się o Litwie, o powstaniu; musiałem o wodzach i o wojskach gadać, których nie widziałem, wypadło i o Turkach i o Anglikach napomknąć, a za to o Francuzach imość mi gadała i wspólnie do pół miliona armii Polsce przygotowaliśmy, a kiedy się udało wymknąć, szedłem pod pozorem niebezpieczeństwa do lasu, gdzie mi niespokojność myśli i gawędka pana szwagra nie dozwoliły zdrzemać, choć snu jeszcze potrzebowałem.

Wieczorem późno jużeśmy byli zniecierpliwieni czekaniem na gospodarza, a na panią nadleśną paroksyzm strachu napadł. Niespokojna o swego brata gospodyni u progu chaty stała i lękała się samej p. nadleśnej, która na nią zwalała całą przyczynę nieszczęścia, jakie zapewne spotkało jej brata w Rajgrodzie. Jeden tylko szwagier spokojnie siedział w kątku i korzystając ze zmroku, chrapał. Wtem pies zaszczekał, porwaliśmy się. Gospodarz wrócił, ale przelękniony, zmieszany, najgorsze nowiny nam przynosi. »Ach, tam skończenie świata!«, rzecze, »co też tam nie wyrabiają Moskale. Pana G. okrutnie zbili za przeprowadzenie dwóch Krakusów; pobrali i strzelców jego i szołtysa i zięcia arendarza. Bóg wie, kto ich wydał! całe miasteczko

w strachu. Przy mnie żołnierzy wysyłano po rozmaitych panów; a kogo wezmą, bądź zdrów! Posłano powtórnie po pana A., bo wiedzą o jego konszachtach z Polakami. Kirasyery jak dęby wielkie noszą się z pękami łóz, któremi sieką naszych niemiłosiernie. Najsurowiej zakazano bezpaszportnych na moment do chaty przyjmować, owszem kazano dostawiać wszystkich cudzych ludzi do policyi, a z gminy do gminy ani przejść bez moskiewskiego świadectwa. »Dosyć, dosyć«, przerwała nadleśna, »pan tu nocować nie możesz, idź sobie z Panem Bogiem; nam życie drogie, a i chaty szkoda, bo spalą«. To mówiąc, nastroiła srogą minę i z kąta w kąt chodziła po izbie, a coś sobie pod nosem mruczała i kręciła głową. Siostra strzelca załamała ręce i łzy jej stanęły w oczach; a jej mąż, co się w dzień namyślał służyć mi za przewodnika, usłyszawszy złe nowiny, pierwszy uciekł z izby.

Nie było czego czekać, wziąłem mój kij, skłoniłem się i wyszedłem z Panem Al..., a za nami wybiegła jego siostra i zaklinała mię na wszystko, abym niedaleko od chaty pod dębem nocował, a nie puszczał się nocą w nieznajome miejsce lub gdzie w puszczy nie kładł się na ziemi, bo tu są jadowite węże. Wyniosła mi potem poduszkę i kożuch, bo noc była zimna, a ja prócz sukmany nic na sobie nie miałem.

Jeszcześmy się chwilę naradzali z panem Al...; on mi powiadał o położeniu wojsk moskiewskich i o obrotach naszej armii; prosiłem go i zaklinałem, żeby mię przynajmniej przez rzekę Łyn i przez jej rozlewy i zatoki przeprawił, bo pływać nie umiem; a w tym czasie rzeka była wezbrana i trudne do przebycia tak nazwane biele, które nakształt jeziór po tej puszczy rozmaicie się wiją. Odłożył to do jutra, a ja poszedłem kilkaset kroków od chaty i położyłem się pod dębem.

Zimno było i wilgotno i obrzydliwie między gadami; sen jak z musu przychodził, był przerywany i marzenia dzikie, mordujące. Kilkakrotnie byłem w Warszawie, patrzyłem na szeregi powiązanych Moskalów, na zdobyte sztandary, na świetne wojsko nasze; byłem na sejmie i jak poseł perorowałem; — potem porwany w ręce Moskalów pod szubienicą wyrywam się, znowu mię łowią, okutego prowadzą na Sybir. To ostatnie mi się śniło, gdy mię zbudził strzelec i oświadczył, że ani on, ani jego szwagier nie chcą i nie mogą się odważyć na przeprowadzenie mię

w stronę ku Warszawie; że tego po nich żadną zapłatą wymódz nie zdołam i tu dłużej przebywać mi nie wolno.

Jedna więc tylko droga dla mnie zostawała, to jest ta, którą przyszedłem, a wróciwszy pod Dembowę myślałem, że przez znajomego mi szołtysa zejdę się gdzie z panem A. i on mi poda jaki inny sposób lub radę.

Pani nadleśna, kiedym wszedł na pożegnanie, mocno się uradowała, widząc, że odchodzę. O strzelcu i jego siostrze nigdy nie zapomnę, bo u nich widziałem czułość, prostotę, szczerość i gościnną życzliwość, jakiej od obcych może już nigdy nie doznam.

Za boską pomocą trafiłem prosto do wsi mego znajomego szołtysa, przebyłem powtórnie błota z butami pod pachą, w kurpiach danych mi od strzelca, i spocząłem na pniu, na którym mnie stary przedwczora obuwiał. Zoczył on mnie rychło ze swojej chaty, podał czółno, przewiózł; ale o A. nikt w całej wsi nie wiedział, a innej drogi nie było, jak albo znowu wracać na chatę pana A., albo koło Dembowy niedaleko Cisowa iść poza Augustowskim gościńcem. Po przerwaniu zaś łańcucha znajomości, pierwszy zły albo lękliwy człowiek mógłby mię wydać. Zostało mi tylko wracać do Jastrzębnej i tam od znajomego mi dostać listy czy zaświadczenia lub mieć sobie osoby wskazane, do których mam się udać.

Ale razem ostygła we mnie chęć awanturnictwa, czułem się niesposobnym do emisaryuszostwa tajnego i widziałem, że po przejściu dwóch posłańców na Żmujdź moja misya temsamem niepotrzebna była, a wiele miałem już do doniesienia w Litwie, gdzie przed odejściem mojem nic prawie nie wiedziano, ani o zwycięstwach polskich, ani o położeniu armii nieprzyjacielskiej.

Po godzinnym odpoczynku poszedłem dalej. Szołtys kazał synowi swemu zaprowadzić mię do wsi (jeśli się nie mylę Ostrówki) o pół mili za Dembową, gdzie miałem znaleźć jego zięcia, o którym mi powiadano, że jest zręcznym do tajemnych wędrówek, zna wszelkie manowce i ścieżki, wszędzie ma znajomych; a nadewszystko chwalił mi go szołtys z poczciwej również jak rzadkiej przebiegłości.

Południe minęło, kiedyśmy do tej wsi dochodzili, a po drodze widziałem przy śluzie jakichś rządowych strażników;

z Dembowy moskiewscy wyglądali żołnierze i pan Marcin był niedaleko na polu. Pana zięcia szołtysa nie znalazłem w domu, on orał pod lasem, pobiegła po niego żona, a ja się do stodoły skryłem.

Przyszedł gospodarz, z miny przebiegły, wesoły, gaduła. Zaprosił mię na obiad, usiedliśmy za stół, i jak pamiętam po prostu ugotowany szczaw z okrasą bardzo mi smakował. Gdy przyszło do rzeczy, nie dał mi wiele mówić. »Wiem, wiem«, rzecze, »Wasan chce do wojska polskiego: toć nie daleko, — Wasan dziś będzie u krakusów, kiedy chce. Wszakże tu wczora kozaka zabili, a dwóch zjuszonych ledwo uciekło i pociągnęli za sobą konia, a magazyn nasi zabrali«. Potem umilkł i dał mi do zrozumienia, że o wielu rzeczach wie, tylko się oglądał na młodego szwagra i na kobiety, które wnet odprawił, a wtenczas mi powiedział, że w puszczy Jastrzębskiej tysiąc jest Krakusów i strzelców, którzy w tych dniach mają napaść na Augustów i z miasta Moskalów wypędzić. Kiedym go pytał, skądby się tu krakusy wzięli; on tylko o bataliach, jakie na wielkim gościńcu zaszły, o strzałach, jakie tam dziś słyszano i o przestrachu Moskalów powiadał. Wpadłem na pomysł, że P. ze swymi partyzantami musiał tu wskutek przyniesionych do niego rozkazów podejść, lub pan Sz., o którym od pana Andr. słyszałem, zapewne ze swymi strzelcami już działać zaczął. Ręczał mię gospodarz, że w tych dniach spodziewają się niechybnie ze trzy tysiące krakusów tu do puszczy i że kirasyery ruskie zbiegli się do kupy i pod Rajgród uciekli.

Nie tracąc czasu, kazałem siebie pod Jastrzębnę prowadzić, bo tam, jeśli nie krakusów, to znajomego mi znaleźć byłem pewien. Po drodze spotykałem włościan, a każdy nam zaraz gadał o tysiącach krakusów, jakiemi się napełniła puszcza, jakoteż o pobiciu pod Jastrzębną kozaków.

Ale niejeden nas ostrzegał, że Moskalów ćma wije się koło puszczy, że tuż przed nami, tam dworek zrabowano, tam wieś, a tam zabrano konie i nikogo na drodze nie przepuszczają. Przebiegły mój Mazur tak się tęgo wymykał wązkiemi ścieżkami, żeśmy ani jednego nie napotkali Moskala; ale na nieszczęście był on wielkim miłośnikiem karczem i gawędki. Gdziekolwiek poczuł gorzałkę, zboczył niby dla rozpytania się o nieprzyjacielu, a nigdy na jednym kieliszku nie przestał. Miałem

zręczność przypatrzyć się poczciwej uprzejmości, junactwu i prostocie tamecznych rolników: nie widziałem i jednej familii, któraby nam nie mówiła o synach i braciach swoich, co poszli na wojnę, a każdy wzdychał do wypędzenia Moskalów, a mego przewodnika, znanego jak widać w okolicy z patryotyzmu, witał pomyślną nowiną, że krakusy na głowę kozaków pobili i że w puszczy jest »ćma naszych żołnierzy, pięknie w mundurach poubieranych«. »Mój Jaśko, jak świt, poszedł ze strzelbą do puszczy; niech go Bóg prowadzi«, rzekła do nas jakaś poczciwa kobieta i zapłakała. W innem miejscu spotkaliśmy żydostwo jakieś, ze swemi tłumokami uciekające, które nas upewniło, że armia polska gwałt co dokazuje pod Jastrzębną.

Słońce się chyliło ku zachodowi, przyspieszyliśmy kroki nasze; Mazur nie ustaje w gawędzie; zmordowany, potrzebowałem też nieraz wychylić kieliszek gorzałki. Nakoniec mijamy lasy Cisowskie, słońce zaszło i widać niedaleko puszczę.

Cicho było, wieczór pogodny, żadnych wojsk nie widać. Słyszałem dzwonienie na pacierz z pobliskiego kościółka; Mazur głośno odmawiał »Anioł Pański« — a potem pokręcił głową i rzecze: »Dyć to mądry zakrystyan, co choć księdza nie masz tak regularnie dzwoni na pacierze«. »A gdzież ksiądz?«, zapytałem. »Oh! ksiądz już dawno z dwururką i z krzyżem poszedł na Moskalów; poczciwy to księżyna! jakie on nauki prawił!«.

Szeroko mi o kazaniach tego księdza gadał, kiedyśmy pod samą puszczę podchodzili, kędy droga do Cisowy idzie.

Po prawej stronie drogi jest jezioro, tuż przy gościńcu spust, młynek i karczma, w której żydek mieszka. Nad jeziorem od Stankowa leży mała okolica szlachecka, gdzie przewodnik mój miał się o wszystkiem dowiedzieć przez znajomego tam szołtysa.

Mój Mazur był już tęgo podchmielony, kiedyśmy do tej wsi szlacheckiej weszli. Na ulicy spotykamy szołtysa, jakiegoś walnego w szarej sukmanie szlachcica, który na mnie surowo, badawczym okiem spojrzał i długo zdawał się nie słuchać mego przewodnika, co go natychmiast zagabnął o jakichś chrzcinach i kumostwie, na którem jego żona pokłóciła się ze szwagierką sąsiada. Tak się nad tem długo rozwodził, że ja nie widząc temu końca, a licząc na ich znajomości, przerwałem rozmowę i zapytałem, czy prawda, że tu są krakusy i kędyby się tu do

nich przedrzeć można? Spojrzał na mnie surowiej szołtys i oka ze mnie nie spuścił, a i mój Mazur nie bardzo był z mego zapytania kontent. »A któż wasan jesteś?« zapytał szołtys. »Ogrodnik z Dembowa« podchwycił mój przewodnik, »i mój dobry sąsiad; idziemy szukać konia, co nam Moskale ukradli«, a widząc schodzących się ludzi, ścisnął nieznacznie szołtysa za rękę. Aż tu i żydek z pod młyna przybliża się do nas, z załamanemi w tył rękoma, skurczony, wytrzeszczył na mnie oczy, i »nu, co tam słychać?« przebąknął. A wtem szołtysa już przy nas nie było, coraz się więcej zbiega szlachty, kobiet i dzieci. Ja się lękając, iżby się to na co złego nie zaniosło, szepnąłem do kolegi, że się stąd wynosić trzeba; ale on, swoją gawędką zajęty, nie uważa na nic: aż w końcu, kiedy już nas ludzie wkoło ostąpili, wpada szołtys i krzyczy: »Prowadźcie tych panów do mnie; ja ich nauczę, jak to bez paszportów chodzić. Dziś nowe pismo z Augustowa mam od gubernatora, żeby takich Ichmościów dostawiać do gminy; dziś tu przenocujecie u mnie, bo już późno, a jutro do Cisowy was odprowadzimy«. Odebrano nam kije i poprowadzono do chaty, a cała wieś zbiegła się nas widzieć.

Wchodzimy do chaty: ja smutny, ale mój przewodnik nie traci rezonu: »Wstydź się panie sąsiedzie«, rzecze, »czyż mię nie znacie, ja wam ręczę za tego człowieka (wskazując na mnie), wszakci my nie uciekamy«. »A mnie co do tego; toć sobie jutro w Cisowie o tem pomówicie«, odpowiedział szołtys, na co mu mój kolega: »Prawda, — to nic — ale — ale bo tam kozaki«, a widząc, że szołtys bardzo surowo te rzeczy bierze, dodał: »I to nic, my nie lękamy się, ale po co nam ten ambaras«. Powypędzał z izby niepotrzebnych, co się do nas cisnęli, szołtys, a nas zaprosił na przygotowaną wieczerzę. »Potem o tem«, rzekł, »a teraz, do Bożego daru: czem chata bogata, tem rada«.

Zasiedliśmy koło wąskiego a długiego stołu na ławie; na pierwszem miejscu siadł mój przewodnik, przy nim mnie posadzono, tuż dwóch szlachty, co nas pilnowali, dalej siadł szołtys i jego syn; a każdy się przeżegnał, prócz mnie, który tego zwyczaju naszych ojców dawno zapomniawszy, nie przypomniałem go na ten raz, bardzo dla mnie potrzebny: co na mnie zwróciło oczy szołtysa, że się zmarszczył, zajrzał mi w oczy i głową pokręcił

Gospodyni podała nam misę kaszy, z której wszyscy łyżkami czerpali, a mój Mazur nikomu gadać nie dał i ciągnął swoj dyskurs o jakimś koniu, co na jarmarku był kupił, potem przehandlował, na czem go oszukano, jak się odhandlował i t. p. Co do mnie, czułem taką suchość w gębie, że jednej łyżki przełknąć nie mogłem. Spostrzegła to gospodyni i podchodząc do mnie, rzekła z politowaniem: »Wyście chorzy?« »Tak, niedobrze mi, bardzo zmordowany jestem«, odpowiedziałem.

Na to gospodarz: »Więc dajcie mu mleka«. I gospodyni wyniosła mi na misce mleka ze śmietaną, które mię orzeźwiło, a tymczasem kończono pierwszą potrawę, dziewczyna odjęła misę, gospodyni drugą na stół postawiła, na której były kartofle, same zaś usiadły na stronie, jadły z poprzedniej misy i z niej dzieciom rozdawały.

Wtem wbiega do chaty młody, rzeźki chłopak w krótkiej sukmanie, strzelba i torba myśliwska na krzyż przez plecy, kapelusz z kogucim piórem na głowie. »Pan Jezus pochwalony, jak się macie, Boże dopomóż«, zawołał. »Prosimy«, odpowiedziano. Okręcił się, tupnął nogą, podjął ramiona, wziął się w boki, a z ukosa spoglądając na mnie, zapytał: »Co też to za człowieka macie, jam go w życiu nie widział, chociam tutejszy«. Mój Mazur śmiało mu spojrzał w oczy i rzekł: »Toć jużem tu powiadał, że to ogrodnik z Dembowy; czemże mu się tak przypatrujecie — wah! nie już że wy ludzi nigdy nie widzieli!« Powstaje zwada między nowym gościem a moim kolegą, wśród której widzę, jak koło okien naszej chaty coraz się więcej ludzi kupi i coraz nowe twarze w oknach się migają i jacyś ludzie z kijami a coraz większy hałas na dworze. Nagle rozwarto na wciąż drzwi od izby a z ciemnego podsienia wysypała się gromada ludzi zbrojnych w strzelby, w piki, w pistolety. Poznaję, że to partyzanci, co mnie wyzwolić przychodzą od szołtysa, który mię chciał wydać Moskalom i z radością rzucam się ku nim. Aż jeden z nich, jakiś ogromnie wąsaty, w zielonej kurtce, tęgo uzbrojony, bierze mię za piersi, przykłada pistolet i pyta mię po niemiecku. »Wer bist du und was hast du hier zu thun?...« Dziwi mię to, ale pewien, że któryś z patryotów, nie chcąc mię i siebie kompromitować wobec szołtysa sprzyjającego Moskalom, chce ze mną obcym mówić językiem, odpowiedziałem: »wer bin ich, das kann ich nicht...«. Jeszczem nie dokoń-

czył, a cała gromada wrzasnęła: »a Prusak! a szpieg! a wiązać!«, podają powróz, krępują mi ręce, ile im sił staje, a związawszy mię z Mazurem, prowadzą nas przez wieś, koło młyna, do puszczy.

Tłum ludu ciśnie się za nami, świszcze, łaje, wymyśla, dzieci nam zabiegają drogę, zazierają w oczy, przedrzeźniają; Mazur mi nad uchem wywołuje wszystkich czartów z piekła, a mój wąsaty po niemiecku wrzeszczy; i wszyscy idą prędko, coraz prędzej, bo ktoś ostrzegł, że moskiewska pikieta dała ognia i tuż nieprzyjaciel.

Ledwośmy wskoczyli do lasu, każdy się bierze do strzelby; przypadają do ziemi, czatują; ale patrol ruski inną pojechał drogą, strzelby się do kupy schodzą, gromadzą się koło nas, a choć tak było ciemno w gęstwini (sic), że ich twarzy rozeznać nie mogłem, na prędce wyciąłem do ich (sic) perorę: że ja się bynajmniej nie gniewam za ostrożność, z jaką mię przyjęto; ale prowadźcie mię, rzekłem, do waszego dowódcy, ja mu opowiem, kto jestem, a wam tylko donoszę, że na całej Litwie powstanie i że was tu szukałem, żeby wam o tem donieść, z wami się połączyć, bo tego interes wymaga. »Więc wiwat!« ozwało się kilku, »to nasz! odwiążcie«. I nas rozwiązano; a skorom ich uręczył, że mój kolega był mi przewodnikiem, puszczono go i odprawiono do lasu.

Tu nastąpiło wspólne uściśnienie, ale prawie każdy z nich był pijany, prócz jednego strzelca, który nam zaproponował, nie tracąc czasu, biedz na gościniec i tam czatować na oddział kiryssyerów. Ochotnie wszyscy na to się zgodzili, a na zakład przyjaźni, jeden z nich dał mi dubeltówkę, którą zarzuciwszy na plecy, poszedłem z nimi.

Kiedyśmy wyszli z gęstwini (sic) na bór nieco rzadszy, widziałem wszystkich przy świetle księżyca. Było ich do dwudziestu; najwięcej po strzelecku ubrani, mieli strzelby i za łowieckim pasem pistolety; u niektórych wisiał na sznurku kordelas, inni z oszczepami byli, a u wielu kogucie pióra za kapeluszem były zatknięte. Na czele szedł ów wąsaty strzelec, co mię po niemiecku był przywitał, nieco od innych, jak było widać, starszy z urzędu, i ze mną otwarcie a szczerze, lecz już po polsku rozmawiał. Z jego słów postrzegłem, że była to świeża garstka partyzantów, przez S. na prędce zebrana. »Patrz

kolego«, rzekł do mnie, »pierwszego zaraz dnia potłukliśmy kozaków, kilku ich w błocie gnije, mamy więźniów, zabraliśmy magazyn, a co to strachu Moskalom!«. »Prawda«, odpowiedziałem, »po całej okolicy biega sława, że was tu jest do dwóch tysięcy«. »Ho, ho!«, przerwał mi, »gdybyśmy choć setną część tego mieli na pierwszy początek, ale takich chwatów, jak ów, co tam widzisz w ciemnej sukmanie, prawie na końcu, idzie i pilnuje, żeby się te pijaki nie porozłazili«.

Tymczasem syknął jeden, co szedł przed nami; wszyscy się zatrzymują, rozchodzą się wzdłuż gościńca. Każdy siada za drzewem — cichość. I ja z moją dubeltówką niedaleko wąsatego strzelca się zakradłem, a każdy zdjął strzelbę z plecy (sic) i miał ją w ręku na pogotowiu, lub na kolanach położył. Było głucho, czekamy pół godziny. Wtem od Jastrzębnej ktoś gwizdnął — blisko mnie siedzący strzelec odgwizdnął.

Przybiega jakiś dworski człowiek dobrze uzbrojony i daje znać, że Moskale we dworze Jastrzębnej mocno się obwarowali i sądzą, że ich tam atakować będziemy, a nawet lękają się wysłać na podjazd. Schodzą się nasi strzelcy, słychać z daleka bęben moskiewski; potem kawaleryjskie trąby na postrach czy z potrzeby. Rozlega się echo po puszczy, potem znowu cicho; po krótkiej naradzie wypadło iść do naszych dowódców. Przedstawiono mię przybyłemu koledze, ale ów w ciemnej sukmanie na stronę go odwiódł i coś niedobrego z nim o mnie pogadał; bo w ciągu drogi stronili odemnie i pobiegli pierwej przed nami.

Szliśmy przez odwieczne łomy, po wywrotach, przez bagna; z kłody na kłodę skakać trzeba było, a kiedym się raz pośliznął, zapadłem po kolana w błoto. Choć tego dnia ubiegałem już mil ze sześć, starczyło mi jednak sił i byłem dość wesoły, a nowe partyzanckie życie wielce mi się podobało. Dziwiło mię, że bez śladu, bez ścieżki takeśmy szli przez starą puszczę, jak po znajomym gościńcu, a moi koledzy tak zręcznie po kłodach, po łomach skakali, jak gdyby im każdy pień, każde drzewo, jako dom rodzinny, było znajome i żaden nie plusnął w wodę jak ja, nowicyusz.

Ledwośmy na suche miejsce wyszli, dostrzeżono ścieżkę, na której, za przyśpieszeniem kroku, zoczyliśmy kilku ludzi zbrojnych pieszo, i dwóch konnych. Po wzajemnem gwizdnieniu

podchodzimy do nich i widzę jakiegoś z siwą głową, w mundurze leśnego urzędnika, dosyć otyłego obywatela, a miał dwururkę w ręku opartą na ziemi. Przy nim jeden wojskowy w mundurze strzelców pieszych; dalej w cywilnych płaszczach jacyś ochotnicy wyższego stanu; jeden Krakus z lancą i chorągiewką stał oparty o swojego konia, a na drugim koniu siedział jakiś wysoki człowiek, białym płaszczem okryty, z pod którego mu się czarne oczy iskrzyły, i miał na głowie ponsową konfederatkę. Tuż przy nogach leżała na ziemi baryłka, na której oparty siedział jakiś wąsal i nucił coś sobie pod nosem.

Strzelec z naszej gromady przedstawia mię jak nowego rekruta, nowego kolegę i ochotnika, ja opowiadam o współdziałaniu braci naszych na Żmujdzi i na Litwie, o batalii pod Wiesami, o rzezi Oszmiańskiej i o nadziei, że za dni kilka w całej Białowieży wybuchnie powstanie. Radość się wzmaga, wesołość; Mazur, co przy baryłce siedział, wstaje, podnosi ją o siwej głowie urzędnikowi; ten do mnie przepija, podaje mi ją; a że brakło kieliszka, wywracam ją do gęby i piję. Już tylko odrobinę wódki było na dnie samem, a wszyscy krzyknęli »wiwat! niech żyje ojczyzna!«. Jeden tylko, ów w ciemnej sukmanie, odprowadziwszy na stronę wojskowego z żółtą wypustką, gadał mu coś zapewne o mnie, bo często mię palcem wytykał i nie należał do naszej gawędki, która coraz rozkoszniej nam biegła, a strzelcy na trawie się rozłożyli.

Ktoś gwizdnął zdaleka; ucichła gromada, odpowiedziano. Wbiega zadyszały strzelec i woła: »Jesteśmy zdradzeni! jakiś tu szpieg między nami; już Moskale wiedzą o wszystkiem i w Augustowie mają nas spisanych. Dziś dom spalili panu Szarkowskiemu i twój (obracając się do starego urzędnika) zrabowali, zburzyli, dzieci i żonę wypędzili, stodołę spalono, a do waszych posłane kozactwo jeszcze nie wróciło. Biegłem koło Jastrzębnej, okropny jęk we dworze, płacz kobiet; aż strach jaki tam krzyk teraz. Naśród dziedzińca rozłożono ognie — latają z zapalonemi głowniami po stodołach, a rozpojone kozaki śpiewają. Tu niedaleko pod lasami o mało mię pikieta nie schwyciła. Ale jutro dwa bataliony piechoty i szwadron kirassyerów idzie na nas polować«.

Przymknął mu gębę urzędnik leśny, zmarszczył brwi i kazał »zabić pod lasem pikietę« a kilku strzelców odbiegło. Wtem

wypada z gęstwini S. z pistoletem w ręku i przytłumionym głosem woła: »Zemsta panowie, zemsta! jeden z pomiędzy nas zdradził. Domy nasze i żony i dzieci w pożarach?«. Na to podbiega ów w ciemnej sukmanie i rzecze: »Mamy tu, mamy szpiega«. »Gdzie szpieg?« zapytał S. On wskazał na mnie, wszyscy milczą; tylko stary urzędnik i wąsaty w zielonej kurtce strzelec biegą do niego, chcą coś mówić, ale S. nie słucha, każe mię do drzewa wiązać, dwóch z odwiedzionymi kurkami stawia tuż przy mnie i daje rozkaz: »Pilnować, póki nie wrócę; jeśli się pomknie, w łeb strzelić. A wy«, dodał cichszym głosem, »za mną! trzeba zmienić baraki, bo jutro uderzą«.

Wszyscy odbiegli, konnych tylko posłano w stronę, skąd Sz. przybiegł, a kilku pieszych na wedety i posterunek rozprowadzono.

Zostałem tylko ja, związany, i dwaj przy mnie pijani strzelce, których strzelby do mnie odwrócone były, a po odwiedzionych zamkach ślizgały się im niezgrabne palce. Nastąpiła cichość, księżyc zaszedł za obłok; dwaj strzelce po chwili namysłu usiedli i strzelby swoje rzucili na ziemię.

»Cóż panie sąsiedzie«, rzekł jeden, »zaproszą nas jutro na bankiet?«. »Oh! żeby ten z piekła nie wylazł«. »Nie klnij, bo ci ten nabój w brzuch wsadzę«. »Nie nakarmisz go tem; (i ziewnął) nic on dziś w oczy nie widział prócz gorzałki«. »A ów ser, coś z kozackiego płaszcza wydobył?«. »Komu, komu, a nigdy mojej kmocie (sic) nie zapomnę, że mi odradziła pójść do ułanów, kiedy to się nasza wiara tak na Moskala cisnęła. Bo komuż nie miło mieć Polskę, a kłóć tę syzmę, póki nam naszej ziemi nie oddadzą. Ale panie sąsiedzie, wasan człowiek z głową, powiedzcie mi, co nam po tej batalii wczorajszej; toć na nas po stu na każdego przyjdzie i wykole, a ten waryat S., z nim i ładu nie znaleźć: już dziś wódki byśmy nie mieli, gdyby nie ten nasz stary, co nam pozwolił żydka zrewidować. A toć zaraz nasi dopadli, połowę ich się spiło i do domów poszło. Cóż wasan na to?«. »Pan Bóg wszystko widzi, panie sąsiedzie; a czy Moskala pod krzakiem, czy na polu zabijesz, to jedna chwała: bo wszystko to dla ojczyzny. Czy to nie miło wspomnieć, że nasze wnuczęta będą Polakami. Dopóki tu Moskal, dopóty wszystko złe. Szkoda, że wasan nie czytasz książki i żeś się nie znał z naszym księdzem«.

»Ja wolę do Krakusów, — waryacya: jednemu na dziesięciu, z fuzyą na karabin, z pistoletem na harmatę!«. »He, panie sąsiedzie, gdyby się to przedrzeć do Łomży, toćby i ja poszedł do Krakusów«.

Nie mogłem dłużej wytrzymać, przerwałem rozmowę i rzekłem: »Jakto, wy powołani na obrońców ojczyzny, ledwoście jedno zwycięstwo odnieśli, już zamyślacie o rzuceniu waszego wodza? Wy tu bezpieczniejsi jesteście, niż na otwartem polu Krakusy, ale wy nie wiecie, ile pożytku z was ma Polska, ile szkodzicie Moskalom. Czy wiecie, że się was oni tak lękają, jak gdyby was tysiące było. Cóż oni wam poradzą; gdyby i 10.000 wojska przeciw wam sprowadzić mogli, nie osaczą tak szczelnie puszczy, którą wy tak dobrze znacie, iżbyście jakim przesmykiem od nich ujść nie mogli, a uchodząc nie zabili ich dwa razy więcej, niż was samych tu jest. Z waszych strzelb tyleście jarząbków nastrzelali, toć Moskal nie ptaszka (sic), a jemu z karabina i wołu zabić trudno. Dajmy, że wam tu już trudno będzie się utrzymać, to was do innej puszczy naczelnik poprowadzi, a za wami ciągać się będą pułki moskiewskie, które, gdyby nie wy, ileżby naszych żołnierzy nabiły, a możeby tam przeszkodziły nie jednej wygranej«.

Mówiłem jeszcze dalej o miłości ojczyzny, o wojnie po lasach, o powstaniu, a oba strzelcy mię słuchali z zadziwieniem, uważnie.

Pierwszy z nich zamyślił się, potem zwiesił głowę i zaczął drzemać; a drugi mi przerwał w te słowa:

»Wasan musi umieć pisać i musi być czyta książki; bo ja to samo od księdza słyszałem: słowo w słowo; co też to za szalony nasz naczelnik takiego człeka wiązać; dobrze to gdzieś napisano: i brat przeciw bratu będzie«. Wstał i chciał mi odjąć powrozy, alem mu na to powiedział: »Bracie, nie godzi się łamać rozkazów dowódcy, on za was piersi nadstawia, trzeba go słuchać; on mię sam uwolni, gdy ochłonie z gniewu, bo ja mu pokażę znak, który go o tem przekona, że jestem jak wy dobry patryota«.

Księżyc wyjrzał z pod obłoku i spostrzegłem — opodal pod ogromną jodłą stał jakiś człowiek czarnym płaszczem okryty, a z pod kołnierza sterczała mu nad głową rura od strzelby. Umilkłem, a on podszedł do nas i rzekł poważnie: »Odwiążcie

tego pana« i dał jakiś znak strzelcom, którego nie zrozumiałem. Potem podprowadza mię pod jodłę i szepce mi do ucha: »Uciekaj stąd, życie twoje w niebezpieczeństwie«. Na to mu przełożyłem, że się podejrzeń nie lękam, mam sposób przekonania naczelników o tem, kto jestem, a do tego wymieniłem moje nazwisko, które przez ucieczkę okryłoby się hańbą, niesławą i pewnością, żem szpieg; ważną zaś mam potrzebę widzieć się z dowódzcą i od niego wymagam pomocy w dokonaniu zamiarów, jakie mię tu sprowadziły. Podniósł rękę ów czarny człowiek, wskazał mi palcem, obejrzałem się: dwaj strzelce stali tuż za mną z wymierzonemi ku mnie strzelbami. »Idźcie sobie«, rzecze do strzelców, »zaśnijcie spokojnie, boście się przekonali, że gdyby to był szpieg, z pierwszej zręczności byłby korzystał i uciekłby niechybnie, alboby go wasze kule dosięgły«.

Odeszli strzelce, a on mi swój czarny płaszcz odchyla i czarną pod nim suknię kapłańską pokazał. »Jestem ksiądz od bliskiego stąd kościółka«, rzecze, »nieszczęście wniosło cię do nas w godzinę, kiedy tysiące złych nowin, zdrada, rabunek, pożary nas dotknęły, kiedy nasi dowódzcy głowy potracili a strzelce pijani świadczą przeciw tobie, żeś Prusak, że cię po niemiecku mówiącego słyszeli, żeś się nie przeżegnał u wieczerzy, kiedyś był u szołtysa, i że cię między Moskalami ktoś widział. Nie chciano czekać jutra, bo jutro już stąd daleko będziemy i w obozie naszym o twojej śmierci radzą. U nas tu jeszcze trochę jest nieładu, nieporządku; ochotnicy się rozbiegają; Sz. braknie krwi zimnej. Co robić, ja tu zostać muszę, ale ty wracaj do domu«. Jeszcze mu przełożyłem cały przedmiot mojej misyi, ale mię uręczył, że już o tem, co mam do doniesienia, w Warszawie wiedzą, i że P. i Wołowicz, z którymi on się poznał i sam rozmawiał, ponieśli rozkazy od Rządu Narodowego i od naczelnego wodza na Żmujdź; a w końcu dodał: »Ja ciebie tu ratuję i twojej sławy bronić będę, — a jeśli uciekać stąd nie chcesz, to ja od ciebie uciekam«.

To rzekł, przeżegnał mię i skoczył w gęstwinę. Sam jeden, po ogromnej, nieznanej mi puszczy, błąkam się w noc głuchą między wedetami partyzantów a moskiewską strażą: od jednych czy od drugich złowiony, niechybna śmierć, marna i haniebna, a bezużyteczna. Nie wiedząc kierunku, skąd przy-

szedłem, rzuciłem się pierwszą ścieżką, na jaką trafiłem; na niej byli zaczajeni powstańcy, bo kiedy niekiedy słychać ich hasło, gwizdanie. Każda jodła czarna lub wywrót starego dębu wydał mi się zasadzką, żołnierzem lub jakim ostrzegającym mnie duchem. Niezbyt daleko był zapewne gościniec i dwór Jastrzębna, bo w północ słyszałem alarm i bębnienie. Poszedłem w głąb puszczy i długo błądziłem, aż nakoniec, przededniem, sen mię zmorzył, rzuciłem się pod wywrót spróchniałego drzewa, między gęstwinie (sic), i na wilgotnej ziemi, w noc zimną, między wężami, usnąłem.

Posilny a twardy sen wydał mi się chwilą; porywam się, ranne powietrze i balsamiczny zapach wiosennego liścia orzeźwiły mię. Spojrzałem w stronę, gdzie pięknie, różowo czerwieniło się niebo i zapowiadało bliski wschód słońca. Krótka, ale gorąca modlitwa uspokoiła mię i wlała we mnie nadzieję wymknienia się z pod rąk moskiewskich. Nie było czasu długo się namyślać; po stronie, w której był wschód słońca, domyśliłem się kierunku, w jakim iść należało, by trafić na gościniec augustowski, z którego znajomą mi była tylko jedna droga, to jest droga do Stankowa, po której przed dwoma dniami wiozłem panią L.

W tym kierunku poszedłem, nie pilnując się poprzecznych dróg ani ścieżek; i usłyszałem w gęstym borze płacz kobiecy. Podbiegłem w stronę, skąd ten głos wychodził, i widzę bladą, przelęknioną, z rozczochranymi włosami kobietę, niosącą na barkach i w ręku ciężkie tłumoki powiązanej bielizny, sukien i rozmaitych rzeczy. Biegła Bóg wie dokąd, nie drogą, ale po gęstwini (sic), zoczywszy mię oniemiała, stłumiła płacz w sobie.

Pytałem ją, »skąd jesteście?«, a ona mi przerywanym głosem zlękniona odpowiedziała: »z pobliskiego dworu — z Jastrzębny, Moskale rabują, zabijają. Imość uciekła, całą noc błądzę, czy nie wiecie, kędy do wioski?«. Nie pamiętam jakiego nazwania wieś wymówiła, ale jej doradziłem iść za mną na augustowski gościniec, z któregoby łatwiej mogła trafić, dokąd zechce.

Poszedłem dalej, ona zdaleka za mną szła i wkrótce trafiliśmy na gościniec, na którym ja w jedną, ona w drugą rzuciła się stronę. Na piasku był świeży ślad jazdy moskiewskiej, zdaleka widać było jakąś kurzawę, znowu zboczyłem z drogi

w las i widziałem przemykających w galop kozaków, jak gdyby ich kto gonił lub się co drzewo lękali wystrzału. Długo szedłem, póki trafiłem na słup, na którym było napisano: »do Stankowa«.

Tu przychodzi mi na myśl, że właśnie ta dróżka wychodzi z lasu w punkcie, gdzie ów młynek, jezioro i okolica leżą, przy których byłem złapany, i gdzie mieszkają szołtys i żyd, którzy mię wczora Moskalom wydać chcieli. Trudna rada, nie czas było wracać; przybieram dobry humor i wpadło mi na myśl udawać, że [idę] niby do Cisowa, do tamecznego wójta gminy i t. d.

Kiedym wychodził z lasu, wrota przy młynie były zamknięte, a u wrót żydek ze swoją familią używał szabasu; bo właśnie była to przed wierzbną niedzielą (ruską) sobota. Idę śmiało, przyspieszonym krokiem, otwieram sobie wrota, żyd ustępuje z drogi, o nic nie pyta; idę dalej, aż na tej samej drodze poznaję szołtysa. Ale i on ustępuje z drogi, skłonił mi się. »Pan Jezus pochwalon«, rzecze. »Na wieki«, odpowiedziałem. »Dokąd Bóg prowadzi?«. »Do Cisowy«. I poszedłem dalej, a już dochodziłem do cisowskich lasów, kiedy się oglądam: bieży za mną szołtys, tuż za mną. Uciekam; on mię goni, dopędza, chwyta mię za sukmanę i pada na ziemię. »Poczekaj pan, nie gub siebie« woła i ręce jak do modlitwy złożył. Dziwi mię to, zatrzymuję się, — on mi rzecz niespodzianą powiada, że to on był pierwszy, co mię wczora o szpiegostwo posądził i posłał był tajemnie do lasu po swoich, żeby mię przytrzymali. »Jak Bóg na niebie«, rzecze, »zdało mi się, żeś Prusak«. Ale gdy wrócił do nas mój sąsiad a przewodnik pana i nam powiedział otwarcie, żeś pułkownik polski przebrany, żona i dzieci moje całą noc nie spały, ja całą noc jak szalony po puszczy biegałem, żeby pana uratować; a nie znalazłszy naszych, kiedym o świcie wrócił do chaty, znalazłem dzieci i żonę we łzach i przeklinały mię. Zlituj się pan nad biedną moją rodziną; dotknij przynajmniej progu, a rozweselisz nas wszystkich. Ale na miłość Boga nie idź do Cisowy, bo tam pełno Moskalów i tam pewno schwycą pana«.

Spojrzałem mu w oczy, a widziałem w nich szczerość, żal i poczciwość. »Bądź spokojny«, rzekłem; »widzę, żeś dobry Polak, więc ciebie kocham. Do twego domu nie wstąpię, bo

żydek, co nas szpieguje, lub jaki zły sąsiad, mógłby cię oskarżyć Moskalom«.

»To przynajmniej«, prosił mię szołtys, »pozwól pan przynieść dla siebie co na posiłek, bo widzę, żeś strudzony, pozwól żonie mojej, niech ona tu przyśle choć jedno dziecko, któreby jej i całej rodzinie przyświadczyć mogło, że się na nas nie gniewasz«. »Dobrze więc«, powiedziałem mu, »przynieś mi tu, proszę, mleka i przyprowadź z sobą najukochańszego syna, żebym go ucałował«.

Pobiegł szołtys do chaty, ja się tymczasem w krzakach ukryłem, a zdaleka dostrzegłem, jak przeciw niemu wybiegły dzieci i liczne domostwo. Dalej widać było kościółek Jastrzębski. a jeszcze dalej na rozległych błotach rzekę Bobr, za którą białostocka ziemia nęciła mię do siebie niewypowiedzianie: postanowiłem wracać.

Od rana chmury się zbierały, parno było jak przed deszczem, i kiedym, czekając na szołtysa, odpoczywał, taka ulewa spadła, że mię do nitki zmoczyło. W sam deszcz przyniósł mi mleka szlachcic, a jego syn podrostek przybiegł za nim i podał mi chleba.

Posiliłem się, ucałowałem chłopca, a ojciec podjął mi się za przewodnika służyć. Wtenczas powiedziałem mu, pokazując na rzekę: »Jeśli chcesz bracie wiernie mi usłużyć i dać nowy dowód życzliwości; patrz — oto z tamtego brzegu rzeki ciągnie się las daleko i zapewne przytyka do białostockiego gościńca. Dostań dla siebie i dla mnie wieńciorzy (sic), pójdziemy ryby łowić, a łódką przewiozłszy się na tamtą stronę, wpadnę do gaju i tam mię straż pograniczna nie złowi.

Podjął ramiona szlachcic i przekładał mi, że niebezpiecznej rzeczy żądam, bo się nikt w dzień przez granicę nie przedziera, a do tego dodał, że zawczora najsroższe wyszły do pogranicznej straży [rozkazy] śledzić dwóch zbrojnych Krakusów, co w tych dniach od naszego wojska na Litwę poszli.

Po krótkiej jednak naradzie. chłopak mały odniósł do chaty garnek i poszedł uspokoić matkę; a ja z szołtysem ruszyliśmy przez pola, przez miedze, aż na brzeg błota, gdzie czas niejaki zaczekać musiałem, nim szlachcic zbiegał do wsi, nim dostał wędek, i rozpytał się, gdzie schowane czółno.

Było już południe, kiedy przebrnąwszy głębokie bagna,

zarzucaliśmy nasze wędy, choć bez robaczków i bez chęci złych dla ryby. Za rzeką widziałem konno przemykających strażników i ich mieszkania opodal; z tej zaś strony byli w niedalekiej wsi Moskale i jakiś oddział piechoty ciągnął ku Jastrzębnej. Upatrzywszy porę i czółno, wskoczyliśmy do niego; przewiózł mię szołtys; wyskoczyłem i nie oglądając się szedłem jeszcze dobrą staję błotem, aż wpadłem do lasu i tak byłem zmordowany, że dalej iść nie mogłem, a znalazłszy cienisty krzak starego jałowcu, zaryłem się pod niego i twardo zasnąłem. Czułem jeszcze na wpół we śnie, że ktoś mię, targa, budzi, porywa — ocykam się, patrzę — był to ten sam szlachcic z okolicy, co mię wczora na niebezpieczeństwo naraził, a dziś ratuje. »Uciekaj pan stąd«, rzecze; »tu nad samą drogą leżysz; tylko co siedmiu strażników tędy przejechało«. Przebiegliśmy co prędzej drogę, a w bezpiecznej gęstwinie zatrzymałem się: on wydobył z torby swojej kawał sera, chleba, gorzałkę i flaszę brzozowego soku. Z pragnienia wypiłem sok jednym ciągiem, i zaraz dalej poszliśmy środkiem pięknego gaju, unikając nawet mieszkania leśnych strażników. Chciałem go był odprawić, w obawie, iżby nie został złowionym, ale się on uparł wyprowadzić mię na wielką drogę, po której straż pograniczna nie zwykła jeździć.

Jakoż nie pierwej, aż na gościńcu, rozstałem się ze szlachcicem; cbciałem mu dać w pieniądzach nagrodę, ale jej nie przyjął, a prosił tylko o to, abym, skoro Polska będzie wolna, nie zapomniał o jego synach i przyjął ich pod moje dowództwo.

Ostrzegłem go wtenczas, że nie jestem tak wielką osobą jak o mnie gadał ów przewodnik; i że nie jestem dotąd oficerem. Na rozstaniu się zapytałem go, jak się nazywa? — »Tom... jestem«, odpowiedział. Uścisnąłem go i poszedłem dalej.

Droga do Dembowy nie była mi obcą. Zachodzę do znajomego mi obywatela. Przy ganku stało wiele pojazdów. Goście w tym czasie są niebezpieczni, — zachodzę z tyłu domu i niespostrzeżony wkradam się do pokoju gospodarza. A wtem słychać głos wielu nieznajomych, których gospodarz do tegoż pokoju prowadził. Zamykam się na klucz, szturmują do drzwi,

szukają klucza, wzmaga się hałas w domu; gospodarz krzyczy, łaje, posyła po kowala, żeby wnet odbijać zamek. Ale na szczęście goście się rozjeżdzają. Gospodarz szedł kurytarzem sam jeden, pokazałem się mu, opowiedziałem moje przygody; on mi dalszą podróż ułatwił.

INDEKS.

(Liczby oznaczają stronice).

Adhemar Alfons Józef, matem. franc. 152.
Aecyusz, wódz rzym., pogromca Attyli. 72.
Aleksander I, car rosyj. 107.
Ampère Andrzej Marya, fiz. i mat. franc. 85—86.
Angoulême Ludwik Antoni de Bourbon, książę. 153.
d'Anguesson. 180.
Arago Dominik Franciszek, fizyk fr. 85—86, 154, 159.
d'Argout hr., franc. min. spr. wewn. 140, 170.
Attyla, wódz Hunów. 72.
August II, Fryderyk, Mocny, król polski. 69.

Barrot Odilon, franc. mąż stanu. 123, 141, 161, 176, 177—178.
Barruel, preparator. 153.
Baryszkin, gen. ros. 188.
Beaumont Élie de, prof. geol. 157—158.
Beaumontowie. 83.
Becquerel Antoni Cezar, fiz. franc. 156—157.
Belgiojoso, księżna. 148—149.
Bellini Wincenty, kompozytor. 59.
Bem Józef, gen. polski. 104, 110, 170.
Bergeron. 132.
Berrier. 140—141.
Berry, Karolina Ferd. Ludwika, księżna. 83.
Beudant, mineral. franc. 156.
Bieliński, pułkownik. 173.
Binet, naucz. w Coll. d. France. 158—159.
Biot, akad. franc. 85—86.
Blainville, Henri-Marie Ducrotay de, przyrodn. franc. 155.
Błotnicki. 108.
Bojanus, prof. w Wilnie 86.
Borkowski, pułkownik ułanów, 14, 43.
Bourgeois, dowódzca gwardyi. 74—76.
Bourry, panna. 132.
Breański. 121.
Brochocki. 25.
Brodziński Kazimierz. 128.
Brognard. 155—156.
Bronikowski. 162.
Buffon, sławny przyrodnik francuski. 181.
Bugeaud, generał franc. 171.
Burboni. 73. 80.

Cabet Etienne, franc. komunista. 171.
Carnot Hippolyte, publicysta franc. 176.
Carrel Nicolas Armand, public. franc. 140.
Cassin (Casim), agent komit. central. franc.-pol. 144, 157.
Cauchy Augustin Louis, matematyk franc. 159.
Cavaignac Eugène Louis, gen. franc., red. »Trybuny«. 98, 140, 143.
»Charivari«, satyr. pismo franc. 132.
Chatel, l'abbé, Ferdynand Touissant François. 94—97.
Chełchowski. 183.
Chiłkow książę, wódz rosyj. 187—188.
Chłapowski Dezydery, gen. woj. pol. 1, 12—16, 18—23, 25, 27, 28, 31—32, 34—35, 37, 39—41, 43—44, 46—47, 49, 54.
Chodźkowie. 25.
Chodźko Feliks. 161.

Chreptowicz Joachim. 165.
Chrzanowski Wojciech, gen. wojsk pol. 64, 111.
Collège de France. 85.
Constant de Rebecque Benjamin, polit. franc. 166.
Cordier Piotr. 156—157.
Cuvier George, przyr. franc. 87, 155, 157.
Czajkowski Michał. 110.
Czartoryski Adam Jerzy, książę. 47, 104, 106, 108, 113—114, 117, 120, 122—124, 160—161, 166—167, 169, 173—174, 176, 180—181, 183.
Czartoryska, żona Adama Jerzego, księżna. 117, 123, 175.
Czetwertyński Janusz. 21, 22, 27, 35, 38, 42, 173.
Czyński. 134, 164.

Danton Jerzy, rewol. franc. 143.
Darasz. 121.
Dąbrowski Henryk, gen. wojsk pol. 62—63, 80, 113, 134.
Dembińska. 161.
Dembiński Henryk, gen. wojsk. pol. 34—36, 44, 47, 64, 104, 109—110, 180, 183.
Desormes Clement. 156.
Dmochowski. 139.
Domejko Adam. 11.
Domejko Ignacy. 11.
Domejko Józef. 59.
Domejkówna Marya. 175.
Doroszenko Piotr, hetm. kozaków. 164.
de Drès, margrabia. 181.
Dufrenoy Pierre Armand, mineralog franc. 183.
Dulong Pierre Louis, fiz. i chem. fr. 153—154.
Dulong François Charles, adw. paryski. 171.
Dumas Jean Baptiste, chem. franc. 153.
Duméril André Marie Constant, lek. i zool. franc. 155.
Duński. 129.
Dupin André Marie Jean Jacques, zw. »Starszy«. 85—86, 87, 101, 140.
Dwernicki Józef, gen. wojsk pol. 38, 104, 111—112, 119, 120, 134, 145, 161, 169, 171, 177, 180, 181, 185.
Dybicz Jan Karol Fryd. Antoni, gen. rosyj. 48, 195.
Dziewicki. 170.

Emery, ksiądz. 159.

Fabrier, gen. franc. 178.
Falloux Alfred Frédéric Pierre, hr., polit. franc. 140.
Filip Egalité, książę Orleański. 131.
Filippon (patrz Philippon).
Fitzjames. 140.
Flahaut. 166.
Fouryeryści, stronnicy Karola Fourriera, socyal. franc. 127.
Francoeur, profesor mat. w Sorbonie. 152.
Franklin Benjamin. 148.

Gałęzowski Seweryn, lekarz. 1.
Garczyński Stefan, poeta, 1, 58—60.
Garnier-Pagès Etienne Joseph Louis, polit. franc. 140—141, 161.
Gay-Lussac Louis Joseph, chem. i fiz, franc. 85—86, 151, 153, 155.
Gedrojć, generał. 160.
Gedrojciowa, z domu Burzymowska, gener. 164.
Geoffroy Saint-Hilaire Etienne, przyrodn. franc. 85.
Gérard Etienne Maurice, gen. fr. 131.
Gerbet, l'abbé, 128.
Giecołd. 168.
Giedrojć, kap. w woj. Napoleoń. 22.
Giedrojciowa, księżna. 118.
Giełgud Antoni, gen. pol. 22, 24—26, 28—29, 32—39, 41—43.
Gonta. 164.
Gordaszewski. 173.
Gorecki Antoni, poeta. 104, 105, 183.
Grabowski. 46.
Gronostajski, prof. gimn. 22.
Grzegorz XVI, papież 229.
Grzymała, emigr. 134.
Gurowscy. 105.
Gurowski Adam. 115—116, 121, 180.
Guizot François Pierre Guillaume, mąż stanu i histor. franc. 140—141.

Hachette, geom. franc. 151—152.
Hauy, mineral. franc. 181.
Heltman. 121.
Hlebowicz. 165.
Hłuszniewicz. 145.
Hoffman Karol Aleksander, literat. 161.
Hoffmanowa Klementyna z Tańskich. 118, 175.
Hube. 119, 129,

Ibrahim basza. 109.
Inwalidów Hotel. 81.

Jakubowski. 121.
Jana Kazimierza grób w kościele St. Germain de Près. 126, 133.

Jan III Sobieski. 165.
Jański Bohdan. 129, 162.
Jełowicki Aleksander, ksiądz. 60, 62, 119, 127, 129, 180, 183.
Jouy Victor Jos. Etienne, literat francuski 86.
Józefina, cesarzowa. 118.
Julien de Paris. 144.
Jurahowa z Kroszyna. 60.
Jussieu Adrien de, botan. franc. 155.

Kajsiewicz Hieronim, ksiądz. 128, 129, 162.
Kamiński. 145.
Karwowski, emigr. 160.
Kapetowie. 79, 131.
Karbonaryusze. 171—172.
Kiekiernicki, pułkownik. 29.
Kniaziewicz Karol, gen. pol. 80, 104, 108, 175, 177, 183.
Konarski Szymon. 168.
Konstanty, W. książę. 4, 13, 21, 60, 62, 116.
Kontrym, bibliot. Uniw. wileń. 30—31.
Kopernik Mikołaj. 57.
Korytko. 179.
Kossecki. 188.
Kościelski, oficer. 50—51.
Kościuszko Tadeusz. 3, 134, 148, 164.
Kowalska z Kowna. 26.
Kozakiewicz, filaret. 4, 5, 10, 64.
Koźmian. 162.
Köchlin, fabrykant. 182—183.
Krasiński Zygmunt. 106.
Kraszewski, prawnik. 46, 53.
Krempowiecki, emigrant. 135, 162, 164, 173—174.
Krystyna, król. hiszpańska. 102.
Kublicki. 54, 56.

Lafayette Grzegorz (Jerzy?). 148, 170.
Lafayette Georges, pani. 175.
Lafayette Marie Jean Paul Roch Yves Gilbert Motier, markiz de, gen. i polit. franc. 74, 100, 131, 134—135, 139—141, 147—149, 160, 162, 166, 169—171, 173—174, 177, 179.
Lafitte Jacques, franc. mąż stanu i bankier. 74, 98, 115, 140, 171, 178.
Lagrange Jos. Louis, matem. franc. 159.
Lalande Jos. Jérôme Lefrançais de, astronom franc. 159.
Lamartine Alphonse Marie Louis Prat de, poeta i mąż stanu franc. 140.
Lambert. 183.
Lannes Jean, marszałek franc. 84.
Laplace, Pierre Simon, markiz de, matem. i astronom franc. 159.
Larrabure. 169.
Laskowicz. 2, 183.
Lasteyrie du Saillant, publ., agronom i filantrop franc. 131, 141.
Lasteyrie pani, córka Lafayetta. 148, 174.
Latour-Mauborg, margrabina, córka Lafayetta, 148, 174.
Lauban, gen. franc. 131.
Le Blanc, 124.
Ledóchowski. 119, 177, 180.
Ledru-Rollin, Alexandre Auguste, radykał franc. 124.
Lelewel Joachim. 104—105, 113—115, 119—120, 134, 136, 144—145, 163, 169, 186, 195—196.
Leopold, król belgijski. 70.
Leszczyński Stanisław, król pol. 69.
Libri Carucci, matem. włoski. 103.
Loga, ksiądz, uczestnik powstania r. 1831. 14, 16, 19, 21, 32—33.
Lubecki, ks. Ksawery, minister. 107—108.
Ludwik Filip, król. 80, 87, 100, 112, 115, 122, 124, 130, 140, 143, 163, 167, 169, 174, 181.
Ludwik XVI, król. 79, 131, 148.

Łagowski, legionista. 60—61, 145.
ks. Łowicka. 4, 49.

Macewicz, major. 15, 21, 24—26, 28—31, 33—34, 36, 41.
Makowski, adwokat. 6.
Malinowski, emigrant. 70, 131.
Małachowscy. 105.
Małachowski Kazimierz, gen. polski. 104, 113.
Marcinkowski Karol, lekarz. 14, 16, 21, 45, 162.
Marat Jean Paul, franc. rewolucyonista. 142—143, 162, 180.
Marrast, public. franc., red. »Trybuny«. 98, 124, 140.
Maria II, da Gloria, król. portugalska. 102, 148.
Marya Ludwika, król. francuska. 82.
Mateuci Carlo, fizyk włoski. 102.
Matuszewicz. 12, 21.
Mayeux. 100.
Mazzini Giuseppe, włoski agitator. 102, 124, 171—172, 180.
Mazziniści. 122.
Metternich Klemens, książę, austr. kanclerz państwa. 139.
Michałowski, oficer. 15.

Mickiewicz Adam. 1, 19, 26, 58—61, 64—66, 71—72, 74, 76—77, 81, 84—85, 105, 127, 164—165, 183.
Mickiewiczowa Celina. 118. 183.
Mierosławscy. 105.
Mikołaj I, car. 64.
Mikulski Izydor. 21, 24, 46.
Mikulski Józef. 21.
Mikulscy. 49, 50—51, 54.
»Młoda Francya«. 180.
»Młoda Italia«. 180.
Mochnaccy. 105.
Mochnacki Maurycy. 115, 145.
Molet. 140.
Molière Jean Baptiste, franc. komedyopisarz. 97.
Monge Gaspard, franc. matem. i fizyk. 151.
Montalembert Charles, polityk franc. 123, 128, 140.
Montalivet, minister franc. 70.
Montmorencych rodzina. 83.
Morawski. 119.

Nabielak. 180—181.
Nakwaski, pos. sejm. 60, 62, 105.
Napoleon. 79, 98, 104, 131, 153, 167, 181.
Niemcewicz Julian Ursyn. 104, 107—108, 123, 161, 165—166, 175—176, 183.
Niemczewski. 86.
Niemojowski Bonawentura, poseł. 104, 108, 119, 160, 166.
Niepokojczycki. 12—13.
Niewęgłowski. 180.
»Nowa Polska«, tow. emigrac. w Genewie. 180.
Noaillowie. 149.
Noailles, księżna, matka pani Lafayette. 178.

Oborski. 163.
Odilon, patrz Barrot.
Odyniec Antoni Edward. 1, 58—60.
Ogińscy. 105.
Ogińska, księżna. 118.
Ogiński. 22.
»Ogół« — emigracya trzymająca się komitetu centralnego. 120, 123, 143.
Ostrowski J. B. 104, 116, 135, 145, 164.
Ostrowski, wojewoda. 134, 161—162, 178.

Pac Ludwik, generał. 6, 112, 167, 175.
Pacowie. 105.
Pajol, generał. 131.
Palmerston Henry John Temple, ang. mąż stanu. 124.
Panteon. 81, 83.
Paprocki, pułkownik. 173.
Payen Anzelm, chem. franc. 157.
Pedro Don, król portugalski. 102, 110, 148.
Philippon, karykaturzysta franc. 100, 131.
Pietkiewicz. 139.
Plater Cezar. 23, 27, 127.
— Ludwik. 104, 127.
— Władysław, 23, 174.
Platerowa z Lubeckich, hrabina. 118, 127.
Platerowie. 105, 123, 183.
Platerówna Emilia. 23, 24, 26, 29, 30, 34—36.
Plotzer. 26.
Pocieje. 105.
Poisson, baron. 85, 152.
Pol Wincenty. 47, 60.
Poliński. 152.
Poniatowski Józef, książę. 63, 80, 164.
Potoccy. 105.
Potocka Klaudyna, z domu Działyńska. 59—60, 116—117.
Potter. 180.
Pouillet Claude Servais Mathias, fiz. franc. 153—154.
Pozzo di Borgo Karol, dyplomata rosyjski. 167.
Pradt, ksiądz. 107, 166.
Prévost Louis Constant, geolog fran. 155—157.
Prusz. 48.
Przecławski. 6, 138.
Przeździecki. 21, 38, 42, 46—47.
Puławski, ksiądz. 105, 164, 169, 174, 179.
Pusz. 6.
Putkamer Wawrzyniec (mąż Maryli) 12—13.

de Quélen, hrabia. 172.

Ramorino. 38, 111, 163, 171—173.
Raszanowiczówna, przyjaciółka Platerównej. 24.
Rautenstrauch. 118.
Rautenstrauch z Giedrojciów, pani. 175.
Robespierre Maximilien, franc. rewolucyonista. 143—144, 162.
Roland, generał polski. 34—36, 42, 44, 47, 55.
Romanowów ród. 125.
Rohanowie. 83.

Roth, dowódzca moskiewski. 185.
Ronka, nadleśniczy, dowódzca powstańców. 15.
Rousseau Jean Jacques. 84—85.
Różycki Karol. 180—181.
Rydygier, wódz moskiewski. 185.

Saintsimoniści, stronnicy szkoły Saint-Simona. 127.
Salvert, deputowany franc. 170.
San Domingo, wyspa. 80, 104, 113.
Saniewski, emigrant. 134.
Sapiehowie. 105.
Sebastiani François Horace Bastien, hr., marszałek franc. 101, 141.
Semenenko Piotr, ksiądz. 128—129, 161—162.
Siemaszko Józef, ksiądz, odstępca. 72.
Sierawski, generał polski. 119—120, 145.
Siewers Jakób Jan, hr., dyplomata rosyj 189.
Skarbek. 188.
Skórzyński, ksiądz, emigrant. 133, 160.
Skrzynecki Jan, naczelny wódz polski z r. 1831. 5, 14, 114, 173, 186.
Skulski, powstaniec. 43.
Słowacki Juliusz. 105.
Sobańscy. 105.
Sobolewski Jan, lekarz. 45—46
Sołtan Adam, pułkownik. 21, 24, 35, 44, 165.
Sołtanowie. 105.
Sołtyk Kajetan, biskup. 177, 180.
Sołtykowie. 105.
Sorbonna 85, 97.
Soult Nic. Jean de Dieu, marszałek franc. 131, 166.
Stawiarski, kapitan. 15, 24, 29.
Stanisław August, król polski. 59, 165.
Stuart, lord. 123.
Sulczewski, kapitan. 60.
Sułkowski, książę. 54.
Szemiot, adjutant. 109.
Sznayde, generał pol. 120, 173.
Szöl (Szel), emigrant. 161—162.
Szpek, powstaniec. 168.
Szymanowski, gen. pol. 34—35. 42.
Śniadecki Jędrzej, 154.
Śniadeccy. 86.
Świętosławski, emigrant. 161.

Talleyrand Charles Maurice, książę, dyplomata franc. 166.
Taraniści, stronnicy Lelewela. 145.
św. Teresy przekład. 2.
Thénard Louis Jacques, chemik fran. 86, 151, 152—153.
Thiers Adolphe, mąż stanu i histor. franc. 101, 132, 140, 142, 176.
Tidwitz, komendant pruski. 48.
Tomaszewski, poseł. 120.
Towarzystwo Dam polskich w Paryżu. 160.
Towarzystwo demokratyczne w Paryżu. 120.
Towarzystwo des Droits de l'homme. 88, 162, 179.
Towarzystwo Dobroczynności Dam polskich w Paryżu. 117.
Towarzystwo literackie w Paryżu. 104, 123, 176.
Towarzystwo Naukowej pomocy w Paryżu. 104, 106, 160, 163.
Tyszkiewicz, generał. 13—15, 34.

Umiński, emigrant. 119, 145.

Vaubaniści, stronnicy Mochnackiego. 145.
Viennet, akadem. franc. 86.

Walewski, 123, 176.
Washington Jerzy, prezydent Stan. Zjedn. 108, 148.
Ważyński, marsz. pow. lidzkiego. 15.
Węgierski, emigrant. 161.
Werner Abraham Gottlob, mineralog niemiecki. 59.
Weyssenhof, emigrant. 58
Wierzbowska, siostra I. Domejki. 11.
Wirtemberska z Czartoryskich Marya, księżna. 108, 117.
Witwicki Stefan, poeta. 106, 127, 183.
Wojtkiewicz, emigrant. 70.
Wolter (Voltaire) Franciszek Marya. 84—85.
Wołłowicz Michał, emisaryusz. 6, 54, 136—139, 168.
Wołowska. 118.
Wołowski, emigrant. 180.
Worcel, emigrant. 119, 169, 174, 179.
Worcelowie. 105.
Wrotnowski, adjutant. 14, 54, 56—58.

Zabiełło, oficer. 32.
»Zakłady«, na które podzieleni byli emigranci, np. Bourges, Tours, Angers etc. 119—120. 145.
Zaleski Bohdan, poeta. 1, 106, 120, 128, 183.
Zaleski Józef, emigrant. 147.

Zaleski Konstanty, powstaniec. 12—14, 145.
Zaleski Marcin, intendent armii, 30—31.
Zaliwski, pułkownik. 134, 136—137, 139, 147.
Zamojscy. 105.
Zawisza, emigrant. 139, 168.
Zmartwychwstania Bożego zakon. 129, 162.
Zwierkowski, emigrant. 119.

Żarczyński, poseł. 61—62.

TREŚĆ

Od Wydawcy III

Początek podróży moich z Zapola po świecie.

Ostrzeżenie. 1
I. Wyjazd z domu 3
II. Żołnierka 18
III. Na ziemi pruskiej 38
IV. Drezno — Droga do Paryża 58
V. Paryż 78
VI. Emigracya i emigranci w Paryżu 102
VII. Dalsze wyjątki z mojego dziennika w Paryżu 130
VIII. Cokolwiek o uczonych, na których kursa uczęszczałem w Paryżu. 1832—1833 151
IX. Resztki moich notat paryskich 161

DODATEK.

Pierwsze dni kwietnia 1831 r. w Litwie 184
Indeks. 221

QE
22
D73A34

Domeyko, Ignacio, 1802-1889
Pamiętniki, 1831-1838

PLEASE DO NOT REMOVE
CARDS OR SLIPS FROM THIS POCKET

UNIVERSITY OF TORONTO LIBRARY